



Sylwia przykucnęła i trzymając się ręki Jonasa zajrzała w wodę, wychyliwszy się poza brzeg mostu. Po chwili zachwiała się, jakby tracąc równowagę, ale Jonasowi udało się ją przytrzymać. Wstała i zwróciła ku niemu poszarzałą z przerażenia twarz. – Zobacz, Jonas – wyszeptała. – Zobacz, tam w sieci. Od stalowej liny, swobodnie

Jan Ekström

CZYTELNIK

wolyszącej się nad powierzchnią, gruby sznur prowadził w wodę, drugi jego koniec przymocowany był do chudej ręki.

maurowie

Jan

Ekström

maurowie

przełożyła

Maria Olszańska

Czytelnik

Warszawa

1981

Tytuł oryginału szwedzkiego

MORIANERNA

© Jan Ekström 1884

Okładkę i kartę tytułową projektował ZBIGNIEW CZARNECKI

©Copyright for the Polish edition

by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, 1981

ISBN 83-07-00289-3

„Czytelnik”. Warszawa 1981. Wydanie I.

Nakład 140 320 egz. Ark. wyd. 11,3; ark. druk. 15.

Papier offsetowy, ki. VII, 60 g, 93 cm.

Oddano do składania 16 I 1980 r.

Podpisano do druku 8 VII 1980 r.

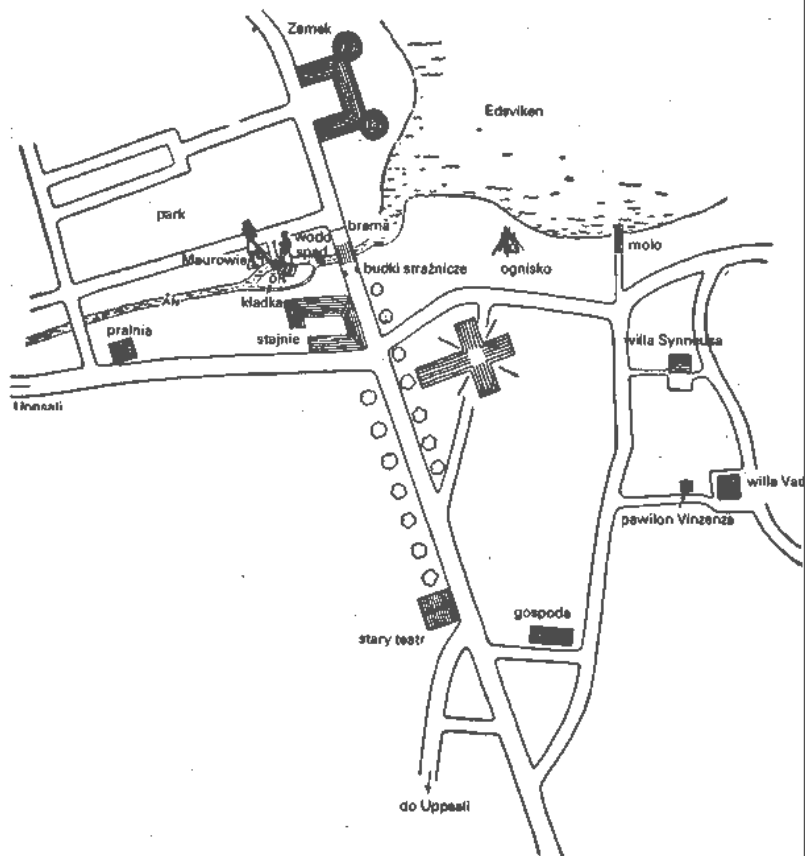
Druk ukończono w lutym 1981 r.

Zam. wyd. 879; druk. 1300/K; 0-131.

Zakł. Graf. „Dom Słowa Polskiego” w Warszawie.

Printed in Poland

PLAN ULRIKS DAL
(jeśli konus się przyda)



I

W drzwiach stanął nagle dyrektor Vade. Złość poznała jego wysokie, wąskie czoło sinymi pręgami nabrzmiałych żył. Oczy pod tym czołem były mętne, zażawione, w czerwonej otoczce, jak na pół zalegnięte żółtka, całą czaszkę pokrywała pergaminowa, zeschnięta skóra. Chudym, drżącym palcem groźnie celował w Jonasa, jakby go chciał nabić na ostrze paznokcia. Gdy ze świstem nabierał tchu, wargi dygotały, odsłaniając spróchniałe zęby i zapadłe dziąsła z poczerniałymi pieńkami. Szczur, myślał Jonas, stary, ohydny szczur.

- Oczywiście pana tam nie było! - krzyczał stary. - Pukałem do pokoju szanownego magistrza, ale pana tam nie było. Pozwoliłem sobie zajrzeć, myślałem, może nauka zaabsorbowała pana do tego stopnia, że nic pan nie słyszy. A pan tu przesiaduje.

Jego palec zatoczył groźne półkole i utknął w bujnej, krzaczastej florze lewego ucha. Po kilku roztargnionych drapnięciach znowu wy-celował.

- Pan się ukrywa wśród spódnic, magistrze. Niech pan jednak pamięta, że jestem starym człowiekiem i nie mogę raz po raz biegać po schodach tylko po to, aby panu coś powiedzieć. Czy może nie prosiłem pana wczoraj po południu...

Jonas zebrał się w sobie, ucisnął rękę Moniki, siedzącej obok niego na kanapce, czuł, że dodaje mu otuchy.

- Szanowny dyrektorze - powiedział jak najuprzejmiej - zamierzałem zmienić zewnętrzny parapet, bo blacha zardzewiała...

Stary przerwał mu z sykiem.

- Prosiłem, żeby pan zabrał drabinę, czy nie!

- Ponieważ wszystko było przygotowane, sądziłem...

- Proszę nie przerywać!

Głos Vadego przeszedł w falset, żyły na czole jeszcze bardziej

pociemniały, głowa wysunęła się z kołnierza, o parę numerów za dużego, skóra na szyi poczerwieniała i ściągnęła w fałdy jak u indyka. Znowu łapał powietrze w astmatycznym oddechu, Jonas tymczasem szepnął do Moniki: - Pęknie...

- Mamy umowę czy nie? Miał pan pomagać w miarę potrzeby. Co w moim rozumieniu wcale nie oznaczało, że będzie pan przesiadywać trzymając moją córkę za rękę.

Dostał ataku kaszlu, musiał więc przerwać tyradę, ale palcem wciąż coś wskazywał i przewracał oczyma w bezsilnej złości.

Anna Vade podniosła głowę znad książki i odsunęła filiżankę z kawą. Potem wstała z fotela, leniwa i gibka jak kot, podeszła do starego i ostrożnie poklepała go w plecy. Wykonał parę opędzających się ruchów. W końcu udało mu się złapać oddech.

- Przestań! - wykrztusił. - Dam sobie radę!

Anna zimno popatrzyła na niego spod na pół opuszczonych powiek.

- Posłuchaj, Werner. Stary cofnął się.

- To on mnie ma słuchać!

- Wcale nie jest konieczne, żeby drabinę usuwać teraz, kiedy jest ciemno. Jutro ją zabierze. Zgoda?

- Jutro zamierzałem zająć się łodzią - powiedział Jonas.

- Proszę nie mówić do mnie, jakbym był dzieckiem - zaprotestował stary.

- Jonas też nie jest dzieckiem - ostro zauważyła Anna. Wróciła na swoje miejsce i usiadła na poręczu fotela. - Nie pojmuję, że może z tobą wytrzymać. Ja na jego miejscu dawno bym się wyniosła.

- Drabina ma być zabrana.

- Jutro.

- Idź na górę, tatusiu, i policz może, ile masz kancer - powiedziała Monika. Odwróciła się do Jonasa i szybko mrugnęła. Stary diabeł, pomyślał Jonas i przekazał porozumiewawczy uśmiech Annie, ale ona nie zauważyła, była zajęta zapalaniem papierosa. Vade rozejrzał się dokoła, szukając nowego obiektu, na który mógłby wylać złość. W tejże chwili Rick zaczął szczeekać w mieszkaniu na dole i stary nie przepuścił takiej okazji. Wykrzyknął na cały głos:

- Jak długo to psisko będzie mnie budzić w nocy! To nieprzyzwoitość zabierać z sobą psa, gdy się gdzieś jedzie. Ale czego można oczekiwać po darmozjadach.

- Szkoda, że cię nie słyszą - oschle powiedziała Anna.

- Szkoda! - stary aż zapiał. - Chętnie bym im to powiedział prosto w twarz. Mam ich powyżej uszu/ A gdzie oni są? Gdzie ta hałstra?

- W teatrze.

- W teatrze! Oczywiście. Rozumiem. Zapraszasz ich, oczywiście, żeby tu mieszkali, jedli i na dodatek jeździli do teatru. A nie tobie, tylko mnie wolno zapraszać. Na mnie pasożytyją. Jak długo zamierzają tu pozostać? Na wieki! Do mojej śmierci! Na stałe się tu zadomowili. Ciasno tu się robi, trzeba powiedzieć...

Słowa zagubiły się w nowym ataku kaszlu. Stary trząsł się, dławił, w końcu jednak odzyskał głos i powiedział ledwie dosłyszalnie:

- Jak długo oni zostaną?

- W każdym razie wyjadą dopiero po osiemdziesięcioleciu - Anna skrzywiła się i strząsnęła popiół na spodek filiżanki.

- Na osiemdziesięciolecie ja zapraszam! No, tak, tak. Coś się urządzi. Przyjęcie, żeby zapamiętali. Pieczeń barania i tort. Tylko najbliższa rodzina.

Usiłował przybrać miły wyraz twarzy, ale złośliwość migotała w oczach, niby daleki refleks wewnętrznej zjadliwości.

- W świecie interesu nieco inaczej to określamy: tylko najbardziej zainteresowani. Tacy zawsze trzymają się w pobliżu, gdy chodzi o podział, czy to baraniej pieczeni i tortu, czy pieniędzy.

Zagdał z zachwytu nad własną odkrywczością. Monika pochyliła głowę na ramię Jonasa i szepnęła:

- Czy to nie wróży apopleksji, kiedy psy tak wyją?

- To tylko przesąd - czule odszepnął Jonas i pogładził jej rękę.

Stary to zauważył. Obnażył w gorzkim uśmiechu długie, wystające z dziąseł zęby i powiedział:

- Pan magister też przecież należy do zainteresowanych... O przepraszam, do kręgu rodziny obecnie. Ale proszę liczyć ostrożnie, żeby się nie przerachować. Rozumie pan, gdy ten dzień nadejdzie, sporo będzie takich, którzy się przerachowali... No, no, proszę mnie źle nie rozumieć, myślę nie o tym, co pan, dniu... nawet jeżeli pies wyje... Myślę mianowicie o osiemdziesiątych urodzinach.

Nagle Anna straciła cierpliwość, zerwała się z poręczy fotela, aż filiżanka na stole zadzwoniła, odrzuciła w tył głowę, wspaniałe kruczoczarne włosy niecierpliwą falą spłynęły na ramiona. Jej głos nie był już tylko suchy, lecz ostry, ostry jak brzytwa.

- Skończże na Boga. Twój humor zatruwa powietrze. Idź na górę.

Skurczył się, jakby mu wymierzono policzek. Przez chwilę panowała śmiertelna cisza. Potem stary zaskrzeczał:

- Tylko na mnie nie pokrzykuj. Nie jesteś lepsza od innych. Wzięłaś starego dla pieniędzy, co? Ale taki stary, jak myślisz, jeszcze nie jestem. W biurze mają dla mnie respekt. Słyszysz, respekt. Nie taki stary, ty...

Podszedł do niej stukając cienkimi jak patyki nogami, wokół których skrecały się nie odprasowane domowe spodnie. Z wysuniętą

wprzód głową stał przed nią jak rozdrażniony kogut i patrzył ze złością, ale i strachem jednocześnie.

- Uważaj, Anno, i pamiętaj, że mamy intercyzę. Słyszysz, intercyzę.

Odwrócił się, wcisnął głowę w ramiona i człapiąc pantoflami wyszedł do hallu. Słyszeli, że mruczy wchodząc po schodach, słyszeli, że jedenasty stopień zatrzeszczał i drzwi na górze trzasnęły.

W pokoju zapanowała cisza. Skorpion wlaźł do swej jamy, pomyślał Jonas. Szczur wlaźł do nory. Dotknął pleców Moniki, żeby poczuć jej bliskość, żeby się upewnić, że warto znosić zaczepki starego. Dwa lata w jednym domu ze skorpionem, w dodatku na tym samym piętrze, co noc zasypiał w odległości paru zaledwie metrów od tego jadowitego robaka. Wprawdzie dzieliła ich ściana, ale oddychali tym samym powietrzem. Gdy tylko stary był w domu, egzystencja jego sekretarza stawała się udręką. Stary mówił, że ma zrobić to lub owo. Nie prosił, rozkazywał. A on robił, co kazano, bo pod tym samym dachem, w tym trzeszczącym starym domu, który w jesienne księżycowe noce wydawał się równie upiorny jak sam starzec, mieszkała także jego córka. I w więzieniu mógłbym mieszkać, myślał, gdyby ona tam była. Bo cóż znaczy właściwie tych parę godzin przymusowych robót codziennie po studiach nad precedensowymi wyrokami w sprawie opóźnień w dostawach, jeżeli dzięki temu odpuszczona mu zostaje zbrodnia kochania jej i posiadania jej od czasu do czasu, i to w odległości kilku metrów od siedziby zła.

Pieścił wzrokiem twarz Moniki. Pociągająca, upragniona, była tuż przy nim, a szaroniebieskie oczy odzwierciedlały uczucia poruszające najgłębsze zakamarki jej istoty. Prosty, cienki nos, miękkie usta, smakujące czasem wanilią, a czasem malinami, szczupła szyja, wąskie, trochę kanciaste ramiona, skóra gładko obciągająca mięśnie. Przytulił

ją, objął przegub jej ręki. Jak skorpiony mogą mieć takie piękne dzieci, pomyślał. No, Anna jest przecież piękna, a dwadzieścia lat temu musiała być prawie niepojęcie, przerażająco piękna. Powędrował wzrokiem w głąb pokoju, gdzie na prawo od balkonu wisiał oprawny w ramę afisz. Wypisane wielkimi czerwonymi literami, będącymi pełnym fantazji skrzyżowaniem garmondu z egipskim pismem klinowym, widniało jej nazwisko: Anna Shonborg. Pewnie marzyło jej się, że będzie błyszczeć na estradach, to było jeszcze, zanim wymieniła tę możliwość na Vadego. Uważał, że te litery przypominają samą Annę - kobiece linie, kusząco zaokrąglone, tyleż artystyczne co realne. Właśnie tak były wykrojone te czcionki. Lubił patrzeć na Annę, gdy siedziała niby ptak, który sfrunął na obitą zielonym pluszem sofę. Stworzona była, żeby mieć piękne dzieci, obojętne, czy ojcem ich byłyby Zeus, Apollo, czy dyrektor Vade.

- Anno - powiedział.
- Cóż, przyjacielu?
- On pewnie ma rację, wzięłaś go dla pieniędzy.

Uśmiechnęła się i sięgnęła po papierosa; zapaliła, nie odrywając spojrzenia od Jonasa.

- W każdym razie nie po to, żeby je posiadać. Łożył na moje studia.

- Byłaś więcej warta.

Roześmiała się, jakby ją rozbawiło takie sformułowanie.

- Nie wiem - powiedziała. - Nie wtedy. Miał też stosunki, a poza tym jego matka wciąż się martwiła, że jest taki chorowity. Ponieważ ona sama, wciąż niedomagając, dożyła lat dziewięćdziesięciu pięciu, powinnam była traktować to jako ostrzeżenie, ale ludzie mówią, że kobiety zawsze żyją dłużej niż mężczyźni. A najgorsze, że nigdy nie zdobyłam się na jakąś decyzję, żeby się wyzwolić.

Jonas wydał usta i uśmiechając się nieco ironicznie zerknął na Monikę. Powiedział znacząco:

- No i intercyza przedślubna...

- A tak. Zawsze był ostrożny, gdy chodziło o kontrakty. Najchętniej płaci na bieżąco, daj, a ja ci zapłacę. Obecnie niewiele z tego zostało tak dla jednej, jak i dla drugiej strony.

Nerwowym ruchem zdusiła papierosa, chociaż nie był jeszcze nawet do połowy wypalony, i przeniosła się z sofy na fotel. Ale jakoś nie mogła znaleźć spokoju, wstała i z opuszczonymi wzdłuż bioder rękami rozejrzała się po pokoju.

- Najgorsze, że nie mogę już śpiewać, ten biedny pies na dole, kiedy jest sam, wyje, a ja... - Roześmiała się. - Najgorsze teraz... Parę lat temu co innego było najgorsze.

- Co mianowicie?

- A jak sądzisz?

Poniosła ją fala obrzydzenia, któremu nie mogła się oprzeć, natomiast zauważyła, że Jonas i Monika to dostrzegli. By ukryć swe uczucia, odwróciła się do nich plecami i podeszła do fortepianu. Uderzyła akord - nie zabrzmiał czysto.

- Można trwonić lata, kiedy się ich ma pod dostatkiem - powiedziała cicho - ale gdy trzeba farbować włosy, żeby utrzymać ich czerń, to już gorzej.

- A więc rozwód.

Roześmiała się suchym, bezradnym śmiechem.

- Czekałam, że jakoś samo się to załatwi. Ja jestem za leniwa. Są przecież możliwości rekompensaty. - Z rozbawieniem spojrzała na Jonasa. - Tylko nie zamykać oczu, a świat okaże się pełen możliwości, nieprawda? Moja siostra powiada, że bardziej interesujące jest polowanie na dzikiego ptaka niż koguta w kurniku.

Jonas ukradkiem spojrział na Monikę. Czuł się zaskoczony, nie tyle ze względu na siebie samego, ile ze względu na nią. Monika jednak tuliła się do niego miękko, równie spokojna jak przedtem. Anna znowu się uśmiechnęła.

- Przeprowadzić rozwód, powiadasz, pewnie, że to jest wyjście. Tylko że teraz... - Odrzuciła głowę w tył, usiadła przy fortepianie i wydobyła z niego kilka burzliwych akordów. - Teraz Anna zaśpiewa.

Ręce jej opadły, paznokcie wpiły się w uda. Drżącym głosem, cicho, jakby zapominając o obecności innych, szepnęła:

- Nie, Anna nie ma odwagi...

W pół godziny później na leśnej drodze dał się słyszeć warkot silnika, zapuszczanego i wyłączanego. Reflektory wyczarowywały światła i cienie, żywe, poruszające się wśród jodeł za szybami, kilka migotliwych blasków wcisnęło się przez uchylone okna. Koła zazgrzytały na zwirowanym podjeździe, wyłączono silnik, zapanowała cisza. Potem trzask drzwiczek samochodu i dźwięczny altowy głos Agdy: - Przecież włączyłam ręczny hamulec. Czy oni nie powinni postawić bariery przed schodami, żeby się samochód nie staczał? Droga Almo, patrz, gdzie idziesz... - Alma odpowiedziała coś niedosłyszalnego głosem powolnym, melodyjnym, jeszcze głębszym niż głos Agdy. Rick zaczął szczeekać. I znowu zachłystujący się zachwytem głos Agdy: - Mój pieszczołek usłyszał, że pani wróciła do domu. - I szybka zmiana tonu: - Bądź uprzejma dać mi klucz... - i niecierpliwie: - Sylwio, powiedziałam: klucz. - Skrzypienie żwiru pod butami, otwieranie drzwi na dole, głucho ich trzaśnięcie w głębi mieszkania, potem skomlenie i radosne ujadanie psa i ochocze krzyki Agdy.

W kilka sekund później szybkie, równe stąpanie po schodach, ktoś się zatrzymał przed wejściem na pięterko Anny. Pukanie do drzwi. Anna podniosła wzrok, odłożyła książkę i zsunęła nogi z sofy. Przeciągnęła się ziewając i wyszła do hallu.

- Mogę wejść?

- Oczywiście. Proszę. Przyjemnie było?

Wszedł Bengt Ahlgren.

- Byłem prawie pewien, że już śpicie. Owszem, im z pewnością było przyjemnie.

Wziął Annę pod ramię i wprowadził do salonu, ruchem ręki pozdrowił Monikę i Jonasa i puścił piękną ciotkę.

- Mama zamierza urządzić poteatralną kolację u siebie na dole, wysłała mnie, żebym was zaprosił, jesteście oczekiwani za pięć minut, mama zastuka w rurę. Będą raki z odrobiną kawioru pod ogonem, opiekany chleb, wino reńskie.

Anna znowu wygodnie usadowiła się na sofie.

- Dziękuję, mój przyjacielu, ale ja nie pójdę. Anna jest zmęczona.

- Anna pija tylko szampana, wiadomo... - Bengt przechylił głowę w bok i zmrużył oko. - Warto by iść na górę i zaprosić starego. Zabawne byłoby patrzeć, co się będzie działo, kiedy spróbuje kopnąć psa...

- Tatuś liczy swoje znaczki - powiedziała Monika. - Zresztą nie znosi raków. Ale Jonas i ja możemy wsunąć po kilka sztuk.

Nakazująco spojrzała na Jonasa, a on wycisnął pocałunek na czubku jej nosa.

W tym właśnie momencie wkradło się dobrze znane trzeszczenie jedenastego stopnia schodów wiodących na wyższe piętro.

- Sabotaż - powiedziała Monika i niechętnie odsunęła się od Jonasa.

- O wilku mowa, a wilk... - zaczął Bengt, ale Anna mu przerwała.

- Nie, to z pewnością nie on. Skocz zobaczyć...

Bengt podszedł do drzwi długim bezgłośnym krokiem. Gwałtownie otworzył, wyjrzał, potem zamknął ostrożnie i wrócił.

- Nikogo tam nie ma.

- Przecież słyszałeś.

- Za późno zakrakał kruk... czyli było, ale spłynęło. W starych domach dzieją się dziwne rzeczy, coś trzeszczy, stuka.

- To tylko ten jeden stopień - powiedziała Anna głucho. - Przysięgłabym... - nie dokończyła zdania i na czole jej pojawiła się zmarszczka.

Bengt Ahlgren stał niezdecydowanie na środku pokoju, wsunął rękę w kieszenie. Był to człowiek dwudziestoosmioletni, wzrostu metr dziewięćdziesiąt, odrobinę pochylony, jakby chciał bardziej zbliżyć się ku mniej wyrośniętym ponad ziemię. Twarz miał dość dziecinna, o okrągłych różowych policzkach, pełnych ustach i czystych oczach. Tylko energicznie wysunięta broda i zrośnięte brwi nadawały mu wyraz bystrości. Brwi, wyraźnie zarysowane pod wysokim czołem, były znacznie ciemniejsze niż miękkie blond włosy. Ubrany był w popielaty cętkowany garnitur, modnie skrojony, w białą koszulę z szarym, luźno zawiązanym krawatem, zdradzającym, że górny guziczek koszuli nie jest zapięty. Bengt przed rokiem skończył studia prawnicze. Mieszkał tu w willi na drugim piętrze, miał pokój na lewo w głębi korytarza, przed wejściem do biblioteki dyrektora Vadego. Jonas mieszkał w pierwszym pokoju, pokój między tymi dwoma zwykle bywał pusty, teraz akurat mieszkał w nim Borys.

Ciekaw jestem, dlaczego on tu został, myślał Jonas. Dlatego że stary jest jego klientem? To nie jest dostateczna przyczyna. Pokój kosztuje, więc póki studiował, wcale niezłym rozwiązaniem było mieszkać tu gratis, oczywiście za pewną pomoc, pewien udział w odpowiedzialności za szacherki w deklaracjach podatkowych starego. Skończywszy uniwersytet powinien był opuścić to sowie gniazdo. Jonasa trzymało tu serce. A jak było z Bengtem - może głowa? Badawczo spoglądał na wysoką szarą postać, bardzo by pragnął znać powody tamtego, może właśnie dlatego, że ich nie rozumiał.

Bengt jak gdyby wyczuł jego spojrzenie - odwrócił głowę, zmarszczył czoło.

- Nic nie mówisz, czy ci się sztuka podobała - powiedział Jonas.
- Wcale nie byłem w teatrze. Odwiozłem ich i zabrałem po spektaklu. Miałem coś do załatwienia. Zresztą to rzecz muzyczna.
- Pewnie spotkanie z dziewczyną - powiedziała Monika.
- Skądże. Z papierami. Papierów mam powyżej uszu.
- I dobrze - zauważyła Anna. - Im więcej papierów, tym więcej pieniędzy. Czy to firma powoduje ten zalew papierów?

Bengt poruszył się niecierpliwie, jakby mu nie odpowiadał ten temat.

- Niekoniecznie. Raczej nie. Mam innych klientów, jak wiadomo. Teraz jest uciążliwy okres z deklaracjami wszystkich spółek i zamykaniem ksiąg. Właściwie to żadna przyjemność być radcą prawnym. Wszyscy naciskają, próbują nakłonić do machlojek podatkowych. W żywe oczy kłamią. - Przerzucił się nagle na inny temat.

- Mama chciała prowadzić w powrotnej drodze. Żeby wypróbować, czy to przyjemne przy tym sztokholmskim ruchu, uważała, że o tak późnej porze nie może to być niebezpieczne. Wcale nieźle prowadziła, gdyby tylko pamiętała trochę częściej o spoglądaniu w lusterko wsteczne.

W kaloryferze coś zatrzeszczało, w chwilę później cały pokój wypełnił się zdecydowanym dźwiękiem uderzenia żelazem o żelazo.

Monika poderwała się gwałtownie, pociągając za sobą Jonasa.

- Chodź, kochanie, idziemy na dół, będziemy pić wino. Świetnie się śpi po reńskim winie, nie uważasz? - Mrugnęła na niego, a on

odmruknął, nawiązała się między nimi nic porozumienia wysnuta z błogości wspólnych tajemnic. Anna wbrew zapowiedzi poszła z nimi. Bengt natomiast na podeście, z którego schody wiodły w górę i na parter, powiedział dobranoc. Na dole Agda Ahlgren już na nich czekała w drzwiach kuchni. Zobaczywszy czerwoną suknię Anny, złapała się za głowę.

- O Boże, też jesteś w czerwonym, dziewczyno, okropnie będziemy razem wyglądać, Alma też w czerwonym. Trzy czerwone siostry. Alma oczywiście będzie niezadowolona. - Roześmiała się głośno i zapędziła ich do wnętrza.

- Moja suknia została specjalnie uszyta przed wyjazdem, żeby radośnie wyglądała na przyjęciu Wenera. Wy obie pewnie macie coś innego do włożenia na siebie.

Weszli do pokoju, w którym pasiaste szmaciaki niby wstęgi krzyżowały się na podłodze z szerokich desek, tworząc wrażenie przytulności. Między oknami o białych parapetach stała długa wygodna kanapa. Parę foteli i taboretów obitych kretonem w różowo-białe prążki, dwa krzesła z wygodnymi oparciami, piękna stara oszklona szafa i szereg obrazów na musztardowożółtych ścianach. W rogu pokoju czekała na stole ogromna kryształowa salaterka z rakami nadziewanymi ikłą. Cztery butelki reńskiego wina, osiem wysokich kieliszków ustawionych przy tyłuż talerzykach na bawełnianych zielonych serwetkach.. Spod stołu zerkały czujne oczy irlandzkiego setera.

Agda zatarła ręce i wskazała na stół.

- Nieźle, co? Zaczynam czuć się jak w domu. Muszę przyznać, że rzeczywiście macie mieszkania gościnne wyposażone we wszystko. Dlaczego na miłość boską ich jeszcze nie ma... - Odwróciła się i mocnym altem zawołała:

- Alma, Sylwia, kiedy wreszcie będziecie gotowe? - Wykonała pełny obrót i znowu zwróciła się do Anny: - A gdzie Bengt i Wenera?

- Bengt czuje się zmęczony, a Wenera chyba się nie spodziewałaś.

- Ach tak, no więc policzmy nakrycia... Laleczka nie w humo-
rze... Wyobraź sobie, że dziś w powrotnej drodze ja prowadziłam.
- Bengt o tym wspomniał.
- Śmiertelnie się bałam, ale było przyjemnie.
- Myśmy się śmiertelnie bali - powiedziała Sylwia wynurzając
się z sąsiedniego pokoju. - Mama prowadzi tak impulsywnie.
- Tak być powinno - oświadczyła Agda. - Właśnie impulsywnie.
Uwielbiam ludzi impulsywnych.

Alma Shonborg weszła od strony kuchni. Była średnią z siostr, ale wyglądała na najstarszą. Jej jedwabna suknia miała odcień brunatno-
czerwony, przykry ziemisty kolor, zupełnie nie pasujący do ciemnych
siewających włosów i sprawiający, że chude, blade ramiona wydawały
się jeszcze chudsze i bledsze. Pod szyją miała broszkę z kameą, której
nieustannie dotykała z nerwowym roztargnieniem. Agda okręciła się
w koło i strzeliła palcami.

- Głowa do góry, Alma - zatrajkotała - teraz bierzemy się do je-
dzenia i będzie wesoło. Gwizdniemy na wszystko, na cały świat, za-
raz, jak to było... Melodii nigdy nie pamiętam, ale słowa... siadamy...
Dziś nie musisz się niepokoić o Borysa. Wszystko się jakoś ułoży.

Anna uniosła brwi i spojrzała na siostrę.

- O Borysa? A cóż z Borysem?
- O, nic takiego. Popatrz na Almę, jak się dąsa. Borys mówi, że...
- Zamilknij wreszcie.

Alma zrobiła się kredowobiała. Dwie ostre rysy wokół ust pogłębi-
ły się w fałdy. Oderwała palce od broszki, kurczowo zacisnęła ręce na
piersi. Potem odwróciła się i biegnąc prawie, z tłumionym szlochem
poszła do pokoju za kuchnią, który zajmowała, mieszkając u Anny.
Spoglądali za nią. Bezgłośnie zamknęła drzwi, słyszeli jednak, że dwa
razy przekreśliła klucz w zamku. Jonas nigdy dotąd nie widział Almy.

Powiedziała tylko dwa słowa: zamilknij wreszcie. Głos miała głęboki i ochrypnięty, sepleniała trochę. Agda westchnęła.

- Cóż, będzie nas tylko pięcioro. Może to nawet w sam raz na kilo raków. Siadajmy... Trzeba było może zaprosić tę dziewczynę.

Anna skuliła się, chyba bardzo poruszona tym incydentem z Alną. Sadowiła się przy stole z roztargnieniem, nad czymś się zastanawiając. Wreszcie powtórzyła:

- A cóż z Borysem?

- Jaką dziewczynę? - spytała jednocześnie Monika.

Agda rzuciła siostrze bystre spojrzenie, już nie wyglądała tak miło i dobrodusznie w swej jasnoczerwonej sukni, hojnie wydekoltowanej na ramionach i biuście.

- Borys słyszy głosy - powiedziała. A zwracając się do Moniki wyjaśniła: - A jeśli o dziewczynę chodzi, to podwieźliśmy ją. Stała z podniesionym palcem przy drodze tuż za miastem, więc zatrzymałam się i zabrałam ją. Mówiła, że mieszka tu niedaleko. U jakiegoś architekta. Zechce pan otworzyć dwie butelki, panie magistrze. Mężczyźni zwykle dają sobie z tym lepiej radę. Może zresztą przejdziemy na ty.

Monika spojrzała na matkę, a Anna odwzajemniła spojrzenie. Miażdżąc w palcach skorupkę raka, aż sok ściekał po palcach, zwróciła się do Agdy:

- Powiedziała, jak się nazywa?

- Oczywiście. Rita, chyba Jansson, tak mi się zdaje. Miła dziewczyna. Mówiła, że zna ciebie i Wenera. Jest pewnie córką tego architekta?

Anna podniosła się tak gwałtownie, że omal nie przewróciła krzesła. Ogień uderzył jej na twarz.

- Powinnam była jednak od razu iść spać - powiedziała. - Wybaczcie, że odejdę. Jestem zmęczona. Pójdę się położyć. - Po tych słowach odeszła na górę.

Agda szeroko otworzyła oczy.

- Zostało nas czworo... Co to ma znaczyć, na Boga? Sylwio, co to takiego?

Sylwia wysysała raka.

- Jonas, bądź uprzejmy nalać wreszcie. Ja nic nie rozumiem, mamusi. Co do mnie, to nazywam się Sylwia, mam lat dwadzieścia dwa, chłopcy zawsze mówią, że miła ze mnie dziewczyna, tylko nic nie rozumiem... - Uśmiechnęła się z zadowoleniem i dodała: - Wiesz co, nie uważam, żeby ta dziewczyna przyjemnie wyglądała. Ale zapomnijmy o niej i wypijmy zdrowie największego z aktorów, Jarla Kullego. Poza tym nie powinnaś była mówić o Borysie. Jeżeli słyszy głosy, to jego sprawa. A co one mówią? Bo to jest istotne. Wiesz, co mówią?

Agda kiwnęła głową, wyraźnie unikając spojrzenia Moniki.

- Jest to oczywiście zupełna niedorzeczność. - Umoczyła usta w winie i dodała cicho: - Mówią mu, że stary umrze. Wyobraź sobie: stary umrze.

Wkrótce po północy Monika poszła z Jonaszem do jego pokoju. Z tyleż instynktowną co niezawodną pewnością ominęli jedenasty stopień i cichcem weszli do skromnie umeblowanej kawalerki - był tam tylko tapczan, kilka krzeseł, biurko i gruby dywan, o który Monika się postarała, żeby nie było słychać jej stąpania, kiedy jest tu na górze. Jonas nie zapalił lampy. Za oknem ponad wierzchołkami jodeł, zębatą linią odcinających się na tle nieba, wisiała przyjazna tarcza księżycy i dostatecznie oświetlała pokój, mógł dojrzeć swoją dziewczynę. Objął ją, gwałtownie całując pociągnął na tapczan, delikatnie ugryzł ją w ramię. Broniła się słabo, tuląc jego głowę do ramienia i szepcząc:

- Nie, Jonas, nie teraz, w głowie mi się kręci...

- Mnie też - odszepnął. - Myślisz, że ja nie jestem pijany? Ale to nie ma znaczenia. Rozbierz się, kochanie...

- Teraz nie - powiedziała dysząc lekko i odsuwając go - Jeżeli nie będziesz grzeczny, pójdę sobie.

Jonas rozważał tę groźbę, a podniecenie i wino sprawiały, że pokój wirował trochę niby trójwymiarowa mgławica. Wreszcie powziął postanowienie. Oparł głowę o ścianę i przyciągnął do siebie Monikę.

- Okay - powiedział. - Możemy to odłożyć... Dlaczego Annę tak wzburzyło, że podrzucili Ritę?

- Nie lubi Rity. Myślę też, że rozdrażniło ją to „córka architekta”. Rita zresztą ostatnio zadiera nosa wobec mamy, a mama tego nie lubi.

- Czuje poparcie starego.

- Oczywiście. Ale możesz być pewien, że jak przyjdzie w tej sprawie do awantury, mama zwycięży. A co myślisz o Sylwii?

- Niezła. Przynajmniej zewnątrz. Ona jest pielęgniarką?

- Dentystyczną. Pracowała u dentysty w Norrköping, ale jej wymówił, bo flirtowała z pacjentami.

- Aha. A na tej umiejętności mu nie zależało. Mieszka teraz z matką?

- Chyba nie. Mają dom na wsi. Nie przypuszczam, żeby Sylwia i Agda mogły dłużej razem wytrzymać. No, oczywiście wyjdzie za mąż. Ma dwadzieścia dwa lata i była już kilka razy zaręczona.

- Puszczalska?

- Też coś! Myślisz, że to rodzinne... - Monika, trochę wstawiona, prychnęła śmiechem i otarła się o jego policzek. Potem znowu spoważniała. - A z Borysem to coś okropnego, nie uważasz?

- Że słyszy głosy? Czy masz na myśli starego? Ja nie zauważyłem, żeby z nim było kiepsko, jest może trochę spięty. Zresztą mnie nie pytaj, ja Borysa prawie nie znam.

- Alma poczuła się bardzo urażona.

- Chyba tak. Ona jest wdową?

Wyczuł w ciemności, że Monika przecząco potrząsnęła głową.

- Nigdy nie była zamężna. Kiedyś, dawno, uczyła się rosyjskiego na studiach. Pojechała do Leningradu na kurs. Tam jej się to przyda-
rzyło.

- Co? Borys?

- Właśnie, z jakimś aktorem. Od tamtej pory nie znosi mężczyzn,
prócz Borysa oczywiście. On jest potwornie rozpuszczony. Mama
mówi zwykle...

Opowiadała dalej sennie, na pół szeptem, a Jonas spoglądał w noc
za oknem. Czuł się ociężały słuchał jednym uchem tylko, zupełnie mu
to wystarczało. Po prostu z czułością rejestrował jej głos, poprzesta-
wał na chwytaniu ledwie dosłyszalnych dźwięków. Cóż go obchodzi-
ło całe jej otoczenie, rodzina, ciotki i kuzyni. Okno było jak rama
obrazu, przedstawiającego niebo w nocy. Światło księżyca okrywało
jodły osobliwym szarym welonem. W całym domu panowała cisza. A
oni zamknięci byli we dwoje w tej niezwyklej ciszy, on i Monika, jej
cicha paplanina była dla niego uspokajającą muzyką. Nagle zauważył,
że Monika przestała mówić. Siedziała obok znieruchomiła jak posąg,
zwrócona w stronę okna. Czuł, że dziewczyna drży, chce coś powie-
dzieć, wreszcie pojawił, o co jej chodzi, i spojrzał. Za oknem jakaś twarz
przyciśnięta do szyby - wydawała się czarna, jajowata na tle słabo
oświetlonych obłoków, dojrzał oczy, usta rozciągnięte w grymasie
uśmiechu - w następnej chwili zniknęła. Jonas rzucił się do okna, ale
potknął się o nogę Moniki i upadł. Wstał szybko, udało mu się otwo-
rzyć okno na rozcież. Jakiś mężczyzna zeskakiwał właśnie z drabiny,
wysokiej chwiejnej drabiny, którą Jonas sam przystawił do ściany,
żeby móc naprawić blaszany parapet. Ów człowiek jak spłoszone
zwierzę przemknął w cień pod drzewa i zniknął. Jonas zamknął okno i
wrócił do Moniki.

- Kto to był? - spytała bez tchu.

- Nie wiem. Uważam za bardziej interesujące, czego chciał.

Zapalił górną lampę, co natychmiast zmieniło okno w czarną plamę, zniweczyło możliwość dojrzenia czegoś na zewnątrz.

Monika spoglądała na niego ze strachem.

- Nie zszedłbyś i nie sprzątnął drabiny?

- Oczywiście. Bardzo to nieprzyjemne.

Po cichu zszedł na dół i otworzył zewnętrzne drzwi. Kilka sekund stał, by przyzwycząić oczy do ciemności, potem poszedł za węgiel, gdzie stała drabina. Tam odkrył, że nie tylko w jego pokoju pali się światło. Widocznie Vade nie ułożył się jeszcze do snu. Jonas przez chwilę wpatrywał się w słabo oświetlony prostokąt, nagle ogarnęła go nieprzeparła ochota, by zobaczyć, co stary tam robi. Bardzo ostrożnie, by nie szurać nią po ścianie, przesunął drabinę na prawo, wspiął się, równie ostrożnie, szczebel po szczeblu, na wysokość okna i odchyliwszy się w bok zajrzał.

Paliła się tylko lampka na nocnym stoliku, słabego światła wystarczyło na oświetlenie sceny, która utrwaliła się na jego siatkówce raz na zawsze, nie do zatarcia. Na łóżku leżała Rita - pomoc domowa w rodzinie architekta - naga, z podciągniętymi kolanami, z ramionami zarzuconymi pod głowę, w jednej ręce ścisnęła plik banknotów. Oczy miała zamknięte, wyraz twarzy w całej nagości ujawniał jej lekkość. Stary Vade klęczał obok i drżącymi z podniecenia palcami gładził skórę dziewczyny. Nagle dźwignął się z trudem, chwycił pasek od spodni i zaczął nim bić leżącą niepohamowanie a zarazem bezsilnie. Rita krzywiła się tylko bezgłośnie. Jonas poczuł, że wzbiera w nim obrzydzenie. Zszedł z drabiny, zabrał ją spod ściany, odniósł do garażu. Mruczał sam do siebie:

- Ohydne. Czego ludzie nie robią dla pieniędzy. Ciekawe, czy Anna wie...

II

Rano zerwał się wiatr. Jonasa zbudził stukot otwartego okna. Wstał i umocował je na haczykach. Potem zrobił kilka głębokich wdechów, wyrzucając ręce w górę i w bok. Powietrze było chłodne, orzeźwiające. Delikatne zielone pędy jodeł lśniły w słońcu, a sieć zwisających brzoźowych gałązek mieniła się fioletem, zdradzającym pęcznienie od soków i zapowiadającym rozwinięcie się liści. Jakiś samochód wolno jechał drogą. Pewnie architekt do pracy. Uporawszy się z zabiegami gimnastycznymi, Jonas wyjął z biurka pudełeczko pigułek, przełknął jedną, wsunął nogi w pantofle i poszedł pod prysznic.

W kwadrans później zszedł do mieszkania Anny. Bez pukania otworzył drzwi kuchni i przeszedł między stojącą w rogu olbrzymią lodówką a wózkiem do herbaty, który Anna zostawiła na środku. W sąsiadującej z kuchnią jadalni stół był nakryty do śniadania. Jajka na miękko w żółciutkim ogrzewaczu, masło, chleb, marmolada, dzbanek z kawą, płatki owsiane w porcelanowej salaterce. Płatki były stałym daniem śniadaniowym Vadego - bogate w witaminy, łatwo strawne, odżywcze i sycące, a ponadto nie przyczyniające się do zwapnienia żył. Anna siedziała przy stole w rubinowoczerwonym, chrzęszczącym przy każdym poruszeniu szlafroku. Powitała Jonasa uprzejmie:

- Wcześniej dziś. Chyba nie zapomniałeś zakręcić prysznic. Pewnie udał się wieczór...

- Raczej tak. Przyjemnie było wczoraj. Monika pewnie jeszcze leży w pościeli jak kwiat w celofanowym pudełku.

Anna roześmiała się, a Jonas umieścił jajko w kieliszku, wolniutko ściał czubek, posolił zawartość skorupki i podniósł do ust łyżeczkę płynnego żółtka. Anna nalała mu kawy.

- Dla starego okropne będzie, że przyszedłem przed nim, co też wynajdzie, żeby ponarzekać... - urwał. Do świadomości powróciła nieprzyjemna scena nocna. Mimo woli szybko zerknął na Annę, jak gdyby oczekiwał, że wyczyta z jej twarzy, czy wie, jakim malowniczym zбочnieniem oddaje się stary. Dostrzegła jego spojrzenie.

- Drabinę w każdym razie sprzątnąłeś?

Kiwnął głową i poczerwieniał. Co to za aluzja. Czyżby umiała czytać w myślach?

- Oczywiście. Ponieważ - sobie życzył: - Zauważył, że mówi głosem drżącym i nienaturalnym. - A parapet może zaczekać, dziś zajmę się łodzią. Mam zresztą wykład po południu.

Drzwi kuchni otworzyły się i zamknęły z trzaskiem. Do jadalni zbliżały się szybkie drobne kroki z akompaniamentem świszczącego oddechu. Stary stanął w drzwiach i przyjrzał się im spod krzaczastych białych brwi. Jego szary garnitur był nie najświeższy i nie wyprasowany, a kołnierzyk koszuli dość podejrzanie wyglądał w świetle padającym z okna. Nie zadał sobie trudu przywitania się, mrużąc coś postawił teczkę pod ścianą, usiadł przy stole, odchrząknął i zabrał się do owsianki. Skończywszy powiedział oschle, ale nie wrogo:

- Gdzie Monika?

- Śpi - odpowiedziała Anna.

- Je dziś ze mną lunch. Powiedz jej, ma być o dwunastej „Pod Baldachimem”. - Zastanowił się nad czymś. - Która godzina? Zegarek mi stanął. Ktoś go zrzucił z nocnego stolika.

Wyłowił z kieszeni kamizelki i z irytacją przyłożył do ucha dyndający na dewizce zegarek. Anna zagryzła wargi.

- Któż to mógł być? Nikt prócz ciebie tam nie wchodzi. A jeżeli już o tym mowa, mogę prosić o klucz od pokoju? Robimy dziś pranie, trzeba zmienić pościel.

- Powiedz Ricie - rzekł obojętnie. - U mnie nikt nic nie ma do roboty. Kiedy poprzednim razem zostawiłem klucz, zniknęły trzy znaczki, wyrzucono gazetę z interesującym artykułem o rynku zachodnioindyjskim i nie mogłem znaleźć pantofli... A jeżeli o zegarek chodzi, to zupełnie niezrozumiałe, jak znalazł się na podłodze.

A nie wydaje ci się, że mógł spaść, kiedy wywijając paskiem? - pomyślał Jonas.

- Gdzie Bengt? - ciągnął stary. - Pojechał już do miasta? Ma być u mnie w biurze o dziesiątej. Zawiadom go.

Anna ze zniecierpliwieniem potrząsnęła głową.

- Skąd mogę wiedzieć, czy pojechał. Lepiej sam do niego zadzwoń z biura. Masz przecież sekretarkę od takich spraw.

Stary wytarł usta i wyprostował się.

- No dobrze, może to zrobić. Ile pieniędzy potrzebujesz na dom? - Wyjął portfel, mieniący się wesoło barwnymi meksykańskimi haftami na skórze, wyciągnął setkę i spojrzał pytająco. Anna potrząsnęła głową. Wyciągnął jeszcze jedną i rzucił banknoty na stół.

- Powinno wystarczyć - powiedział krótko. - Nie odpowiedziałas jeszcze na moje pytanie, która godzina.

- Punkt ósma.

- O, już tak późno. - Wyskrobał resztki owsianki, jeszcze raz wytarł usta i wstał tak szybko, że krzesło się pod nim przewróciło. Pies na dole zaczął szczekać. - Na obiad dziś nie wrócę, możliwe nawet, że zanocuję w biurze, wtedy zadzwonię.

- O której zadzwonisz? Po południu będę w pralni i potrwa to pewnie do późna.

Stary uśmiechnął się gorzko.

- O, będzie chyba ktoś w domu i odbierze telefon. Taki tu teraz tłum mieszka...

Chwytał teczkę, potknął się o wywrócone krzesło, co wywołało ponowne szczekanie na parterze.

- Przekłety kundel - mruknął z wściekłością i wyszedł przez kuchnię, nikogo już nie zaszczycając spojrzeniem.

Anna westchnęła, ale gdy drzwi się zamknęły, na jej twarzy powrócił uśmiech pełen rezygnacji, a zarazem przekory. Wzięła jeszcze jedną kromkę chleba, rozsmarowała na niej masło cieniutką warstwą, z całą świadomością zawartych w nim kalorii, potem marmoladę, wlała kawy w nie tkniętą filiżankę starego.

- Mam nadzieję, że zdąży na autobus. Sądę, że powinieneś zjeść jeszcze jedno jajko. Pójdę zanieść Monice kawę. Jak się pobierzecie, pamiętaj, że ona uwielbia dostawać kawę do łóżka...

Samotnie skończywszy śniadanie Jonas wyszedł na słońce - które już zdążyło podnieść temperaturę o kilka stopni - i skręcił za róg domu. Dostrzegł w hamaku Borysa zatopionego w lekturze. Zakradł się cichutko i nagle wystawiwszy głowę zza niebieskiego płótna szepnął:

- Może poszedłbyś ze mną obejrzeć łódź?

Borys, zaskoczony, zerwał się, czarne oczy załśniły nieprzytomnie. Zobaczywszy, że to Jonas, uśmiechnął się z przymusem.

- Owszem. Masz łódź?

- Chwilowo jeszcze na łądzie. Zamierzam ją doprowadzić do porządku w najbliższych dniach. Pójdziesz ze mną?

Borys zgodził się z ożywieniem.

- Oczywiście, oczywiście, książkę tu zostawię, mama się nią zajmie. Mówiłem jej, że będę w hamaku.

Rzucił książkę i poszli ku drodze.

Borys Shonborg był synem Almy. Miał bujne ciemne włosy, zaczesane do góry i spadające aż na kark, tylko na skroniach przycięte, tworzące coś w rodzaju bokobrodów. Brwi tuż nad oczyma, prawie czarne, mocno zarysowane, sprawiały, że oczy wydawały się zbyt

blisko osadzone. Wydatny nos, w prostej linii łączący się z czołem, tworzył grecki profil. Kości policzkowe wystające, broda wysunięta i rozdzielona rowkiem, usta wąskie, zaciśnięte. Szczupła twarz miała wyraz fanatyczny. Borys, choć chudy, był mocno zbudowany. Idąc wywijał rękami o długich kościstych palcach. Rękawy koszuli miał podwinięte, przy każdym prawie kroku zaciskał dłonie, tak że mięśnie przedramion napinały się pod skórą. Ubrany był w dżinsy i rozpiętą koszulę, odsłaniającą owłosioną pierś. Na koszulę narzucił czarną, także rozpiętą kamizelkę z miękkiej skóry.

Jonas przyglądał mu się ukradkiem. Jeżeli nawet był dziwny, nie należał wcale do typu niesamowitych. Był w nim jednak jakiś niepokój, który mógł robić nieprzyjemne wrażenie, a nawet odstraszać, gdyż zdawał się nie panować nad ruchami, wiodły one odrębny żywot bez kontroli mózgu. Jonasowi wydawało się, że Borys zbyt mocno trzyma się Almy. Mama zajmie się książką. Może mama zbyt się zajmowała swoim Borysem.

Doszli do wybrzeża. Lekka bryza od Edsviken pochylała suche pałki trzciny, które z chrzęstem uderzały o siebie. Jonas wskazał łódź, odwróconą do góry dnem i ustawioną na solidnych wbitych w piasek krzyżakach o kilka metrów od brzegu.

Podszedł do dzioba i z jakiejś kryjówki wyciągnął skrobaczkę i karbidówkę; zapalił lampę, a kiedy błękitny płomyk wystrzelił w powietrze, troskliwie sprawdził szpary między spojeniami kadłuba. Powinien był dawniej zatroszczyć się o te usterki, zanim okrył łódź na zimę - całe kolonie wodorostów tkwiły w drzewie, przyschnięte, jakby wrośnięte, czarne, smętne. Cała robota została mu na teraz, wiele dni pracy, nim można będzie spuścić łódź na wodę. Z westchnieniem rezygnacji zaczął przypiekać lampą deski, robiły wrażenie, jakby się gotowały, gdy stary pokost pęczniał na nich w bąble, pękał i spalał się.

Borys w milczeniu przyglądał się tej pracy.

- Zupełnie jak ogień czyścowy - powiedział ochryple.

Jonas spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Niczyja dusza nie jest wypełniona tak czarnymi grzechami - powiedział cierpko. - Gdyby tak było, poszłaby prosto do piekła.

Natychmiast zrozumiał, że Borys nie lubi takich żartów. Wyraźnie sposepniał, ale powiedział tylko:

- Mało o tym wiesz.

- O czyścicy czy o piekle?

- O jednym i o drugim. Wolny wybór. Możesz tam wejść przez czarną bramę albo przez ogień, sam wybierasz...

- Kapuję - ironicznie powiedział Jonas. - Masz na myśli pogrzebanie w ziemi albo krematorium. Weselszych piosenek tam w Lund nie śpiewacie?

Borys uniósł brwi, zdaje się, zupełnie nie rozumiał.

- Ty masz, u licha, pomysły - powiedział Jonas. - W taki piękny dzień. Poza tym...

Słońce zaszło właśnie za obłok. Obłok, choć biały, rzucał na wodę granatowy cień. Jonasa mimo woli przeniknął dreszcz.

- Wybór byłby chyba dość trudny - powiedział do siebie raczej, ale Borys usłyszał.

- Możesz otrzymać pomoc, by przejść przez próg.

- Mówisz symbolami.

- Gdy matka uderzy dziecko, odczuwa ono ból, choć wychodzi mu to na użytek. Matka jeszcze bardziej odczuwa ból. Dziecko zapomni, matka nie. Dziecko zaśnie, matka nie. Kiedy dziecko się zbudzi, będzie nowy dzień, wszystko wybaczone, rozumiesz...

Jonas przykręcił lampę, postawił ją na łodzi i przyglądał się Borysowi ze zmarszczonym czołem.

- Nie - powiedział krótko.

- Bez znaczenia. Jeszcze zrozumiesz.

W tejże chwili na drodze ukazała się Monika. Bardzo jej było do twarzy w krótkiej zamszowej kurteczce koloru miodu. Jonas odczuł

ulgę na jej widok. Radośnie machnął ręką, ona też i przyspieszyła kroku. Zbliżywszy się spojrzała na Borysa, na odstawioną lampę i jakby od razu pojęła, że coś mu przeszkadza w pracy.

- Dzień dobry, kochanie. Dobrze się spało?

- Źle, ale za to długo. Przez całą noc włąziłam na drabiny, bardzo dziwaczne moim zdaniem. A kiedy znalazłam się na szczycie, trzeba było zaczekać albo się obudzić.

- I co robiłaś?

- Budziłam się raz po raz, a potem od nowa drabiny.

- Przeczytaj sobie Freuda - ponuro powiedział Borys. Potem odwróciwszy się na pięcie odszedł.

Monika pocałowała Jonasa.

- Ależ ty masz dziwacznych kuzynów - powiedział. - On mnie naprawdę niepokoi, ale jeżeli chodzi o Freuda, to coś w tym jest. A ja myślałem, że masz to już poza sobą. Najwidoczniej jednak potrzebujesz jeszcze ćwiczeń, i to dużo...

- Głuptas. Pomogę ci przy skrobaniu.

- Jesteś aniołem, - Wręczył jej skrobaczkę, a sam przykucnął, żeby na nowo tchnąć ducha w lampę.

- Trzeba ci wiedzieć, kochanie, że to jest ogień czyścicowy. Przypiekać trzeba ostrożnie, żeby cały ten gruchot nie wyleciał w powietrze.

Pierwszy asystent wydziału kryminalnego Bertil Durell szedł przez korytarz ze swego pokoju do pokoju szefa. Z głębokim namysłem wczytywał się w jakiś papier, jednocześnie usta układały mu się do gwizdu i wydobywały się z nich piękne trele, w pełni oddające koloraturowe partie arii z dzwonami z „Lakme”, każdy ton słyszalny, żaden odcień nie zagubiony. Zatrzymał się przed drzwiami z tabliczką,

na której białe plastikowe litery na zielonym tle tworzyły napis „Komisarz Sargren”. Zapukał delikatnie, przestając jednocześnie gwizdać, pochylił okrytą marchwianorudą czupryną głowę, by lepiej usłyszeć, potem otworzył drzwi nie czekając na odpowiedź z wewnątrz. Komisarz stał przy oknie, zwrócony plecami do pokoju. Był wysoki i chudy. Powietrze wokół niego było niebieskie od dymu cygara, które nieruchomo trzymał w palcach.

- Jesteś własnym heroldem, Durell. Bardzo ładnie to brzmiało - powiedział nie odwracając się.

- Proszę. Już się przyznał.

- Znakomicie.

Sargren wrócił do biurka, usiadł i oparłszy się zatopił spojrzenie swych szarych oczu w niebieskich oczach Durella - nie mających wyraźnych konturów, jakby rozplywających się w różowości twarzy usianej miriadami piegów.

- Słucham.

- Masz tu wszystko - powiedział Durell. - Możesz zatrzymać te papiery. On zupełnie poważnie wierzy, że była czarownicą, przekonał się o tym już około Wielkanocy. Zaczęło się od tego, że kupiła miotłę, żeby mieć, jak pojedzie na wieś.

- Aha, i wtedy wlał w nią ług.

- Właśnie. Zupełnie przypadkowo oczywiście. W religijnej ekstazie. Sprawa wyjaśniona.

Sargren kiwnął głową, wyciągnął chusteczkę i wytarł nos, a po policzkach stoczyły mu się łzy. Durell przyglądał mu się współczująco.

- Nie przejmuj się tak bardzo, Staffan. Pewnie, tragiczny los ludzki, ale cóż, my wykonujemy tylko naszą robotę.

Szef wytarł oczy wierzchem dłoni, wsunął chustkę do kieszeni.

- Przeziębiony jestem, jęłopie.

Potem wziął leżącą przed nim kartkę i podał ją Durellowi.

- Zechciej na to spojrzeć. Dostałem przed chwilą. Jakiś chłopak się zawieruszył, wpłynęło zgłoszenie, zaraz zobaczę... - Szukał nazwiska. - Werner Wade, dyrektor, lat osiemdziesiąt, zamieszkały w Ulrikssdal, biuro na Drottninggatan 75 C. Firma Wade i Sp. Sekretarka zgłosiła, że zaginął, panna... jak-tu-jest-napisane... panna Nilsson, o godzinie szesnastej, tuż przed twoim wyjściem. Wyszedł z biura przed czternastą i potem już nie dał znaku życia...

- Coś niebywałego - powiedział Durell wywracając niebieskimi oczami. - Dwie godziny go nie ma i oczywiście trzeba zawiadomić policję. Żeby ludzie nauczyli się wreszcie czekać, aż...

- Dwie rzeczy, jak mówiła, skłoniły ją do zatelefonowania. Po pierwsze ważne posiedzenie, a po drugie dziwna rozmowa telefoniczna. Robiła wrażenie osoby bardzo rozsądnej.

- Aha. Tylko czy to nie jest sprawa policji sztokholmskiej? Dlaczego akurat my mamy tracić kalorie?

Sargren uśmiechnął się. Nos mu poczerwieniał i teraz widać było, że jest opuchnięty.

- Ona do sztokholmskiej zadzwoniła, ale skierowano ją tu, gdyż zaginiony zameldowany jest w okręgu Solna. Zrób, jak uważasz. Możesz siedzieć z założonymi rękami i czekać. Albo zadzwoń do niej, poproś, żeby się odezwała, jeżeli on się nie pojawi... Albo skontaktuj się z rodziną, musi przecież mieć jakąś rodzinę. Albo sprawdź w szpitalach. Albo zrób mały nalot na instytuty „masażu”, albo zarządz rewidację, albo zawiadom Interpol... Sargren urwał, odsapnął.

- ... w każdym razie ja ci dałem notatkę.

- Albo roześlij listy gończe - powiedział Durell pojednawczo i wziął kartkę.

Przeczytał ją z niezadowoleniem wydymając usta. Potem wetknął do kieszeni niebieskiej prążkowanej marynarki, poprawił pomarańczowo-szmaragdowy krawat, niby egzotyczna roślina spływający na

koszulę, by zniknąć w delcie paska. Kiwnął głową.

- Okay. Zacznę od szpitali. I wpadnę z nią pomówić. Z sekretarką. Jeżeli wrócił, pewnie ją za to wyrzuci, nic na to nie poradzimy.

Pod numerem 75 C przy Drottninggatan znajdowała się jedna z tych szarych ponurych kamienic, od dawna czekających w kolejce na zburzenie. W bramie jeden nad drugim umieszczone były szyldy z nazwami firm, najstarszą założono w roku 1885, wyglądało na to, że i szyld tkwi tu równie dawno.

Durell znalazł dyskretną mosiężną tabliczkę z napisem „Vade i Sp. 3p.” Minął bramę, niby kaplica grobowa sklepioną nad marmurową posadzką i ścianami z popękaną sztukaterią. Natychmiast skojarzyło mu się to ze sceną śmierci w „Aidzie” i zdążył zanucić kilka taktów idąc do windy, która wolno zgrzytając zawiozła go na trzecie piętro. I od razu zmiana dekoracji. Zniszczone sztukaterie zastąpiła złocista boazeria, z wykrojonych w suficie kwadratów łagodne światło sączyło się na wypolerowane do połysku czarne i białe płyty podłogi, Durell natychmiast poczuł się jak pionek na szachownicy. Na wprost szerokie dębowe drzwi z chromowanym szyldem „Vade i Sp. Tow. Akc. Biuro sprzedaży. Maszyny rolnicze firmy Vade”. Wszedł, znalazł się w eleganckim, bardzo nowoczesnym, obszernym lokalu biurowym. Po miękkiej wykładzinie przeszedł do recepcji i zapytał, czy mógłby mówić z panną Nilsson. Recepcjonistka nacisnęła guzik, pochylając się pod kątem, który pozwolił Durellowi na nieskrępowany wgląd w tajemnice jej pulowerka, i powiedziała coś do tubki, potem do Durella: - Panna Nilsson zaraz przyjdzie, proszę usiąść. - Uśmiechnęła się przy tym tak omdlewająco, że pierwszy asystent poczuł krew napływającą do twarzy; nim zdążył ulec pokusie, stanęła przed nim elegancka

kobieta około trzydziestki. Podobnie jak dziewczyna z recepcji była bardzo ładna. Durell obdarowałby dyrektora Vadego kwiatami za umiejętność otaczania się atrakcyjnymi współpracownikami.

- Nilsson - przedstawiła się przyjemnie ściszonego głosem o skońskim akcencie.

Durell zgiął się w ukłonie.

- Więc to pani jest sekretarką dyrektora Vadego...

- Tak... Czy wolno spytać... - dodała tonem zdziwienia.

- Durell. Asystent policji kryminalnej. Pani zgłosiła zaginięcie swego szefa.

Oceniła go spojrzeniem, jakby w niej budził wątpliwości, cień niepokoju przemknął po jej twarzy. Sekunda wahania, potem uśmiechnęła się przelotnie i bezosobowo, skinęła głową.

- Znakomicie. Nie przypuszczałam, że zamierzacie się tym zająć. Wydawało się... że ten, z kim mówiłam... zechce pan pójść ze mną.

Odwróciła się i bezgłośnie, ale zdecydowanym krokiem ruszyła po dywan, który wchłaniał wszelkie dźwięki jak bibuła atrament. Durell szedł za nią z kapeluszem w rękę i z opuszczoną głową. Cieszył go piękny kontrast między jego własnymi butami w kolorze wołowej krwi a mszystą zielenią jej tekstylnego obuwia, prócz tego poruszające się nogi panny Nilsson stanowiły przyjemny punkt oparcia dla oczu. Po przejściu kilkunastu metrów otworzyła drzwi i gestem zaprosiła do wnętrza. Rozejrzał się. I tu wszystko było ultranowoczesne, od dyskretnych dzieł sztuki na ścianach do pastelowego odcienia maszyny do pisania.

- Proszę, zechce pan usiąść. - Wskazała fotel. - To mój pokój, gabinet dyrektora jest obok.

Durell usiadł naprzeciw sekretarki. Pulchne ręce oparł na kolanach. Przesuwając spojrzeniem po pokoju stwierdził, że wszystko jest

tip-top prócz telefonu; aparat telefoniczny był staroświecki, z wysoko umieszczonymi metalowymi widełkami, ze słuchawką i mikrofonem w bakelitowej oprawce. Nie mógł się powstrzymać od skomentowania tego anachronizmu.

- Piękny stary model telefonu - powiedział ostrożnie. - Nie przypuszczałem, że jeszcze są takie.

Spojrzała na niego poważnie.

- Dyrektor życzy sobie, żeby wszystko w biurze było up to date, z wyjątkiem telefonu niestety. To jego słabość, może mania zbieracza. Nie akceptuje po prostu bardziej funkcjonalnych urządzeń, jeśli chodzi o telefon. Cóż, jest bardzo stary. - Uśmiechnęła się znowu przełotnie i bezosobowo.

- Tak, osiemdziesiąt lat. Z jakiego powodu to zgłoszenie, że zaginął, po dwóch zaledwie godzinach wyczekiwania? Jakies posiedzenie...

- Właśnie. Dyrektor zwołał posiedzenie na godzinę piętnastą. Bardzo ważne posiedzenie. W kalendarzu podkreślił to trzy razy na czerwono, co znaczy ogromnie ważne. O czternastej, może trochę przed, miał rozmowę telefoniczną, która spowodowała, że natychmiast wyszedł z biura, wziął taksówkę i...

- Przepraszam, wie pani, kto dzwonił? - przerwał Durell.

- Nie. Rozmowę przełączono do mnie, wszystkie rozmowy dyrektora łączą ze mną. W każdym razie była to kobieta. Natarczywa, bardzo natarczywa, nie chciała powiedzieć nazwiska ani w jakiej sprawie. Zameldowałam dyrektorowi, postanowił mimo wszystko przyjąć rozmowę.

- Mimo anonimowości?

- Właśnie. No cóż... w minutę później poprosił, żebym zadzwoniła po samochód, a po następnych kilku minutach wszedł tu i powiedział, że wyskoczy na chwileczkę. Proszę zwrócić uwagę, panie asystencie, na chwileczkę. Przypomniałam mu o posiedzeniu. Zdążę

wrócić, odpowiedział. Zechce pani notować telefony, jakie będą do mnie w tym czasie... Wyszedł i nie wrócił.

Durell upewniwszy się, że skończyła, zapytał:

- A to posiedzenie, wie pani, czego dotyczyło?

- Właściwie nie. Miało przyjść kilku bankowców, musiało więc dotyczyć spraw ekonomicznych.

Durell wyciągnął notes w czarnej ceratowej oprawie i przygotował się do zrobienia koniecznych notatek, panna Nilsson wyprzedziła go.

- Zamierza pan zapewne spytać, czy bankowcy mogliby powiedzieć, o jaką sprawę chodziło, ale nie mogliby. Kiedy przyszli o piętnastej, a dyrektor się nie zjawił, ogromnie ich to oczywiście zirytowało. Spytałam, o jaką sprawę chodzi, to by mi umożliwiło złapanie gdzieś dyrektora. Mam na myśli, że jeżeli to wyjście miało jakiś związek z przygotowaniem posiedzenia i coś go zatrzymało, to taka informacja pozwoliłaby mi zorientować się, gdzie dyrektor może być. Ale bankowcy zupełnie nic nie wiedzieli. Zostali wezwani i to wszystko. Skontaktowałam się z mecenasem Ahlgrenem, to adwokat dyrektora, bywa zwykle poinformowany, jeśli chodzi o stronę ekonomiczną, ale i on też nic nie wiedział. O wpół do czwartej, przepraszam, piętnastej trzydzieści, bankowcy odeszli. Bardzo niezadowoleni.

Durell kiwnął głową zachęcająco.

- Coś go pewnie zatrzymało na tym spotkaniu o czternastej.

Panna Nilsson prychnęła pogardliwie.

- Wykluczone - powiedziała kategorycznie. – Jeszcze się nie zdarzyło w czasie ośmiu lat mojej pracy, żeby dyrektor opuścił posiedzenie. Owszem raz, ale wtedy zadzwonił i odwołał w odpowiednim czasie. Pod tym względem był wzorowy. Bardzo wymagający szef, ale poza tym niezawodny jak zegarek.

Durell przechyliwszy w bok głowę przyjrzał się jej uważnie.

- Panno Nilsson, powiedziała pani: był wzorowy, skąd ten czas przeszły...

Przez moment wyglądała na zmieszaną, potem znowu odzyskała niezmacony spokój.

- Mogę chyba tak to określić, bo albo nie zatroszczył się o to, żeby zadzwonić i odwołać, a jeżeli tak, nie można już powiedzieć, że jest wzorowy, albo przydarzyło się coś poważnego, a w takim wypadku czas przeszły też może okazać się właściwy...

Durell obdarzył ją cichym uznaniem za tę odpowiedź i podjął nowy wątek:

- Czy pani sama próbowała go odszukać?

- Tak. Dzwoniłam do jego mieszkania w Ulriksdal. Ale i tam się nie pokazał.

- Wspomniała pani o swoim zaniepokojeniu?

- Oczywiście. Jego żony nie zastałam w domu, rozmawiałam z córką. Matka mówiła jej, że ojciec nie wróci na obiad, może nawet przenocuje w mieście. W tym wypadku miał jednak zatelefonować odpowiednio wcześniej. Ale nie porozumiał się z żoną w tej sprawie ani nie wspomniał o tym córce. Dyrektor Vade i panna Vade jedli dziś razem lunch.

Durell uśmiechał się, zadowolony z jasności sprawozdania panny Nilsson. Jeżeli dyrektor był wzorowy, cóż należałoby powiedzieć o jego sekretarce? A jednak miał wrażenie, że ona potrafi być zupełnie inna - między dziewiątą a piątą, przepraszam, siedemnastą, kryje się pod tą efektowną skorupką osobowość dwoista, a przez resztę doby jest tym, na kogo wygląda, bardzo przystojną, dojrzałą dziewczyną z właściwymi swej płci i wiekowi potrzebami i odruchami.

Zakaszła lekko.

- Jak pani uważa, panno Nilsson, co powinniśmy teraz zrobić?

Dotknęła świeżo zatemperowanym ołówkiem starannie umalowanych ust.

- Należałoby sprawdzić, czy nie zdarzył mu się nieszczęśliwy wypadek. Przede wszystkim skontaktować się ze szpitalami...

- Dobrze. - Durell kiwnął głową z aprobatą. - Już poprosiliśmy, żeby byli czujni. Cóż dalej?

Chwilę wahała się, po namyśle powiedziała:

- Mam wrażenie, że dyrektorowi nie brak wrogów. Nie można pozwalać sobie na zbytne popuszczanie wodzów fantazji, jednak ta rozmowa telefoniczna była dość tajemnicza. Czy nie słuszne byłoby odnaleźć taksówkę, którą pojechał dyrektor?

Znowu punkt. Durell uśmiechnął się ukradkiem.

- Zrobimy to, panno Nilsson. Jest pani pewna, że nie wspomniał, dokąd jedzie, a może zanotował w terminarzu?

- Nie wspomniał. Po prostu wyszedł i już. Zglądałam do terminarza, nie ma żadnej notatki.

- No tak. Pozostaje więc...

Panna Nilsson przerwała mu.

- Rozumiem. Rysopis. Niskiego wzrostu. Chudy, wysokie, łysiejące czoło, włosy siwe. Brwi krzaczaste. Oczy zapadnięte, wystające żółte zęby, jego własne. Dość szerokie usta. Popielate ubranie, wygniecione. Popielaty płaszcz wiosenny, kapelusz też popielaty. Wszystko robi wrażenie zbyt obszernego... Rodzina ma z pewnością fotografię. - Urwała dla zaczerpnięcia tchu, Durell notował, wciąż pełen podziwu dla rzeczowości tej kobiety. Podjęła dalej: - Nie ma pewności, że ta rozmowa telefoniczna wiąże się z jego wyjściem, chociaż ja osobiście jestem przekonana, że tak. Wyszedł z miną bardzo zirytowaną, a kiedy spytałam, dokąd idzie, zawsze to robię w

podobnych wypadkach, ofuknął mnie, że... nic mi do tego... - panna Nilsson zaczerwieniła się, ale dalszy ciąg nie utkwił jej w gardle: - ...do cholery...

- A teraz zechce pan pewnie rzucić okiem na jego pokój... - Wstała, otworzyła drzwi w głębi. - Proszę.

Durell wszedł do dużego, luksusowego gabinetu szefa, z potężnym biurkiem - symbolem władzy. W oknach szerokie, ciężkie draperie. W jednym z rogów pokoju kącik do posiedzeń: okrągły stół, osiem krzeseł, z których jedno, wyściełane, z poręczami, spełniało również warunki symbolu władzy. Całą podłogę od ściany do ściany, niby warstwa mchu, pokrywał miękki, srebrzystozielony dywan. Na biurku znajdował się telefon błyskawiczny; dwa zwykłe aparaty, tak samo staroświeckie jak ten, którym dysponowała panna Nilsson. Na niskiej, długiej szafce archiwalnej za biurkiem stał hipernowoczesny dyktafon, a obok zegar elektryczny z wmontowanym kalendarzem. Durella zdumiał podobny luksus w tym starym domu. Odwrócił się i napotkał pozbawione wyrazu spojrzenie sekretarki.

- Imponujące - powiedział. - Że też dyrektorowi Vade opłaciło się tak kosztowne urządzenie. Czy to jest kamienica do rozbiórki?

Zdawała się nie rozumieć.

- Dyrektor lubił, żeby było ładnie dokoła niego. Jest właścicielem całego kwartału, wszystkie sąsiednie kamienice należą do niego i nie wydaje mi się, żeby w planie były jakieś rozbiórki. Adwokat i kilka firm współpracujących ma biura tu obok i długookresowe kontrakty. Nie, tu nie będzie rozbiórki.

Podeszła do biurka, wzięła oprawny w brązową skórę terminarz i podała go Durellowi.

- Proszę bardzo...

Terminarz sam się otworzył na właściwym dniu. Durell czytał:

- Godzina dziesiąta Bengt... - Spojrzał pytająco: - Bengt?
 - To nasz adwokat. Bengt Ahlgren.
 - Godzina dwunasta Monika, Baldachim?
 - Jego córka. Jadł z nią lunch „Pod Baldachimem”, tu blisko, na Barnhusgatan. Często tam jada.
 - Aha. Godzina piętnasta. Papiery?
- Potrząsnęła głową.
- Pojęcia nie mam, co miał na myśli. To może znaczyć wszystko...
- Durell podrapał się w głowę.
- Przypuszczam, że interesy idą dobrze i nie kryje się za tym żaden kruczek...
- Panna Nilsson wyglądała na urażoną.
- Nie do pomyślenia.
 - Tak mi się zdawało. - Durell raz jeszcze przesunął spojrzeniem po pokoju. Zobaczył opartą o szafę czarną aktówkę.
 - Teczka dyrektora - powiedział.
 - Tak. Nie chciałam sprawdzać jej zawartości. Dyrektor by tego nie zniósł. Z zasadniczych względów.
 - Rozumiem. Lecz w takiej sytuacji... pozwolę sobie jednak...
- Podniósł teczkę, postawił ją na biurku i pobieżnie przejrzał papiery.
- Najwyraźniej oferty - powiedział. - Z firmy pod nazwą „Maszyny” Sp. Akc. Zobaczymy... datowane w marcu tego roku... październik zeszłego roku, luty zeszłego roku. Tu kilka dodatkowych klauzul. Sądzi pani, że to może być jakiś trop? - Spojrzał pytająco na sekretarkę. Po raz pierwszy wydała się niepewna, ale tylko przez kilka sekund.
 - Nie wiem. Nie przypuszczam, żeby to miało jakieś znaczenie. Mogłabym zadzwonić do Sp. Akc. „Maszyny”, ale...

- Nie - powiedział Durell. - Raczej nie.

Wsunął papiery do teczki i odstawił ją na miejsce.

- A więc trzy punkty zaczepienia w programie dnia. Teraz zobaczymy, co się poza tym dziś działo. Kiedy tu przyszedł?

Panna Nilsson znowu zareagowała jak wzorowa maszyna do odpowiadania.

- Jak zwykle o dziewiątej. Jest zawsze punktualny. Przyjeżdża z Ulriksdal autobusem za pięć ósma i od placu Engelbrekta idzie piechotą. Dyrektor jest bardzo ruchliwy, choć ostatnio miewa czasem zadyszkę. Za dużo pali, no i poza tym nie jest już młodzieńcem. Cóż... przejrzał pocztę, podyktował kilka odpowiedzi i zostawił do przepisania, nic więcej, nic godnego uwagi. O wpół do dziesiątej poprosił, żebym zadzwoniła do mecenasa i umówiła go na dziesiątą. To zaznaczone w terminarzu. Mecenas przyszedł o dziesiątej, niestety nie wiem, jak długo konferowali, gdyż musiałam skoczyć do zegarmistrza z zegarkiem dyrektora, który się zepsuł. Zegarmistrz zreperował na poczekaniu. Kiedy wróciłam, mecenas już wyszedł, weszłam, żeby wręczyć zegarek, dyrektor był w złym nastroju... Potem lunch z Moniką.

- Ile lat ma Monika?

- Około dwudziestu. Żona dyrektora ma dopiero czterdzieści dwa.

Durell podniósł brwi. Panna Nilsson zacisnęła usta.

- Uważam, że to sprawa prywatna. O trzynastej trzydzieści wrócił z lunchu w jeszcze gorszym humorze, ale w tym nie było nic niezwykłego, a później... - Urwała. Po raz pierwszy jakby zbита z tropu. - Panie asystencie - powiedziała. - Zapomniałam o czymś ważnym. Co może jest ważne. Chociaż dyrektor często zabawia się w taki trochę makabryczny sposób, więc nie przywiązywałam do tego znaczenia. Ale na tym tle... Więc dyrektor miał dziś jeszcze jeden telefon, tuż

przed lunchem. Weszłam tu, żeby podać listy do podpisu. Właśnie rozmawiał, to znaczy z początku stał w milczeniu i słuchał, potem powiedział: „Cóż to za wygłupy, u licha?”, znowu milczenie, potem powiedział: „Kto mówi?”, wydawał się bardzo zirytowany, zeszytywniał, stał zupełnie nieruchomo, wreszcie roześmiał się, odłożył słuchawkę i coś mruknął. Nie dosłyszałam, a myślałam, że do mnie mówi, więc spytałam: „Przepraszam, co pan dyrektor powiedział?” A on zupełnie jakby dopiero wtedy zauważył, że jestem w pokoju. Spojrzał na mnie ze złością i powiedział: „Co mówiłem? Nic, panno Nilsson, ale nie zgadnie pani, z kim mówiłem”. Zamieniłam się w znak zapytania. „Rozmawiałem ze śmiercią, panno Nilsson. Słyszysz pani: powiedział, że jest śmiercią...”

W pokoju zapanowała cisza. Durell widział własną rękę zapisującą to złowrogie słowo w notesie. Zakończył wykrzyknikiem, ale rozmyślił się i przerobił go na znak zapytania.

- Są dwa aparaty. Przez który rozmawiał?
- Przez prywatny. Bezpośredni.
- Numer jest w książce telefonicznej?

Potrząsnęła głową.

- Nie. O ile mi wiadomo, tylko rodzina zna ten numer i może kilka najbliższych z nim powiązanych interesami osób.

- Aha. Zawsze jakieś zaczepienie. - Spojrzał na elektryczny zegar, była piąta.

- Zobaczysz pani, panno Nilsson, że jutro o dziewiątej dyrektor będzie tu siedzieć za biurkiem. Nie sądzi pani mimo wszystko...

Nie odpowiedziała. Nie ruszyła się. Wysoka, smukła, wypiełgnowana, z terminarzem w ręce stała przy biurku i nieobecny spojrzeniem patrzyła w okno. Durell wstał wolno, wsunął notes do kieszeni i cicho wyszedł z pokoju. Idąc korytarzem zorientował się, że

zakończono tu pracę na dziś, tu i ówdzie za matowymi szybami poruszały się jeszcze cienie.

Jedne drzwi otwały się i wyszła zalotna recepcjonistka w towarzystwie drugiej młodej kobiety. Zatrzymała się i spytała wścibsko:

- No, dobrze poszło z panną Nilsson?

- Znakomicie - odpowiedział Durell. - Rozmowa z panną Nilsson jest prawdziwą przyjemnością. A jeżeli już się na panią natknąłem, może zechce mi pani powiedzieć, czy dyrektor Vade wychodząc wspomniał, dokąd się udaje?

Potrząsnęła głową.

- Ani słowem. Panna Nilsson już mnie o to pytała.

- Mnie też pytała. Ja się zajmuję centralką. Pytała, czy wiem, kto do dyrektora dzwonił, ale tamta nie powiedziała nazwiska. Bo na ogół to większość tych, co dzwonią, poznają po głosie.

- Rozumiem - powiedział Durell. - I nie wie pani oczywiście, z kim mówił za drugim razem. Ten mężczyzna przed lunchem... - Mówiąc to zdał sobie sprawę, że tamta rozmowa była bezpośrednia, ale nie zdążył odwołać pytania, dziewczyna lekko się zarumieniwszy odpowiedziała:

- O, proszę pana, nie mam zwyczaju podsłuchiwać, słówko tylko usłyszałam z tego, co dyrektor mówił, i to wyraźnie dotyczyło jego osiemdziesiątych urodzin. „Sprawa jasna, usłyszysz każde słowo na płycie”. Pewnie na przyjęciu. Jak już powiedziałam, nie mam zwyczaju podsłuchiwać i wcale mnie nie obchodzi, kto jest zaproszony na to jubileuszowe przyjęcie.

- Oczywiście, że nie - przyznał Durell. - Zresztą mnie chodziło o inną rozmowę, pośrednią, nie przez centralę.

Obie młode osoby poczuły się nagle jakby urażone. Zadarłszy nosy odeszły. Durell rozumiał je - już po piątej. Dzień pracy skończony. Jeżeli jego prorocstwo się spełni, dyrektor wróci jutro. W głębi duszy

miał co do tego pewne wątpliwości. Rzucił okiem na wiszący tuż przy wejściu kalendarz ścienny i na pół świadomie zapamiętał że imieniny ma tego dnia Tyko.

III

O parę rzutów kamieniem w głąb ulicy był sklep z papierosami. Durell wstąpił i zapytał, czy może skorzystać z telefonu, zaczekał, aż kilku klientów załatwi swe sprawy, a właścicielka zniknie za kwiecistą zasłoną. Nakręcił numer wydziału kryminalnego i poprosił o połączenie z Sargrenem; komisarz natychmiast podniósł słuchawkę.

- Byłem właśnie w biurze Vadego - powiedział Durell. - Nieźle urządzone. Jak katar?

- Bez zmian. Zamierzam właśnie pójść do domu, napić się grzanego wina i położyć. I cóż z tym Vadem?

Durell zmarszczył brwi, pofałdował czoło, jak gdyby coś ze swych przypuszczeń chciał telepatycznie przekazać komisarzowi.

- Nie wiem. Wydaje się to niejasne, a nie bardzo jest się czego uchwycić. Zechciej powiedzieć chłopcom, żeby odszukali taksówkę, która dziś tuż przed czternastą zabrała Vadego z Drottningatan 75 C.

- Okay, co zamierzasz zrobić?

- Nie wiem. Przejdę się do domu i przemyślę to w drodze. Jestem teraz na Drottningatan.

- Dobrze. Możesz z tym poczekać do jutra, jeśli nic nowego się nie zdarzy.

- Zobaczę.

Durell położył słuchawkę, w tej samej chwili właścicielka wyłoniła się zza zasłony z oczyma rozszerzonymi od ciekawości.

- Przepraszam, że słuchałam, zawsze, kiedy ktoś dzwoni, idę za firankę, ludzie czują się wtedy mniej skrępowani. Proszę mi powiedzieć, co z dyrektorem Vade...

Durell przyjrzał się jej z odrazą.

- Bo co?

- Znam go, rozumie pan. Zawsze u mnie kupuje cygara. Codziennie. A więc odjechał z biura taksówką. A dlaczego chce go pan zaarrestować - położyła się niemal na ladzie - chyba nie popełnił jakiegoś głupstwa, co? - Oczy jej pały.

Durell obejrzał się na prawo i lewo, potem pochylił się ku niej konfidencko.

- Owszem - powiedział. - Kupił cygara w niewłaściwym sklepie. - Właścicielka wyprostowała się i ze złością zacisnęła usta. Durell spokojnie położył na ladzie dwadzieścia pięć öre i wyszedł z uśmiechem zadowolenia.

Co teraz robić?, myślał. Jak postąpiłaby sztokholmska policja? Prawdopodobnie gwizdnęłaby chwilowo na wszystko. Nie ma się co spieszyć. Przypuszczalnie znajdzie się, a wtedy już nie będzie zaginiony - a jeżeli się znajdzie, to w ogóle nie było zaginięcia, po prostu parogodzinna nieobecność. Policja nie ma obowiązku szukać każdego, kto jest chwilowo nieosiągalny. A jeżeli się nie odnajdzie - to znaczy naprawdę zaginął, a zaginionymi policja musi się zajmować. Powiedzmy więc sobie, że zaginął. Im więcej czasu upłynie od zaginięcia do podjęcia poszukiwań, tym trudniej odszukać zaginionego przy umiarkowanym nakładzie pracy. Wszystko więc sprowadza się do ustalenia, czy Vade zaginął, czy jest tylko nieosiągalny. Przez pewien czas umysł jego borykał się z tym problemem i dopiero przy Tegnératan doszedł do wniosku, że jeżeli zgłoszono o zaginięciu Vadego, to poszukiwanie go należy zacząć jak najszybciej. Ten, kto zgłosił, jest odpowiedzialny. Każdy rozsądny policjant tak by rozumował. Jeżeli na przykład policja sztokholmska odnotowała go jako

zaginionego, kiedy zgłoszenie wpłynęło, a potem nic w tej sprawie nie zrobiła, uważając, że właściwie jest on tylko chwilowo nieosiągalny - i to jedynie dla tego, kto zgłosił, i może kilku innych osób, wie lewica, co robi - a raczej czego nie robi - prawica... Durell sam sobie kiwnął głową na potwierdzenie. Na wysokości skwerku przy Obserwatorium zważył hipotezę „zaginiony” i hipotezę „nieosiągalny”. Na szali „nieosiągalny” położył odważnik „tylko dwie godziny”, co znacznie obciążało szalkę, na szali „zaginiony” położył odważnik „posiedzenie” i uzyskał równowagę, „pewnie już się odnalazł” wyniosło szalkę do góry, wszystko wyrównał po stronie „zaginiony” dwiema tajemniczymi rozmowami telefonicznymi, tą, która go wywołała z biura, i tą od śmierci (słowo o dużej wadze, uznał Durell, nawet jeżeli według panny Nilsson mógł to być tylko wyraz makabrycznego poczucia humoru dyrektora). Przy Odengatan położył dalszy argument na szalce „nieosiągalny”: „Sztokholmska policja palcem by nie kiwnęła”. Szalka gwałtownie opadła i pozostała przez chwilę w tym położeniu, gdyż czekał na zielone światło, by przejść przez Odengatan. Akurat gdy światło się zmieniło, powziął postanowienie. Oczy mu pojaśniały aż do bladego błękitu słodkiej wody i jakby rozplynęły się wśród piegów, ostrożnie wziął w palce rozstrzygający argument i położył go na szali „zaginiony” i „ale ja jestem z państwowej policji kryminalnej” - jednocześnie kiwnął na wolną taksówkę, wsiadł i polecił zawieźć się do Ulriksdal.

Wsiadł przy niskim poszarzałym drewnianym budynku podmiejskiej gospody. Na werandzie - otwartej niby drzwiczki uła w oczekiwaniu na gości - stało kilku kelnerów, jeden z nich żywo gestykulował. Durell wszedł i dyskretnym chrząknięciem zwrócił na siebie uwagę; ten ożywiony natychmiast podbiegł. Ciemny, smukły mężczyzna około trzydziestki. Wyglądał na południowca, wrażenie robił

raczej przyjemne, nie w typie „gitara i tango”. Uśmiechnął się przyjaźnie i powiedział:

- Proszę bardzo, stolików do wyboru dziś dużo.

Durell zrobił smutną minę.

- Niestety, czy mógłby mnie pan jedynie poinformować, gdzie mieszka dyrektor Vade, przypuszczam, że on tu czasem bywa.

- Oczywiście. Nie myli się pan. Proszę iść tędy za gospodą, mieszka na wprost, tam na wzgórzu.

- Dziękuję... - Durell ruszył we wskazanym kierunku, a jednocześnie ktoś zawołał na kelnera: - Vincenzo, chodź tu na chwilę! - Włoch, pomyślał Durell, dalszego ciągu nie usłyszał, bo był już za budynkiem gospody. Wąska, wysypana żwirem droga prowadziła między nie zagospodarowanymi działkami, łąkami i podmokłymi błoniami aż ku zatoce. W dali prześwitywało kilka płowozółtych budynków rozrzuconych po obu stronach drogi, teren wznosił się nieznacznie; na szczycie tego wzniesienia po prawej stała duża, brązowa jak piernik willa, w głębi druga, trochę mniejsza, a między nimi jeszcze jeden nieduży budynek, wyglądający na pawilon. Durell domyślał się, że kelner wskazywał mu jeden z tych domów. Duży wyglądał na wyludniony, przed tym w głębi ktoś się ruszał, postanowił więc tam spróbować. Zdecydowanym krokiem ruszył dalej i dotarł do żwirowanej ścieżki prowadzącej do willi. Jakiś starszy człowiek zajęty był przed domem wiosenną pracą przy rabatach w rogu ogrodu. Durell poczuł się zawiedziony. A więc dyrektor wrócił już do domu - i po cóż gnał tu jak idiota? Najchętniej zawróciłby i odjechał do miasta, ale stary już go zauważył. Czekał wsparty o motykę. Zbliżywszy się Durell zobaczył, że nie jest wcale taki chudy, jak sobie wyobrażał. Poza tym miał siwe szpeceniaste wąsy, przycięte na sposób angielski. I wyglądał na znacznie młodszego, wcale nie na osiemdziesiąt lat.

Durell przywołał w myśli obraz panny Nilsson, pogroził palcem i powiedział: „ależ dostałem zły rysopis”, jednocześnie przyszło mu do głowy, że to może nie być dyrektor. Pozdrowił starszego pana.

- Domyślam się, że pan chyba nie jest dyrektorem Vade - zaczął.
Tamten poruszył wąsami.

- Rzeczywiście nie jestem. Jestem major Synneus. Dyrektor Vade mieszka w tamtej willi - wskazał.

Durell obejrzał się w kierunku zamku z piernika i zobaczył, że czarny amazon wytoczył się z lasu i stanął na wysokości willi państwa Vade. Ktoś wyskoczył z samochodu, mignął tylko niewyraźnie i zniknął, a wóz ruszył leśną drogą w jego i majora kierunku, skręcił na podjazd i zatrzymał się na dobre. Starannie ubrany czterdziestoparoletni mężczyzna o twarzy pełnej, ale rysach wyraźnych i stanowczych ustach wysiadł i szedł ku nim. Spojrzał pytająco na Durella.

- Ten pan szuka dyrektora Vadego - powiedział major.

- Myślał, że tu mieszka, wyjaśniłem mu właśnie... - Zwrócił się do Durella: - To mój syn, architekt.

Durell uśmiechnął się uprzejmie.

- Durell - powiedział. - Więc można tu wjechać na górę samochodem przez las, byłem właśnie ciekaw...

Architekt wskazał na drugą willę.

- Dyrektor Vade mieszka tam, wątpię jednak, czy jest już w domu. Zwykle zamyka okno po powrocie. Jak na zamku - en passant - Kristler i Tessin, choć był oczywiście przebudowywany później, ogród planował Harleman... a więc jak na zamku, kiedy król tam jest, wywieszają flagę, tak dyrektor Vade, kiedy wraca do domu, zamyka okno... Przyszedł pan od strony gospody?

Durell kiwnął głową.

- Aha. Powinien pan był od razu skręcić, tam jest ścieżka prosto

do willi, pod lipami. Wisi tam zresztą skrzynka pocztowa z jego nazwiskiem. Ma pan jakąś sprawę do dyrektora Vadego? On zwykle nikogo tu nie przyjmuje.

- Pan zapewne dobrze go zna?
- Jakżeby inaczej - krótko zbył go architekt.
- Pytam, bo wpłynęło zgłoszenie, że zaginął.
- Zaginął?
- Właśnie.

Przez kilka sekund architekt miał minę roztargnioną, potem wzruszył ramionami.

- Ach tak... pan jest pewnie z policji.
- A pan nie może chyba udzielić żadnych informacji.
- Rzeczywiście nie mogę. Przykro mi. - Roześmiał się krótkim, niezbyt przyjemnym śmiechem. - Rozmawiał pan z rodziną, to oni chyba zgłosili...

- Nie. Jego sekretarka. Jeszcze nie mówiłem z panią Vade ani z córką. Dopiero to zrobię.

- Aha. Przypuszczam, że znajdzie ją pan w pralni.
- Tam w domu, w suterenie? - spytał Durell.

Architekt znów się roześmiał, tym razem bardziej ironicznie.

- Nie, drogi panie. My tu mamy wspólną pralnię, całkowicie nowoczesną, ale trochę na uboczu. Panie narzekają też, że dopływ prądu czasem szwankuje. Pozwoli pan, że pokażę. - Wskazał w kierunku gospody. - Wróci pan do gospody, a potem prosto do „Confidence”, wie pan, co to takiego, stary teatr parkowy w Ulriksdal, renesans holenderski, Scholander, niestety nieczynny. Zarządca zamku ma tam obecnie biuro.

- Wiem - powiedział Durell.

- No więc skęci pan na prawo i pójdzie aleją aż do stajen, to taki długi, niski, otaczający wewnętrzny dziedziniec, trochę podupadły kompleks zabudowań przy drodze, dalej jest rzeka, pozna pan od razu, że to stajnie, i wciąż na lewo, drogą wzdłuż rzeki, minie pan starą

kuźnię i kilka dworskich zabudowań. Potem pralnia na prawo, czyli przy starej drodze do Uppsali. Tuż obok jest tam boisko do piłki nożnej dla chłopców, tylko po przeciwnej stronie oczywiście. Mogę pana podwieźć.

- Nie, tego by tylko brakowało - powiedział Durell. - Znajdę chyba, gospoda, „Confidence”, stajnie, pralnia, prawda?

- Dokładnie tak.

Stary major powiedział usłużnie:

- Jeżeli pan chce, może pan pójść także prosto w kierunku zatoki, koło domku grabarza, tylko niech pan nie przegapi, potem koło kaplicy.

- Także Scholander - wtrącił architekt. - I też pan dojdzie do stajen, a stamtąd prosto. Jestem pewien, że pan trafi.

- Jasne - powiedział Durell uśmiechając się z wdzięcznością. - Policjant zwykle trafia. Dobranoc, stokrotnie dziękuję za tyle uprzejmości.

Szedł ścieżką po tej samej drodze, którą przyszedł, i postanowił, że jeżeli lewą nogą wyjdzie za furkę, wybierze drogę architekta, a jeżeli prawą - drogę majora. Najważniejsze, żeby decyzja była wynikiem planowej organizacji.

Agda pojechała odrobinę za daleko, Monika nie zdążyła w porę powiedzieć, żeby zatrzymała.

- Wniesiemy brudy od frontu - powiedziała. - Cofnij się, a ja skoczę po klucz.

Wysunęła się z wozu i pobiegła przez drogę do nowoczesnej partowej willi naprzeciwko pralni, tam przechowywano klucz. Jonas natychmiast też wyskoczył razem z Rickiem, ale pies stanął i lękliwie obejrzał się na Agdę, która wychylona przez drzwiczki wrzuciła tylny bieg i skłoniła swego combi do zgrabnego skoku wstecz.

- Trzymaj psa! - zawołała do Jonasa.

Rudy seter kręcił się usiłując wskoczyć do samochodu, najwidoczniej niepokoił się, że pani odjedzie bez niego. Jonas złapał go itrzymał, póki Agda nie podprowadziła wozu pod frontowe wejście tak blisko, jak tylko było można.

- No więc możesz wynosić - powiedziała. - Ciężkie jak ołów. - Jonas otworzył tylne drzwiczki. Z trudem wyciągnął worki. Dwa wielkie jutowe worki, wypchane brudną bielizną i porządnie związane sznurkiem. Monika wróciła z kluczem. Otworzyła Jonasowi, żeby mógł wnieść ciężar do pralni, a Agda weszła za nimi z plastikową torbą proszku do prania - duże, ekonomiczne opakowanie - w jednej ręce i ryżową szczotką do czyszczenia chodników w drugiej.

- Posortujemy przed jedzeniem - powiedziała. - Grubsze rzeczy namoczy się, a potem jesteście wolni, resztę załatwimy po obiedzie, Anna, Alma i ja.

Odkręciła kran nad kadzią do moczenia bielizny. Woda ciekła leniwie, Agda wiedziała jednak, że to zależy od wentyla pompy w schowku pod pokoikiem, gdzie stał magiel, Jonas obiecał zająć się tym nazajutrz, a na dziś wieczór wody będzie dość. Pogodziła się więc z powolnością strugi, podeszła do najbliższego worka i rozwiązała sznurek.

Stosy rosły. Rozrzucone po podłodze jak stogi siana na łące stosy białej bielizny, ścierek do namoczenia, oddzielnie kolory, oddzielnie wełna, skarpetki osobno, nylon też... Jonas czuł tajony podziw dla systematyczności tego podziału, nad którego sensem nigdy się jeszcze nie zastanawiał. Zamierzał właśnie dowiedzieć się czegoś o zasadzie podziału, kiedy Rick zaczął warczeć i spoglądać w kierunku drzwi.

W chwilę później w drzwiach ukazał się niski, okrągły mężczyzna

o krótko ostrzyżonych włosach, błyszczących w świetle lampy przyjemną czerwinią. Twarz miał usianą piegami. Przyjaźnie spoglądające oczy miały ten sam kolor co jasnoniebieskie tło jego prążkowanego ubrania. Krawat wił się jak wąż między kłapami marynarki.

- Doprawdy, jeżeli znów nie trafiłem... - powiedział.

Zwrócił się do Agdy, która wsparłszy się pod boki patrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Mam oczywiście przyjemność z panią Vade...

- Nie, z panią Ahlgren. Pani Vade to moja siostra. W czym mogę pomóc?

- Musiałem źle zrozumieć architekta. Twierdził, że panią Vade znajdę w pralni, może miał na myśli pannę Vade.

Przeniósł spojrzenie z Agdy na Monikę, która upuściła splamioną konfiturami bluzkę na stos nylonowych rzeczy.

- Jestem z policji. Durell, asystent wydziału kryminalnego. Pierwszy asystent. Chodzi o dyrektora Vade. Sekretarka niepokoi się o niego.

Monika szybko wymieniła spojrzenie z Jonasem, podczas gdy Durell klepał psa, który podszedł, by go obwąchać.

- Miły pies - powiedział z uznaniem. - To pani, panno Vade?

- Mój - odpowiedziała Agda. - Chodź tu, Rick. Nie strasz wujka.

- Wiem, że panna Nilsson się niepokoiła - wtrąciła Monika. - Dzwoniła, pytała, czy już wrócił do domu, nie mogłam jej niestety uspokoić. Bo ojca wciąż nie ma.

- A przedtem się to zdarzało? - spytał Durell.

- Że późno wracał? Owszem, często jada obiad w mieście. Ale po raz pierwszy panna Nilsson, jakby to powiedzieć... uznała za stosowne wszcząć poszukiwania. Uważam to za nieco samowolne, bez zapytania wpiętej mamy. I żeby zawiadomić policję - wzruszyła ramionami - to raczej niewłaściwe, jak mi się wydaje. Jeżeli rodzina nie widzi powodu...

Znowu spojrzała na Jonasa, który przytaknął skinieniem głowy.

- Pani jadła dziś lunch z ojcem. Czy było coś, czym można by wytłumaczyć jego zniknięcie?

- Nie, zupełnie nic. - Monika ociągała się trochę z odpowiedzią, Durell natychmiast to zauważył.

- O czym była mowa?

- O wszystkim. Pojutrze kończy osiemdziesiąt lat. Pierwszego maja. Między innymi o tym się mówiło.

- Czy robił wrażenie przygnębionego, może chorego?

- Bynajmniej. Wściekał się jak zwykle. - Monika uśmiechnęła się do Durella ironicznie. - Pan też by się z tym zapoznał, gdyby się nagle zjawił i dowiedział, czym pan się tu zajmuje.

- Rozumiem. - Durell chwilę się zastanawiał. - A nie wie pani, czy się tu z kimś porozumiewał po godzinie drugiej?

- Nie. Ale wiem, że miał dziś późno wrócić. Nie zamierzał natomiast prznocować w mieście, choć z początku tak postanowił. Mówił mi o tym podczas lunchu. Przykro mi, panie asystencie, ale więcej informacji nie możemy udzielić. Myślę, że najlepiej poczekać; przyjedzie.

- Tak, być może...

Durell rozejrzał się po pralni. Obszerna i nowoczesna, jak mówił architekt, choć prawda, że znajduje się trochę daleko, przynajmniej od willi dyrektora Vadego.

- Obiecuję zawiadomić pana, gdy tylko ojciec wróci do domu - powiedziała Monika. - Jeżeli nawet zanocuje w biurze, na pewno za-telefonuje do mamy, obiecał, że zrobi to, nim mama zabierze się do prania i będzie w domu nieobecna.

- Kiedy może nastąpić ta rozmowa?

- Przed... no, powiedzmy przed ósmą. Gdzie mam zadzwonić z wiadomością?

- Do wydziału kryminalnego. A jeżeli już o telefonowaniu mowa, czy dzwoniła pani dziś do ojca?

- Nie, przecież się z nim spotkałam.

- A matka czy ktoś inny, kto zna jego prywatny, bezpośredni numer biurowy? Bo miał rozmowę przed lunchem.

- Nic o tym nie wiem.

- I nie wspomniał podczas lunchu o jakiejś rozmowie telefonicznej?

- Nie.

Durell westchnął. Doznawał coraz silniejszego wrażenia, że jedyne osoby, które niepokoją się o starego pana Vade, są panna Nilsson i on sam. Przy czym jego niepokój wynikał głównie ze świadomości, że przypuszczalnie zupełnie niepotrzebnie zadał sobie mnóstwo trudu. Wolałby, żeby wszyscy byli zaniepokojeni, żeby jego działalność miała jakieś usprawiedliwienie. Wcale się jednak nie niepokoił, korpulentna pani o zmierzwionych włosach i o nazwisku Ahlgren zdawała się już nie pamiętać o jego obecności. Całkowicie zajęta się rzucaniem skarpet i ręczników na odpowiednie kupki przygotowanej do prania bielizny. A ten młody człowiek przez cały czas z zachwytem przyglądał się córce dyrektora Vade, spokojnie rozwiązującej następny z pękatek worów. Starannie zwinęła sznurek w kłębek i położyła na parapecie. Nawet pies przestał się nim zajmować, ułożył się wygodnie na zrolowanym chodniczku, oparł pysk na łapach i śledził fruwające sztuki bielizny, segregowanej pewną ręką swojej pani. Durell chrząknął.

- Chyba pozostaje mi tylko wycofać się. Mając kawalera i psa nie potrzebują panie opieki policji. Ogromnie miłe psisko, spokojne, życzliwe.

Agda przerwała na chwilę sortowanie. Pochlebstwo najwidoczniej sprawiło jej przyjemność.

- Spokojny, byle tylko był przy swojej pani. Bardzo przywiązany. Żeby pan słyszał, jak on płacze, kiedy nie może być ze swoją panią. Tylko psy tak się przywiązują. A pan ma psa?

- Tak. Bernarda. Płacze tam pewnie teraz, tęskni do swego pana. Bardzo przywiązany. - Skłonił się lekko. - Żegnam. - I wycofał się z pralni. Może mu szczęście dopisze i niedługo będzie autobus do miasta. Niejasne wspomnienie dawnej bytności w Ulriksdal podszeptowało mu, że autobus kosztuje tylko koronę.

Bertil Durell mieszkał przy Norrtullsgatan między Frejgatan a Vanadislvägen. Obszerne trzypokojowe mieszkanie dzielił z ciotką, psem bernardem, syjamskim kotem, dwiema papużkami i z akwariem, w którym przeważały mieczyki i wielkopłetwy wspaniałe. Wkładając klucz do patentowego zamka usłyszał, że pies już drepcę pod drzwiami i przygotowuje się na przyjęcie pana. Otworzył, wszedł, a bernard skoczył i oparłszy mu łapy na ramionach bez opamiętania lizał pana po twarzy.

- No, no, Putte, połóż się... dobry piesek... no leżeć... leżeć... Putte, połóż się!

Pies poczłapał do kosza w bawialnym pokoju. Leopold leżał w rogu sofy przyglądając się, zeskoczył zręcznie i wlaź pod sofę. Durell przykrył klatkę z papużkami niebieską zasłoną, co dla ptaków oznaczało noc i milczenie. Ciotki Betty nie było, prawdopodobnie siedziała w sąsiednim domu u przyjaciółki i oglądała program „Aktualności”. Sprawdził czas, jeszcze pięć minut do rozpoczęcia programu. Wsypał do akwarium kilka szczypt witaminizowanego pokarmu dla rybek - zadzwonił telefon.

- Halo - powiedział Durell.

- A, jesteś wreszcie w domu. Poszłam na telewizję do pani Linspong. Przykryj klatkę i daj rybom jeść. Wiesz, zdaje mi się, że Tisbe zamierza znieść jajko.

- Coś takiego. Kiedy ciocia wróci?
- Nie wiem jeszcze, nie sprawdziłam, co dają po aktualnościach. Jeżeli jesteś głodny, weź sobie pulpeciki z lodówki. - Zaczepnęła tchu. - Z policji dzwonili, żebyś się skontaktował. U dyżurnego jest jakaś wiadomość dla ciebie.

- Zadzwoń tam, ciociu.
- No, myślę. Pracy nie należy zaniedbywać. Piwo bezalkoholowe jest w spiżarni, jeżeli chcesz. Mleka zabrakło.

- Dobrze, ciociu. Zaraz zadzwonię.
- Zrób to.

Odłożyła słuchawkę, co Durell przyjął jako nieomylny znak, że na ekranie telewizora pani Linspong ukazał się obraz. Nacisnął widełki, zaczekał na sygnał, nakręcił numer i poprosił o połączenie z dyżurnym.

- Durell. Ma pan dla mnie jakąś wiadomość...
- Chwileczkę... tak, zlecił pan odszukanie taksówki, która tuż przed czternastą miała dziś kurs z Drottninggatan 75 C. Kierowca się zgłosił, nazywa się Bergman. Dobrze sobie ten kurs przypomina. Pasażer był zręcznym staruszkiem. Zgadza się?

- Jak najbardziej.
- Zapamiętał go z wielu powodów, po pierwsze, przez całą drogę miał pretensje, że za prędko jedzie na skrzyżowaniach, po drugie, groził, że złoży zażalenie, bo kierowca za często zmienia pasmo, a po trzecie, nie dał ani grosza napiwku. Stary człowiek, chudy, w lekkim płaszczu i w szarym kapeluszu, zgadza się?

- Co do joty. Dokąd jechał?
- Na Roslagsgatan 18 albo 20. Szoferowi powiedział osiemnaście, ale nie jest pewien, czy stary rzeczywiście tam wszedł. Jeżeli potrzebujemy jeszcze dalszych informacji, możemy do niego zadzwonić, zostawił adres i numer telefonu.

- Świetnie - rzekł Durell, rzeczywiście zadowolony. - Chwilowo wystarczy. - Skończywszy rozmowę, wyjął notes, zapisał adres.

Nie było jeszcze późno, dopiero wpół do ósmej. Był w domu sam, nic pilnego nie miał do roboty. Postanowił oszukać żołądek kilku odgrzanyymi pulpecikami i piwem bez alkoholu, a potem przespace-rować się na Roslagsgatan.

Stojąc na przeciwnym trotuarze przesunął wzrokiem po fasadzie. Nic demaskującego w niej nie było, czego zresztą nie oczekiwał. Przejechało parę samochodów, tramwaj od Roslagstull przetoczył się ze zgrzytem, nieco dalej kilku chuliganów nawiązało rozmowę z kierowcą starego oldsmobile. Durell przeszedł przez jezdnię, drzwi kamienicy przy Roslagsgatan zamknęły się za nim. W sieni odszukał listę lokatorów. Zaczął od piątego piętra w dół, nagle rozjaśnił się i z zadowoleniem pogładził brodę - jednak ten zestaw liter jest jakiś znajomy. Nie ulegając pokusie ciepłóżółtego światełka windy wszedł na schody lekko i szybko. Na podeście drugiego piętra zatrzymał się i przesunął wzrokiem po tabliczkach z nazwiskami, znalazł tę z właściwym. Odsapnąwszy chwilę zadzwonił. Dzwonek terkotał głucho i daremnie, nie wywołując żadnej reakcji. Schylił się i usiłował zajrzeć przez szparę na listy, ale ochronna listwa od wewnątrz uniemożliwiła wgląd. Odwrócił się więc i wolno zszedł ze schodów. Nie ma nikogo - wcale się też nie spodziewał, że kogoś zastanie - jednak ta wyprawa dała pewien rezultat. Nazwisko, które może mieć związek z Vadem. Odkrycie podziało na niego jak marchew podetknięta pod pysk osła. Ogarnęła go pokusa, żeby posunąć się dalej. W przeciwieństwie do osła rzadko opierał się pokusie. Chciał tu dokładniej poniuchać, jeżeli już tu jest, wycisnąć, co jest do wyciśnięcia. Nie takie to jednak proste. Stary Vade był tu w ciągu dnia, potem zniknął, wcale nie dawało

to prawa do rewizji mieszkania bez wiedzy i pod nieobecność właściciela. Należałoby go w pierw wypytać o tę wizytę. Wszystko zawsze ma jakieś wyjaśnienie, myślał Durell, i powinno się zmierzać do wyjaśnienia najkrótszą drogą. Okazja do tego już była - dlaczego mu nic nie wspomniano? Durell postanowił działać, może wbrew przepisom, ale za to w całkowitej zgodzie z intuicją. Na parterze przystanął i znalazł drzwi z szyldzikiem „dozorca”, zadzwonił i czekał. I tu też bez rezultatu. Zniecierpliwił się, wpadł do sieni i nagle zatrzymał się nasłuchując - czy w tym domu nie ma żywej duszy? Odpowiedzią na to pytanie było dalekie stłumione uderzenie w żelazo, dochodzące gdzieś z dolnych regionów - z kotłowni oczywiście. Kto może być w kotłowni - dozorca, rzecz jasna. Znalazł korytarz prowadzący, jak się zdawało, donikąd i podążył nim w ciemności. Korytarz kończył się uchylonymi nieco, okutymi blachą drzwiami. Durell rozszerzył szparę i słuchał, znowu uderzenie, dużo silniejsze, zszedł po szerniałych od sadzy schodach do pomieszczenia rozwidlającego się na prawo i lewo, zakurzone żarówki świeciły blado jak zamglone gwiazdozbiory. Odczekawszy do następnego uderzenia - z której też strony - podkrał się i wychylił, za tym zakrętem znalazł przyczynę hałasu. Trzydziestoletni szczupły mężczyzna w kombinezonie klęczał z kluczem śrubowym w jednej ręce, a młotkiem w drugiej i walił w trzpień tkwiący w brudnej rurze, owiniętej taśmą izolacyjną, klął przy tym pod nosem i zbyt był zajęty, by zauważyć Durella. Dopiero gdy ten stanął tuż przy nim, zerwał się, przestraszony, i ścisnął klucz, jakby oczekiwał ataku. Durell uśmiechnął się życzliwie i przyglądał rudą grzywę.

- Tak się nie da, obcegi potrzebne.

Człowiek w kombinezonie opuścił klucz i syknął:

- Proszę się nie wtrącać. Co pan tu robi?

- Szukam dozorca.

- To ja. Jestem zajęty. Czego pan chce?
- Żeby pan dochował tajemnicy.
- Idź pan do diabła - parsknął tamten. - Co mnie obchodzą pańskie tajemnice.

Durell wyłowił z kieszeni marynarki legitymację i podsunął tamtemu pod nos - z zachowaniem uprzejmości.

Dozorca ledwo spojrział.

- Spływaj pan.
- To legitymacja policyjna, zaszczyt panu przynosi, że nie wie pan nawet, jak taki znaczek wygląda.

Tamten drgnął i pochyliwszy się spojrział uważnie, potem z wymuszonym uśmiechem powiedział niepewnie:

- O co więc chodzi... tajemnica, co pan przez to rozumie? Jest pan policjantem czy ściągnął pan gdzieś ten znaczek...

- Jestem policjantem - oświadczył Durell z godnością. - Czy ma pan klucze do mieszkań w tej kamienicy?

- Bo co?
- Chcę pana poprosić o otworenie drzwi na drugim piętrze. Rozejrzę się tylko pobieżnie po mieszkaniu, pan może być ze mną przez cały czas i kontrolować. Potem zamkniemy i ja sobie idę, a pan wraca do piwnicy. Zgoda?

Dozorca minę miał niepewną, ale nie zaprotestował. Wyszli. Durell ostrożnie samym środkiem przejścia, żeby się nie zabrudzić. Na schodach spytał:

- Pan jest w domu przez cały dzień?
- Właściwie tak. Zajmuję się trzema nieruchomościami, zawsze jest coś do zrobienia, poza tym cztery razy w tygodniu mam nocny dyżur. - Utarł nos ręką, w której wciąż trzymał klucz śrubowy.

Na drugim piętrze Durell zatrzymał się i wskazał drzwi.

- Tu - powiedział spokojnie.

Dozorca wyciągnął z kieszeni pęk kluczy, chwilę szukał właściwego. - Chyba ten, niech pan chwilę potrzyma. - Durell przejął narzędzie i z niezadowolaniem poczuł lepką oliwę na ręce. - No, już można

wejść. - Durell oddał żelazo, wszedł do mieszkania i wymacał kontakt tuż przy drzwiach.

Było to nieduże mieszkanie. Już w przedpokoju zorientował się w rozkładzie - na lewo drzwi do łazienki, na prawo szafa ścienna, dalej ciemny hall z telefonem na półce, z hallu wejście do dużego pokoju z dwiema kanapkami, fotelem, paroma krzesłami, stolikiem przed kanapą, półką na książki i strzyżonym dywanem na podłodze. Kretonowe zasłony w wielobarwne kubistyczne wzory były na pół zaciągnięte, żaluzje opuszczone. W pokoju na lewo drzwi, prawdopodobnie do kuchni. Durell otworzył je i stwierdził, że domysł był słuszny. Ujrzawszy mydelniczkę na zlewozmywaku, odkręcił kran i starannie zmył oliwę z ręki. Na ścianie wisiał ręcznik wyznaczony literą S w wianuszkach wyhaftowanych krzyżkami dębowych liści. Zawahał się przed użyciem, ale ręcznik był niezbyt czysty, to go rozgrzeszyło. Jeżeli to małe najście jest na granicy tego, na co policjant może sobie pozwolić bez nakazu, to w każdym razie ręcznik nie naplotkuje o jego wizycie. Wytrzeł ręce, sprawdził, czy oliwa zniknęła, i wrócił do pokoju. Podciągnął żaluzje.

- Widok na podwórze, co?

Dozorca, który cały czas szedł za nim jak czujny brytan, kiwnął głową.

- Zna pan tego lokatora?

- Nie znam. Widziałem go parę razy, ale nigdy z nim nie rozmawiałem.

- A dziś go pan widział? Około drugiej?

- Nie.

- A kogoś, kto tu mógł być, mam na myśli pewnego popędliwego staruszka, chudy...

Dozorca potrząsnął głową.

- O tej porze zmieniałem krany pod dwudziestym drugim. Potem

byłem w biurze, żeby odebrać pieniądze za nocne dyżury. Właśnie wróciłem, kiedy pan zajrzał do piwnicy.

- Szkoda...

Durell snuł się po pokoju usiłując znaleźć odpowiedź na pytania, których nie mógł sformułować. Wyszedł do hallu i odkrył na półce nad wieszakiem kapelusz, pod nim szary wiosenny płaszcz z gabardiny starannie rozwieszony na ramiączku. Gwizdnął i sięgnął po płaszcz. Zdziwiony dozorca śledził podejrzliwie jego poczynania, a Durell włożył na siebie płaszcz, stwierdził, że długość w sam raz, może odrobinę za krótki, natomiast w ramionach o wiele za ciasny, na brzuchu się nie dopina... Wsunął ręce w kieszenie i dla lepszego zaprezentowania dozorcę okręcił się wkoło.

- Niech pan powie, jak pana zdaniem wyglądał właściciel tego płaszcza...

- Trochę niższy od pana i dużo chudszy - powiedział dozorca opryskliwie. - Jeśli pan zamierza ściągnąć ten płaszcz, powinien pan oddać go do krawca.

- Właśnie, albo iść na masaż odchudzający. Mały i chudy. W jakim wieku, płaszcz nam nie powie, ale zgaduję, że około osiemdziesiątki. Powiesimy go z powrotem... - Trzymając ręce w kieszeni poczuł, że w jednej z nich coś jest. Wyciągnął i przyjrzał się uważnie, kluczyk błyszczący i czysty, jakby świeżo zrobiony.

- Ciekawe - mruknął. Podeszedł do drzwi wyjściowych i wypróbował. Parę razy przekreślił, nie było wątpliwości. Klucz pasował do drzwi. Vade miał dostęp do tego mieszkania. Durell zdjął płaszcz i rozpromieniony wrócił do pokoju. Vade tu był. Powiesił płaszcz, kapelusz. A potem...

Zajrzał za kanapę, jakby się spodziewał, że znajdzie tam starego w jak najlepszym zdrowiu, znalazł tylko kłaki kurzu i spinacz. Przejechał spojrzeniem po półce, leżało tam kilka gazet z połowy kwietnia, stała patera na owoce z jedną zeszlą pomarańczą, pusta ramka do

fotografii i wazonik, w którym nie było kwiatów, a szary osad od wewnątrz świadczył o tym, że woda wyparowała. Przeniósł wzrok na stolik: popielniczka bez śladu popiołu. Tuż obok, niemal pod popielniczką, coś leżało. Durell wyłowił ten przedmiot, była to cygarniczka, hebanowa ze srebrną skuwką, bardzo piękna cygarniczka z wygrawerowanymi w srebrze literami W. V. - Werner Vade - mruknął do siebie Durell. - Ukaż się, duchu, przestań się bawić w ciuciubabkę. - Cygarniczkę zabrał i dalej przeprowadzał lustrację. Zrozumiałe, że Vadego w tym mieszkaniu nie ma. Więc gdzie jest? I dlaczego tu zostawił wierzchnie okrycie? Spojrzał na zegarek. Kwadrans na dziewiątą, postanowił, nim coś przedsięwzięmie, przeprowadzić ostatni wywiad w Ulriksdal. W hallu obok aparatu typu kobra leżała książka telefoniczna, wyszukał numer, serdelkowatym palcem wykręcił cyfry ukryte na dnie czerwonego aparatu. Natychmiast odezwał się wyraźny głos kobiety dojrzałej.

- Czy pani Vade?
- Tak. Kto mówi?
- Durell. Z policji kryminalnej. Chciałbym się tylko dowiedzieć, czy mąż wrócił.

Po chwili milczenia odpowiedziała wolno:

- Nie. Prawdopodobnie przenocuje dziś w biurze.
- Czy zawiadomił panią telefonicznie?
- Przez ostatnie godziny byłam w pralni. Chyba jednak nie dzwonił. Córka nic mi nie mówiła...
- A pani próbowała zadzwonić do biura?
- To byłoby bezcelowe po godzinie piątej, centrala jest nieczynna.
- Ma przecież telefon bezpośredni, jeżeli tam nocuje, usłyszałby sygnał.

Znowu cisza.

- Nie dzwoniłam - powiedziała w końcu.
- Czy ma pani coś przeciw podaniu mi tego numeru?
- Skądże, chwileczkę.

Słyszał jej oddech i widział prawie, jak jedną ręką trzymając słuchawkę, drugą przerzuca spis numerów.

- J est. - Podała mu numer.

- Dziękuję pani. Spróbuję się połączyć.

Nakręcił biurowy numer i dopiero gdy na dziewiąty może sygnał nikt się nie zgłosił, zrezygnował. Odstawił kobre, głęboko się nad czymś zastanawiając.

- Gotowe? - spytał znudzony dozorca tkwiący pod ścianą.

- Niezupełnie.

Durell poszedł jeszcze do łazienki, zapalił światło. Nieduża łazienka miała ściany wyłożone zielonymi kafelkami, obudowaną wannę, podłogę w zielono-czarną kostkę. Zgasił, przeszedł na przeciwną stronę przedpokoju, do głębokiej szafy ściennej. Wewnątrz nie było światła, ale blask lampy spod sufitu wystarczał. Na poprzeczce wisiało kilka eleganckich garniturów z dobrego materiału. Na wąskiej półeczce nad podłogą stała para czarnych i para brązowych półbutów. Cienka warstwa kurzu pokrywała deski, tylko w jednym miejscu podłoga była nieco jaśniejsza, jakby ją tam coś chroniło od kurzu, a w głębi ciemniała plama wielkości dłoni, tuż przy rurze kanalizacyjnej przebiegającej ukośnie w kącie szafy. Dozorca z zaciekawieniem przyglądał się poczynaniom Durella.

- Nie powie pan chyba, że i tu rura przecieka.

Durell pochylił się nad podłogą i ostrożnie dotknął.

- Przeciekała, ale już jest sucho, może się pan nie obawiać, że podłoga zgnije. Teraz jeszcze tylko zatelefonuję, potem będziemy mogli stąd wyjść.

Raz jeszcze szukanie numeru w książce, nakręcanie, czekanie. Po trzecim sygnale odezwał się głos, który od razu poznał.

- Dobry wieczór. Tu asystent Durell. Pozwoli pan, że zadam pytanie. Spotkał się pan może z dyrektorem Vade o drugiej?

- Nie - odpowiedź padła szybko i zdecydowanie.
- Tu w mieście mam wrażenie, że...
- Ma pan fałszywe wrażenie, o tej porze nie byłem nawet w moim biurze.
- W biurze nie. Ale może w tym małym przyjemnym mieszkanku przy Roslagsgatan - filuternie powiedział Durell.

W słuchawce zapanowała cisza, słysząc było przyspieszony oddech.

- Nie rozumiem, o co panu chodzi - usłyszał wreszcie. - Musiał się pan pomylić. - Brzęk, aż Durellowi w uchu zadzwoniło, nie poczuł się jednak urażony. Może żona weszła, pomyślał. Kłopotliwe byłoby wdawać się w szczegóły.

Idąc ku drzwiom pochylił się przed kapeluszem i płaszczem na wieszaku. - Żegnam, dyrektorze, może się wkrótce zobaczymy. - Dozorca z otwartymi ustami spojrzał na niego, a potem na płaszcz i kapelusz, jakby oczekiwał, że kapelusz sam się uniesie i odwzajemni ukłon. Zamykając drzwi słyszał wesołe pogwizdywanie asystenta, który zdążył już zbiec ze schodów i czekał na niego na dole, przed listą lokatorów sporządzoną z plastikowych liter na zielonym tle.

- Jak dawno Synneus ma to mieszkanie? - spytał.
- Od wielu lat - odpowiedział dozorca. - Dawniej on jest w tym domu niż ja. Ale jak mówiłem, rzadko się go widuje.

Durell wyciągnął chusteczkę, wytarł rękę, którą dotknął płamy w schowku.

- Pewnie często wyjeżdża - powiedział spokojnie. - Dziękuję za pomoc. Dobranoc. Na rury niech pan uważa, żeby nie przeciekały.

Wyszedł na ulicę. Było już ciemno. Idąc do domu zastanawiał się nad kilku istotnymi pytaniami. Po pierwsze - komu Vade naznaczył spotkanie w mieszkaniu Synneusa?

Prawdopodobnie kobiecie, bo kobieta zadzwoniła do niego o drugiej. Po drugiej - gdzie udał się potem i dlaczego zostawił płaszcz i kapelusz? Nie mógł o nich zapomnieć. Najprawdopodobniej wyszedł chyba na schody, może odprowadzając kogoś, i drzwi się zatrzasnęły. A klucz miał w kieszeni płaszcza, więc nie mógł się dostać. I trzecie pytanie: dlaczego na podłodze w głębi schowka była krew. Wytarta, ale plama była jeszcze lepka...

IV

Borys stał przy łóżku. Wyglądał na przerażonego i udręczonego. Ręce trzymał w kieszeniach. Wciąż zwilżał wargi koniuszkiem języka. Dopiero po chwili Jonas na dobre zdał sobie sprawę, że się obudził i że Borys rzeczywiście stoi i patrzy na niego. Odwrócił głowę w kierunku budzika - dokładnie wpół do ósmej. Ziewnął i dźwignąwszy się na łokciach powiedział sarkastycznie:

- Cześć. Dobrze ci się spało?

- Nie bardzo. Przepraszam, że tak wszedłem. Masz może coś od bólu głowy?

Borys mówił powoli, głuchym głosem.

- A nie mógłbyś pójść do swojej matki? Nie lubię, żeby mi ktoś włąził bez pukania.

- Nie chciałem jej niepokoić, zresztą tam jeszcze z pewnością śpią, więc masz coś czy nie? - Desperacko przesunął ręką po czole.

Jonas przyjrzał mu się ze zdziwieniem, potem wsunął nogi w pantofle i podszedł do biurka. Pogrzebał w szufladzie i wyciągnął pudełeczko. Wręczył je Borysowi.

- Proszę bardzo. Magnecyl z kodeiną. Weź, ile ci trzeba.

Borys wytrząsnął kilka pastylek, wrzucił je do ust, wydał policzki, odchylił głowę w tył, zamknął oczy. Chwilę stał w milczeniu, potem powiedział cicho:

- O wiele za często boli mnie głowa. Mama nie powinna o tym wiedzieć. Niepotrzebnie by się niepokoїła. Podle zresztą spałem. To nieznośne psisko wyło w nocy, nie mogłem zasnąć. Wierzysz w przepowiednie?

- Umiarkowanie.
- No tak. - Zapatrzył się w okno.

Jonas wrócił do łóżka. Usiadł i podparłszy głowę rękami ciekawie przyglądał się temu ponuremu kuzynowi Moniki. Borys był o kilka lat młodszy od niego, studiował język rosyjski i pisał pracę magisterską o skrótach w tym języku. Monika twierdziła, że Borys jest romantykiem i fantastą, na takiego wyglądał - chudy, oczy błyszczące, palce długie, giętkie, chudzielec źle sypiający po nocach, może go tak dręczą skrót w języku rosyjskim. - Politrak na przykład - mruknął sam do siebie.

Borys drgnął.

- Co powiedziałaś?
- Politrak. To jakiś skrót, prawda? Choć, jeżeli tak, wydaje mi się bardzo długi. Co to znaczy?
- Kierownik polityczny, polityczeskoj rukawoditiel, więc jednak skrót jest spory. - Nerwowo poruszał szczękami, aż mięśnie napinały się pod skórą. - Skąd ci to przyszło do głowy?
- Nie wiem. Myślałem o tym, że zajmujesz się skrótami w rosyjskim, a to jedyny skrót, jaki znam.

Borys popatrzył na niego dziwnie, wciąż poruszając szczękami.

- Zabawne, że na to właśnie wpadłeś, choć niezupełnie trafiłeś. Powinno być kristjanskij, kierownik chrześcijański, przez niego powołany, wiesz, że zamierzam się przerwucić.

Jonas szeroko otworzył oczy.

- Nie skończyć rusycystyki?
- Rozpocząć teologię.
- A cóż twoja matka na to?

- Jakie to ma znaczenie? Tu tkwi coś, co chce wyjaśnienia, co musi być wyjaśnione. - Znowu złapał się za głowę i zamknął oczy. - Jestem jak we mgle, muszę się z niej wydobyć. Tylko pieniądze, muszę mieć znowu pieniądze, żeby zacząć od nowa. Stary musi dać mi pieniądze, nie dać zresztą, musi mi zapłacić. Dlatego tu przyjechałem. Mamę trudno było zmusić, mama nic nie rozumie. Uważa, że wszystko jest dobrze i tak jak być powinno, bo nie rozumie.

Jonas czuł się coraz bardziej zdumiony. Oczy Borysa wyglądały jak czarne węgielki, ręce miał złożone jak do modlitwy, wargi wilgotne.

- Rozumiesz? - spytał gwałtownie.

Jonas zaprzeczył ruchem głowy.

- Pożyczył mi pieniądze na studia. A raczej dał pieniądze pod zastaw. Zbiór znaczków pocztowych, które mama dostała od mego ojca, bardzo rzadki zbiór rosyjskich znaczków, piękne znaczki, warte masę pieniędzy. Rozumiesz? Masę pieniędzy, dużo więcej, niż pożyczyłem. Postanowiłem odebrać zastaw.

- Aha. A masz za co wykupić?

- Nie. Napisałem do niego rok temu, prosząc, żeby go sprzedał, potrącił tyle, ile mi pożyczył, a resztę odesłał, albo żeby sam kupił po wycenieniu przez kogoś bezstronnego. Wcale nie odpowiedział na list. Przed miesiącem znowu napisałem. Odpowiedział bardzo krótko, że nie rozumie, o co mi chodzi.

- Co ty powiesz. Dlaczego go nie zaskarżysz?

Borys przełknął ślinę.

- Mama przeprowadzała tę transakcję. Wcale nie zażądała pokwitowania. Stary twierdzi, że kupił ten zbiór, zapłacił i nie ma najmniejszej ochoty odprzedawać. Zastanawiam się nad tym i zastanawiam. - Złapał się rękami za twarz i trząsł głową.

- Przecież to kradzież. Co na to twoja matka?

- Nie wiem. Nic nie mówi. Tylko czasem patrzy na swoje paznokcie, palce jej się kurczą i w oczach ma nienawiść. A jednocześnie twierdzi, że wszystko jest w porządku, że muszę wybaczyć, a ona musi zapomnieć. Nie wiem, co ona myśli, nie wiem, czy coś rozumie.
- Borys zacisnął pięści.

Jonas wstał. Podeszedł do okna, by je otworzyć. Uświadomił sobie, że jest parno, powietrze stoi nieruchomo. Gdy się odwrócił, Borys był już przy drzwiach, z ręką na klamce. Szczęki mu się znów poruszały, jakby coś przeżuwał, wokół ust rysował się wyraz nieprzyjemnej zawziętości. W rękę trzymał pudełeczko z magnecylem. Wyglądało na to, że nie może się zdecydować, czy wyjść, czy zostać.

- Chrystusowy przewodnik. Inaczej nie zaznam spokoju.
- To tego właśnie żądają od ciebie głosy?

Borys się uśmiechnął.

- Nie zawsze je słyszę, nie jestem wariatem, tylko mam swoją drogę. Jak sądzisz, dlaczego przyszedł ci na myśl politruk? Do ciebie też przemawiają głosy, choć ich nie rozumiesz, może zresztą do mnie przemawiają przez ciebie. - Wykonał jakiś obronny gest, niecierpliwy, gniewny prawie. - Kto zostanie powołany, musi być posłuszny, o cokolwiek chodzi, jakkolwiek będzie. On wskaże drogę, będzie ci światłem, powie, co masz robić, należy tylko słuchać i podążać wskazaną drogą. Słyszysz: podążać i być posłusznym, tak jak ja już... - Zamknął oczy. - Ty nie wierzysz w głosy ani w przepowiednie, ale ja wiem, co one znaczą.

Podeszedł do Jonasa szybkim, lekkim krokiem, pochylił nad nim trupioblada twarz, zanurzył chudą rękę w wewnętrznej kieszeni sztruksowej marynarki. Wyjął długopis. Nabazgrał coś na pudełeczku z magnecylem i wetknął je Jonasowi. Wciąż oblizywał usta.

- Przyjmij to jako wieść, jeżeli chcesz. Wszystkiego nie można wytłumaczyć. - Wrócił do drzwi i wymknął się cicho jak cień.

W sekundę potem zadzwonił budzik. Jonas rzucił się skokiem pantery, by wcisnąć guziczek, nie cierpiał tego terkoczącego dźwięku. Zawsze z głęboką niechęcią przyjmował obudzenie przez terkot budzika, ale zostać zbudzonym przez Borysa - to nie było wcale przyjemniejsze, przez chwilę wydawało mu się, że to ktoś zupełnie inny. Oj, Jonas, Jonas, strachy ci się zwidują w biały dzień, pośpiesz no się lepiej, pod prysznic, bo ci Borys zajmie łazienkę. Poczł pudełko z magnecylem w ręce. Spojrzał, przeczytał, co Borys tam napisał: kanciastymi literami wypisane były trzy słowa: stary nie żyje...

Durell stał pod najbliższą drogi lipą, na której wisiała skrzynka na listy z nazwiskiem Vade. Radiowóz zajechał pod gospodę i zaparkował z tyłu, za budynkiem, kierowca miał tam czekać. Pierwszy asystent natychmiast zauważył żwirowaną ścieżkę prowadzącą do willi Vadego. Za poprzedniej bytności nie rozejrzał się dokładnie, teraz natomiast robił to tak uważnie, z taką ciekawością, jak turysta na objazdowej wycieczce, Z tej strony willa była dobrze widoczna. Wysoka, wąska, parter ceglany, piętra ciemno otynkowane. Fronton składał się z obudowanych balkonów, jeden nad drugim, z siecią poręczy podtrzymywanych przez filary przypominające totemy. Nad tym wszystkim - niby aksamitny beret - zwisał dach, kryty dachówką, spatynowaną przez dziesiątki lat wiatrów i deszczów. Promienie słońca odbijające się w oknach raziły Durella w oczy. Cały ten wysoki ciemny budynek wyglądał, jakby go od wewnątrz zżerał tłący się tam ogień.

Wolno poszedł ścieżką pod lipami, wyciągającymi w niebo jeszcze wiosennie nagie gałęzie. Zbocze pokrywała zeschnięta zeszłoroczna trawa. Za ciągnącym się od strony szosy żywopłotem rozrzucone były

po całym terenie wysokie krzewy i brzozy o pękających już pąkach, obiecujące cień i bujną zieleń w lecie. Choć niewiele godzin minęło od wschodu słońca, powietrze już się nagrzało i parowało zapachem ziemi.

Ścieżka przeszła w szerokie stopnie, za szerokie na krótkie nogi Durella, nie mógł ich brać jednym krokiem, wypadł z rytmu. Znalazł się na niedużym zwirowanym placyku przed wejściem na parter. Kamienne schody prowadziły stamtąd na wyżej położony placyk, znacznie większy, z parkingiem dla miejscowych samochodów - naliczył ich cztery. Czuł się dość bezradny. Dom cichy, jak wymarły. Pod schodami było jedno wejście, a tu drugie. Podrapawszy się w rudą czuprynę, postanowił obejść dom dokoła, nim się zdecyduje gdziekolwiek zapukać. Spojrzał w kierunku willi Synneusa. Major i cztero-pięcioletnia dziewczynka wygrzewali się w słońcu na ławeczce. Jakaś blondynka podeszła do nich z tacą. Cóż za idylla poranna, pomyślał Durell, miejmy nadzieję, że architekt już się obudził. Ta blondynka to pewnie jego żona. Okno w pawiloniku między domami otwarło się dość gwałtownie i ukazał się w nim nagi tors mężczyzny, który wyjrzał mrużąc oczy przed silnym światłem. Mimo dość znacznej odległości Durellowi wydało się, że poznaje włoskiego kelnera z gospody. Za nim w głębi ktoś się poruszał - widać ktoś u niego nocował. Durell okrążył dom. Na długich rabatach narcyzy i irysy już rozkwitły, tulipanom jeszcze było do tego daleko. Tu po zacienionej stronie bladobiałe, bladoróżowe i lila pąki wyglądały jak zmarznięte, ziemia nie musiała być zbyt dobra, wydawała się raczej sucha i piaszczysta jak w iglastym lesie. Znalazł się na wysokości parteru. Okna tuż nad ziemią, bez trudu można było w nie zajrzeć, ale niewiele było widać przez koronkowe firanki. Wrócił na frontową stronę, której przyglądał się z drogi. Niebieski hamak błysnął mu zachęcająco, ale nie na opalanie

się tu przyjechał, tylko z przykrą, smutną wiadomością.

- Pan sobie życzy?

Durell drgnął i odwrócił się tak szybko, że krawat frunął w powietrze. Stała przed nim ciemnowłosa szczupła kobieta około czterdziestki, ubrana w coś czerwonego, z włosami zaczesanymi gładko i związanymi na karku w węzeł. Nagie, białe ramiona. Wyglądała na zmarzniętą. Durell patrząc na nią powiedział poważnie:

- Domyślam się, że pani Vade.

- Nie, pani Vade to moja siostra. Nie jestem pewna, czy już wstała. Dlaczego pan zaglądał do mieszkania?

Durell poczuł, że się rumieni. Ta kobieta niezbyt przyjemnie wyglądała, czarne przenikliwe oczy, gorzkie zmarszczki w kąciakach ust. Mówiła rozwlekle, wyraźnie sepleniąc.

- Jestem z policji - powiedział. - Moje nazwisko Durell. Że też po raz drugi myślę się, biorąc za panią Vade jedną z jej sióstr. Panią Ahlgren widziałem wczoraj w pralni.

- Ja nazywam się Shonborg - powiedziała oschle. - Panna Shonborg dla ścisłości. Chodzi oczywiście o Wenera. Znalazł go pan?

- Powinienem raczej pomówić z pani siostrą... z panią Vade.

Alma Shonborg zawahała się. Potem powiedziała wprost przed siebie w powietrze:

- Proszę ze mną.

Odwróciła się i poszła do wejścia na parter. Przytrzymała drzwi, wskazując Durellowi, by wszedł pierwszy. Rudy seter z pralni wynurzył się z mieszkania i zaczął przyjaźnie obwąchiwać asystenta, który pogładził go po łbie.

- Już mnie poznaje - powiedział do Almy z uśmiechem. - I z nim spotkaliśmy się w pralni. Czuje oczywiście, że i ja mam psa.

Udając, że nie słyszy, wysunęła taboret i wskazała mu.

- Proszę usiąść, przyprowadzę siostrę.

Usiadł, a ona zniknęła w głębi mieszkania. Po kilku minutach wróciła w towarzystwie okrągłej, dobroduszej pani Ahlgren, którą już znał. Zerwał się i ukłonił grzecznie. Ubrana była w kwiecisty szlafrok z szeroką szarfą, miała pantofle z jedwabnymi pomponami, na ręce szeroką złotą bransoletę, na głowie wianuszek z kolorowych lokówek. Tłumiła ziewanie. Spojrzała na Durella z zainteresowaniem.

- Ach, to pan. Zechce pan wybaczyć, że nie zdążyłam się upiękzyć, ale godzina nie jest zbyt późna. Znalazł pan już Wenera?

Durell zmarszczył czoło.

- Wolałbym pomówić z panią Vade. Gdzie mieszka?

- Na piętrze. Ale śpi jeszcze jak suseł, tego jestem pewna. - Zwróciła się do Almy: - Po coś go do nas przyprowadziła? - Zobaczyła psa, który znowu zbliżył się do Durella. - Rick - powiedziała ostro - położy się pod stołem. - Pies odszedł z opuszczonym ogonem. - Zaczynajmy.

Durell ze zdziwieniem przesunął wzrokiem po obu paniach. Zająty przed nim pozycję mocno wyzywającą, obie skrzyżowały ręce na piersiach i czekały.

- Nie bardzo rozumiem, chciałbym...

Agda Ahlgren przerwała mu:

- Proszę powiedzieć, co się stało z Wernerem. Nam niech pan powie. Jeżeli to coś poważnego, my powtórzymy Annie, to znaczy pani Vade.

Durell westchnął i spuścił oczy. Jedna z najprzykrzejszych sytuacji - przynosi krewnym smutną nowinę, powinien być wdzięczny, że to nie najbliższa rodzina, a tylko szwagierki. Czuł się może nieco zawiedziony. Rzecz cała od początku do końca miała przebieg tak banalny - tajemniczy telefon, odwołane posiedzenie, podejrzone ślady krwi

niewiele miały wspólnego ze sprawą Vadego. Powiedział cicho:

- Znaleźliśmy dyrektora. Wczoraj po południu do szpitala na Söder przyjęto pacjenta: człowiek bardzo stary, którego wygląd doskonale się zgadza z rysopisem dyrektora Vadego. Niestety nie ma przy sobie nic, co umożliwiłoby identyfikację, zdarzył się wypadek. Bardzo ciężki wypadek. - Jasnyniebieskie oczy Durella kryły się wśród piegów.

Agda chwyciła go mocno za ramię:

- To nieprawda - szepnęła. - Jak to się mogło...

- Został przejechany przez ciężarówkę na Kungsgatan wczoraj około trzeciej. Pozostaje tylko pewien drobiazg, muszę poprosić, by ktoś pojechał ze mną zidentyfikować go.

- Jest nieprzytomny... zidentyfikować... nie rozumiem.

Durell znów uciekł spojrzeniem.

- Nie żyje - powiedział cicho. - Zmarł o trzeciej, w nocy, dokładnie po upływie dwunastu godzin.

Alma przycisnęła ręce do piersi i szepnęła:

- A czy nie mówiłam, że to była przepowiednia? To się zawsze sprawdza: kiedy psy wyją, ktoś umrze. I Rick, i ten terier u Włocha dziś właśnie około północy wyły. On wtedy umierał.

Ucichła. Siostry długą chwilę spoglądały na siebie. Potem Agda zaczęła chodzić krokiem zdecydowanym. Zatrzymała się nagle i jedną ręką przytrzymując szlafrok, drugą wycelowała w Durella.

- Pozwoli pan, że my powiemy o tym Annie. Jest pan pewien, że to był nieszczęśliwy wypadek?

- A sądzi pani, że mogło to być samobójstwo?

- Cóż, i to możliwe. Mój syn może z panem pojechać i zidentyfikować. Poza tym on jest adwokatem Wernera. A ja pomówię z Anną i Moniką. Zobaczymy...

Durell czuł, że stoi przed kobietą praktyczną, która potrafi opanować sytuację.

- Zechce pani może zawiadomić syna?

- On tu mieszka, na górze. Lada chwila powinien zejść, bo ma być w mieście o dziewiątej. - Na moment jakby się zawahała. - Wielki Boże, cóż za nieszczęście... jutro skończy osiemdziesiąt lat, obiad w restauracji zamówiony... - Znowu zaczęła krążyć oszołomiona, a Durell splótł ręce na brzuchu i czekał na ukazanie się jej syna. Miał dziwne uczucie, zupełnie jakby był na komedii w teatrze. Obie one - chuda i tłusta - miały taki dziwny wyraz - nie był to wyraz wzburzenia, smutku, strachu. Może wyzwolenia. Najbardziej przypominało to uśmiech, powstrzymany uśmiech zadowolenia.

Jonas stał oparty o ścianę, twarzą zwrócony do słońca. Powietrze wypełnione było brzęczeniem, świergotaniem, pięknymi zapachami, czuł się zanurzony w wiośnie. Tak przyjemnie grzało w twarz i ręce. Oczy zamknął, oddychał głęboko i starał się odpędzić myśl o porannych wydarzeniach; Alma przyszła i powiedziała o tym, właśnie gdy Monika wyjmowała ostatnią grzankę z opiekacza. On nie żyje. Dziś trzydziesty. Ostatni dzień kwietnia, słońce weszło o czwartej, zajdzie o wpół do ósmej...

Sylwii udało się podejść tak, że nie zauważył. Szepnęła mu prosto w ucho:

- Nie stój tu, wymknijmy się gdzieś. Co nas to obchodzi, prawda? Jaki piękny dzień...

Powoli zdał sobie sprawę, że to ona, otworzył oczy. Zostawiła mu czas na obserwację jej uśmiechu. Zęby miała białe, lśniące, usta miękkie, oczy kuszące. Ubrana była w jasnożółtą bawełnianą sukienkę z krótkimi rękawami i koszulowym kołnierzem; ten kolor przypominał mu patelnię z jajkami na śniadaniowym stole. Nogi miała gołe,

już opalone, była tylko w sandałkach. Włosy okalały twarz jak miętka czarna czapeczka. Pieszczotliwie wsunęła mu rękę pod ramię.

- Chodź, idziemy. Posłuchaj mnie.

Jonas uśmiechnął się błędnie.

- A tak. Nie zimno ci? Wcześniej zabawiasz się w dziewczynkę na wakacjach.

- Chodź. - Pociągnęła go na zbrocze. - Nie, nie jest mi zimno.

Mnie zawsze ciepło. Lubisz takie typy?

Jonas zerknął na nią - wyglądała na ciepłą dziewczuszkę.

- Bengt mi mówił, że studiujesz prawo.

- Jestem także ekonomistą. Kapitały, ustawy...

- Aha. On miał niezłe z dwoma ekspertami w domu. Tylko Bengt zamierzał się wynieść i pójść swoją drogą. A on, gdyby miał wybrać między wami, pewnie ciebie by wybrał, ty mogłeś mu i w interesach pomagać. Ekonomisci to chyba potrafią? - Uśmiechnęła się do niego niepewnie.

- Chyba potrafią...

Jonas poczuł nieumotywowaną irytację, choć nie do niej zwrócił się.

- Myślisz pewnie, że zamierzałem wykorzystać Monikę, by wejść do przedsiębiorstwa. Mylisz się. Czy Bengt ci o tym wspominał?

- Skądże. To tylko ja, głupia, tak myślałam. Bengtowi od dawna się sprzykrzyło, a jeśli on by z tym skończył, ktoś inny musiałby zająć jego miejsce, nieprawdaż?

- Są setki prawników.

- Za dużo by kosztowali. Za dużo dla starego. To znaczy dla wuja Wenera. - Rozejrzała się szybko, jakby w obawie, że ktoś ją usłyszy. - Wiesz, on był skąpy.

Jonas się roześmiał.

- Co ty powiesz! I to wiesz od Bengta?

- Żebyś wiedział, jak on Bengtowi marnie płacił. I zawsze wspominał, że to on, znaczy wuj Werner, łożył pieniądze, żeby Bengt

mógł pozdawać egzaminy. Nie uważasz, że to jest wymuszanie...

- Nie. Uważam, że to jest poniżanie. Ze strony Bengta. Godzić się z tym. Droga Sylwio, pomówmy o czymś innym. Wydaje mi się, że to nas nie obchodzi.

Wyglądała na urażoną.

- Poniżanie. Przecież mówię, że chciał się wycofać.

Minęli skrzynkę na listy, skręcili w prawo, wyszli na drogę, która łagodnym spadkiem prowadziła ku wybrzeżu i przystani. Jedno z dwóch rozgałęzień tej drogi biegło na prawo i gubiło się wśród drzew za zakrętem, a drugie na lewo równoległe do brzegu zatoki, koło kaplicy i stojących budynków, aż do skrzyżowania z aleją zamkową. Jonas zatrzymał się koło przystani i wskazując swą sfatygowaną łódź powiedział:

- Ta jest moja.

- O, masz łódź? Zawsze o tym marzyłam. Kiedy ją spuścisz na wodę?

- Nie wiem. Trzeba ją przedtem doprowadzić do porządku. Kiedy łódź jest już taka stara, roboty z tym do licha i trochę. Może lepiej byłoby ją sprzedać.

Weszli na molo. Jonas podniósł parę kamyków i śmigał nimi wysokim łukiem, padały w wodę z optymistycznym pluskiem. Sylwia z podziwem przyglądała się zesłorocznym zeschłym szuwarom. Trzciny sięgały aż po mostek, bez trudu wyrwała trzymetrową pałkę i wymachiwała nią przed nosem Jonasa.

- Można by nazbierać, z tego wypłata się śliczne dywaniki.

Zeszli z mostka i szli wzdłuż wybrzeża. Po prawej stronie drogi naprzeciw kaplicy był trawnik, od strony zatoki zamknięty ścianą trzciny i olszyny, tylko gdzieniegdzie prześwitywała woda. Na środku trawnika leżał olbrzymi stos gałęzi, chrustu, naręcza trzciny, całe pnie

drzew, deski z połamanych skrzynek, stare kartonowe pudła, zwoje gazet.

- Dziś wieczorem to podpalą - powiedział Jonas. - Chłopcy od tygodnia zbierali opał na ognisko. I tak co roku. Co wiosnę.

- Co wiosnę. Zawsze to samo. Pójdziemy popatrzeć.

Jonas wzruszył ramionami.

- Możliwe. Masz na myśli wszystkich, czy tylko nas dwoje?

Sylwia roześmiała się perliście i mocniej ścisnęła jego ramię.

- A co by Monika powiedziała, jak ci się zdaje? Chociaż dlaczego nie, ma żalobę. Jak to przyjęła?

Jonas poczuł nowy przypływ przykrości, jakiej doznał przy śniadaniu.

- Spokojnie. Alma przyszła na górę z tą wiadomością. Anioł śmierci w rdzawej czerwieni. Jeżeli lubisz takie rozgrzebywanie zwłok, mogę ci opowiedzieć więcej.

- Och - powiedziała Sylwia. - Ja jestem jak robak. Opowiadaj.

- Monika odłożyła na talerzyk grzanekę z serem, odwróciła głowę, płakała. Nawet jej nie pocieszałem. Potem wstała od stołu, poszła do swego pokoju i zamknęła się. Monikę bardzo to obeszło. Chyba rozumiesz. Czy jest dostatecznie słonecznie i ciepło, byś chciała usłyszeć coś więcej?

Sylwia kiwnęła głową.

- A cóż Anna?

- Anna też się odwróciła i ukryła twarz w dłoniach. Ramiona jej się trzęsły, z początku leciutko, potem coraz mocniej.

- Ukochany zmarły - szepnęła Sylwia. - No i co? I co?

- Podszedłem, żeby ją pocieszyć. Widok płaczącej kobiety jest dla mnie okropny. - Nie płacz, Anno, powiedziałem. - Zdawało się, że

to ją uspokoiło. Ramiona jej opadły. Zwróciła się do mnie. Twarz nieruchoma, zimna jak marmur i taka piękna. Anna jest bardzo piękna. Długo na mnie patrzyła spod przymkniętych powiek. Potem wybuchnęła śmiechem, takim z głębi serca, niepohamowanym jak strumień wiosną. - Nie płacz, Anno, powiedziała, myślisz, że płakałam, ja się śmiałam. - Potem ona też poszła do swego pokoju i zamknęła się.

Sylwia patrzyła na niego wielkimi oczami, w których głębi pełgał płomyk strachu.

- Nie kpij ze mnie, Jonas.

- Nie kpij! Ja wcale nie kpię. Może chcesz więcej makabry? Zostałem z Alną tylko. Wiesz, co powiedziała? To Bóg go ukarał przez swego syna. Ktoś wziął go za rękę i poprowadził przez ulicę, właśnie w chwili gdy samochód przejeżdżał. Przewodnik, rukawodziel. Wiesz, co to znaczy? Zresztą wszystko jedno.

Sylwia skuliła ramiona, jakby jej się zimno zrobiło, już nie zdradzała zainteresowania. Jonas spojrzął na nią z ukosa.

- No, a cóż ty? - powiedział.

Opuściła oczy i poczerwieniała.

- Mnie to mało obchodzi. Bardzo nieprzyjemnie oczywiście, że akurat tak się zdarzyło, kiedy my tu jesteśmy, ale uważam, że stary był okropny. Tak wrogo na mnie patrzył. Zawsze trzymałam się z daleka.

- A Bengt?

Zawahała się.

- Weszłam właśnie, kiedy mu o tym mówiono. Uważam, że nie przejął się zbytnio. Wyglądało raczej na to, że obawia się mnóstwa kłopotów i pracy, jakie to na niego ściągnie. To zupełnie nieprawdopodobne, powiedział. Ale nie był wstrząśnięty, twarda sztuka z mego brata.

- To się wiąże z zawodem. Myśli paragrafami. A potem wyjechał?

- Tak. Potem wyjechał. A mama i Alma spierały się, która pójdzie do Anny. Alma zwyciężyła. O tym trzeba je natychmiast zawiadomić, powiedziała, a ty nie jesteś jeszcze ubrana. Nie przychodzi się z podobną nowiną w kwiecistym szlafroku i z włosami nakręconymi na wałki. A potem sama stała jeszcze z pięć minut przed lustrem, za nim poszła.

Sylwia zachichotała. W tejże chwili zza stajen od strony skrzyżowania dróg dało się słyszeć szczekanie psa. Znowu chwyciła Jonasa pod ramię.

- To chyba Rick - powiedziała. - To znaczy, że mama z nim wyszła.

Seter się ukazał. Biegł z nosem przy ziemi, zawracał za czymś węższym, wreszcie podbiegł do nich. Usłyszeli Agdę wołającą na psa. I ona wyszła zza stajen ubrana w zieloną zamszową kurtkę, myśliwski kapelusik, plisowaną spódniczkę, również zieloną, i solidne półbuty. Poznała ich z daleka i pomachała ręką.

- Jaki piękny ranek! - zawołała. - Moja Sylwio, jak tyś się ubrała! Nie zimno ci?

Podeszła, zdjęła kapelusz i wytarła czoło wierzchem dłoni. Rick skoczył na Sylwię, która go poklepywała i opędzała się, wreszcie pies się uspokoił i usiadł z wywieszonym językiem i oczyma wyczekująco wlepionymi w Agdę, która wcale na niego nie zwracała uwagi.

- Zrobiliśmy ładny spacer przez las. Do parku wejść nie można, ze względu na strażników, a chętnie bym dziki zobaczyła - dziki Millesa*, ma się rozumieć. Ty je oczywiście widziałeś.

[Milles - słynny rzeźbiarz szwedzki, jego rzeźba „Dziki” znajduje się w parku Ulrtksdal (przyp. tłum.)]

Jonas kiwnął głową.

- Widziałem. Mają jaszczurki między kopytami...

- I oranżerię też warto zobaczyć. Latem musi tu być pięknie.

Strażnicy są chyba tylko, póki król tu mieszka. W każdym razie ja nie zdążę zobaczyć, jak tam w parku wygląda. No, do nogi, Rick. - Odciągnęła psa na bok i wzięła na smycz. - Bengt wrócił?

- Nie wydaje mi się - odpowiedział Jonas.

- Okropne to wszystko. I akurat przed świętem i urodzinami. No cóż, nie jestem obłudna. Specjalnie za nim nie przepadałam. Chodź, Rick.

Szarpnęła smyczą i poszli w tym kierunku, z którego Jonas i Sylwia przyszli. Pani w średnim wieku, korpulentna, ale zręcznie się poruszająca, w myśliwskim kapeluszu i grubych butach, pod którymi żwir chrzęścił, gdy stąpała zdecydowanie, i smukły pies o rudobrazowej sierści, idący tuż przy Jej nodze.

Jonas i Sylwia skręcili w aleję parkową, którą po drugiej stronie rzeki za mostem zamykała ażurowa brama z kutego żelaza. Przed mostem znajdowały się dwie splewiałe od słońca budki strażnicze i dwaj strażnicy w białych hełmach, białych pasach i białych getrach. Jeden zaczął właśnie przechadzać się w tę i z powrotem krokiem marszowym, trzymając, jak i drugi, oparty na biodrze, wysunięty groźnie pistolet maszynowy. Jonas odniósł wrażenie, że obaj starają się ważnie wyglądać dla zaimponowania Sylwii.

Rzeka stanowiła granicę zamkowego parku. Płynęła między drzewami wolno i leniwie, ale tuż przed mostem woda była spiętrzona przez tamę metrowej wysokości. Tamę stanowiły oślisze pnie, z których woda spływała z szumem, gwałtownie, by zgubić się w spokojnym nurcie i popłynąć pod mostem do zatoki.

Sylwia wskazała w górę rzeki.

- Zobacz, jakie to urocze. Widzisz?

O rzut kamieniem powyżej wodospadu majaczyły dwa ciemne posągi.

- To Maurowie - powiedział Jonas.

- Żeby tak dostać się tam i zobaczyć. Poczekaj! - Sylwia wyprostowała się i wystudiowanym krokiem, od którego sukienka uwodzielsko opinała się na biodrach, podeszła do znieruchomiałego wartownika. Coś powiedziała, czego Jonas przez szum wodospadu nie usłyszał. Wartownik odpowiadając uśmiechnął się i potrząsnął głową. Sylwia coś mu z ożywieniem tłumaczyła, wartownik z niepewną miną przywołał drugiego i po krótkiej dyskusji, w której Sylwia mówiła najwięcej, jeden z żołnierzy podszedł do bramy, otworzył drzwiczki w filarze i wyciągnął aparat telefoniczny, Sylwia wróciła do Jonasa.

- Zadzwoń do szefa straży, dowie się, czy możemy wejść. Przyrzekłam im, że nie wysadzimy pałacu w powietrze.

Wartownik wsunął telefon do skrytki w filarze i dał im znak przyzwalający.

- Więc widzisz - triumfująco powiedziała Sylwia.

Obdarzyła wartowników oszałamiającym uśmiechem, gdy przechodzili, by minąć most, bramę i pójść aleją parkową w górę rzeki. Brzeg opadał ku mętnej od gliny wodzie kopulastymi kępami. Wzdłuż rzeki rosły olchy, stare sękate drzewa o pniach pełnych zabliznionych śladów po odłamanych gałęziach i po działalności dzieciółów. Nagie szare pnie sterczały w niebo, gałęzie tworzyły splątany szpaler. Trochę dalej w górę rzeki był jeszcze jeden niepokąźny most, który łączył park z dzielącą koryto rzeki wydłużoną wyspą, rzadko porośniętą krzakami, a stąd prawie niewidoczną, ukrytą za węższą odnogą wody. Na kamiennej podbudowie przy wejściu na ten most stały dwa posągi ze spatynowanego brązu. Postacie potężnych mężczyzn naturalnej wielkości o negroidalnych rysach, spłaszczonych nosach i grubych wargach. Ich torsy i nogi były nagie, muskuły napięte.

Udrapowane wokół bioder egzotyczne przepaski miały w fałdach kolorowe desenie. Ich żyłaste stopy mocno wspierały się o kamienny

fundament. Maurowie. Każdy z nich trzymał końce stalowych lin. Liny przebiegały równolegle do siebie pod mostem, a między nimi rozpięta była druciana sieć nie dotykająca wody. Unosiła się w powietrzu o jakiś centymetr nad powierzchnią.

- Maurowie - powiedziała Sylwia. - Jacy romantyczni byli kiedyś ludzie. Co oni robią? Zarzucają sieć?

- Chyba. Tak się kiedyś robiło. Stawali po dwóch stronach wody i trzymali sieć. Egzotyka też była kiedyś popularna.

Sylwia roześmiała się.

- Jaka szkoda, że nie wzięłam ze sobą aparatu. Myślisz, że mają ryby...

- Wątpliwe. Bo sieć nie sięga wody. Możesz podebrać, jeżeli masz ochotę.

Sylwia przykucnęła i trzymając się ręki Jonasa zajrzała w wodę, wychyliwszy się poza brzeg mostu. Po chwili zachwiała się, jakby tracąc równowagę, ale Jonasowi udało się ją przytrzymać. Wstała i zwróciła ku niemu poszarzałą z przerażenia twarz.

- Nie ma niebezpieczeństwa - powiedział Jonas pobłaźliwie. - Przecież cię trzymam. A gdybyś nawet spadła, żołnierze chętnie by się tobą zajęli.

- Zobacz, Jonas - wyszeptwała. - Zobacz, tam w sieci.

Zmarszczył czoło, popatrzył na nią pytająco. Potem wychylił się i spojrzął.

Od stalowej liny, swobodnie kołyszącej się nad powierzchnią, gruby sznur prowadził w wodę, drugi jego koniec przymocowany był do chudej ręki. Prąd poruszał kredowobiałą dłonią o długich cienkich palcach, woda była mulista i mętna, ramię zniknęło w niej. Jonas poczuł gwałtowne mdłości, przemógł się jednak, chwycił za sznur i pociągnął. Ramię ukazało się nad powierzchnią, za nim wolno i niechętnie wynurzyło się ciało, spod żółtej mazi wyjrzała głowa, wolno podpłynęła w górę, słońce precyzyjnie się między drzewami oświetliło

ją z całą upiorną przekornością. Steżała martwą twarz, siwe włosy, sine wąskie wargi, rozciągnięte w makabrycznym uśmiechu, obnażającym rząd żółtych zębów z poczerniałymi szyjkami. Jonas puścił, ciało znowu zniknęło pod powierzchnią. Zerwał się na równe nogi, zawirowało mu w oczach.

- Sylwia - powiedział przeraźliwie głuchym głosem. - Musimy zawiadomić policję. Poprosić strażników, żeby zawiadomili. To stary. Dyrektor. Dyrektor Vade tam leży. Maurowie go złowili...

V

Durell biegał po moście z notesem w jednej, a długopisem w drugiej ręce. Rzucał rozkazy ekipie zabezpieczającej, mówił bez przerwy, a jednocześnie na kartce wykreślał kunsztowny szkic: Maurowie, most, rzeka, najbliższe otoczenie. Przyjrzał się swemu dziełu przechyliwszy głowę, mógł być zupełnie zadowolony z rezultatu.

- Proszę stąd sfotografować. - Fotograf policyjny zrobił kilka zdjęć pod ostrym kątem z brzegu, żeby ująć przestrzeń między wodą a mostem. - I stąd. - Durell wskazał w przeciwnym kierunku. Wyciągnął miarkę, wziął się do mierzenia. Kuczał, pełzał i prznosił rezultaty na szkic. Kilku mundurowych policjantów zaczęło zabezpieczać teren sznurami, do których natychmiast cisnęli się ciekawi chłopcy, a ten i ów z dorosłych też, zobaczywszy wozy policyjne, spieszył w tym kierunku.

Jonas stał w pobliżu. Sylwia go opuściła, nie chciała na to patrzeć, była wstrząśnięta, chciała wrócić do domu. Na jej miejsce zjawił się Bengt. Był skupiony i czujny, ale nie tak bardzo poruszony jak Jonas. Bo on go nie widział, myślał Jonas. Ta okropnie biała ręka wystająca

z wody, ta twarz... - Zobaczysz, oni go teraz wyciągną - powiedział. Ten okrążył z włosami jak marchew zebrał policjantów wokół siebie, gestykulował, zginał kolana, robił ruchy maskujące podnoszenie, wywijał rękami jak dyrygent orkiestry: pianissimo, wolno, ostrożnie.

Jonas schylił głowę i zamknął oczy. Gdy je otworzył, na noszach jeszcze nie było ciała, policjanci klęczeli na brzegu coś trzymając, a teraz zaczęli się podnosić. Jonas chwycił Bengta za ramię.

- Chodź, poczekamy gdzieś indziej. Koło stajen. Ja tego nie mogę znieść.

Właśnie gdy znaleźli się za stajniami, które litościwie skryły widowisko przy Maurach, czarny wóz policyjny przejechał aleją i zaparkował koło mikrobusika ekipy technicznej, wysiadł wysoki chudy mężczyzna z siwymi bokobrodami, stojący na warcie policjant zasalutował i wskazał zejście do rzeki. Wysoki wyciągnął chustkę, głośno wytarł nos i dopiero potem ruszył we wskazanym kierunku.

Niedaleko od Maurów na chwiejnych polowych taboretach siedzieli Sargren, Durell i lekarz policyjny. Komisarz był zmieniony przez przeziębienie, oczy zaczerwienione i zmatowiałe, nos spuchnięty, dreszcze nim trzęsły. Doktor ustawicznie dotykał czoła, na którym miał pryszcz. Jak widzowie w sali teatralnej przyglądali się z tego miejsca badaniom terenu. Dwaj policjanci wynieśli za bramę nosze przykryte szarym kocem. Ich brzemień najwidoczniej nie było zbyt ciężkie. Kiedy zniknęli we wnętrzu karetki pogotowia, fotoreporterzy opuścili kamery.

Durell wydymał usta, drapał się długopisem w czubek nosa - zaglądał do notesu, ale oczy w wianuszku piegów były nieobecne, jakby

wybiegające poza czas i przestrzeń, bez żadnego zainteresowania bazgraniną, jaką miał przed sobą. Sargren znowu wyjął chustkę i utarł nos.

- Pamiętam takie samobójstwo - powiedział. - Denat obwiązał się łańcuchem, przymocował sobie na piersi żelazną sztabę, przywiązał się do betonowej poręczy mostu drutem, żeby go prąd nie zniósł, i dopiero skoczył.

- Tak - powiedział Durell - ale ten został zamordowany i zatopiony pod mostem.

Sięgnął do swych notatek i wyrecytował:

- Ciało było zakotwiczone do stalowej liny, która przebiega między tak zwanymi Maurami. Kawałek sznura przywiązany jednym końcem do przegubu lewej ręki, a drugim do liny. Podobny kawałek sznura jednym końcem do lewej nogi w kostce, drugim do liny. W ten sposób ciało zakotwiczone w wodzie pod mostem na dostatecznej głębokości, by można było liczyć, że zwłoki nieprędko zostaną odkryte. Nawet jeżeli podobny sposób nie wyklucza samobójstwa, jest dostatecznie skomplikowany, by uznać je za nieprawdopodobne.

Zerknął na Sargrena i dalej czytał tonem zupełnie bezosobowym:

- W chwili wykrycia odległość między spodnią powierzchnią mostu a wodą wynosiła czterdzieści centymetrów, grubość płyty mostu również czterdzieści centymetrów. Odległość między liną a powierzchnią wody piętnaście centymetrów. Głębokość w tym miejscu metr dwadzieścia. Woda zanieczyszczona gliną, nieprzejrzysta. Dno kamieniste. Sznury grube, mierzyły od węzła do węzła na ręce pięćdziesiąt, na nodze pięćdziesiąt pięć centymetrów. Przy manipulowaniu ciałem trzeba było sznury uciąć tuż przy linie. Krótkość sznurów i sposób, w jaki je na ciele zawiązano, wyklucza samobójstwo ze względów technicznych.

Nabrał tchu, spojrzął ponagląjąco na Sargrena i znów zagłębił się w notatkach:

- Przemawiają za tym ustalenia medyczne, jakie można było poczynić na miejscu. Po pierwsze: ciężkie uszkodzenie na czole. Kość czołowa poddaje się przy lekkim ucisku, duży krwawy naciek na czole. To uszkodzenie mogło spowodować śmierć. Po drugie: drobniejsze kontuzje i rany darte na rękach i kolanach powstały najprawdopodobniej po śmierci. W wodzie, przez ocieranie się ciała o dno.

Zwrócił się do doktora:

- Zechcesz potwierdzić.

- Nie mogę - odrzekł lekarz, ostrożnie obmacując swój przyszc. - Obdukcja przyniesie pewnie więcej danych, chwilowo jednak musisz się zadowolić tym, co jest. Pod tym, że to raczej morderstwo, chętnie się podpisuję.

- Zawsze coś. Idziemy dalej. Stopień pomarszczenia skóry wskazuje na to, że ciało leżało w wodzie krócej niż dobę. - Durell prychnął. - My zresztą wiemy, że on żył wczoraj o tej porze. Możesz bliżej określić?

- Nie - powiedział lekarz. - Zaczekaj na obdukcję. Nie mogę powiedzieć, jak głębokie zmiany zaszły. Jeżeli woda jest ciepła, skóra szybciej niszczeje. Jeżeli zimna, proces jest powolniejszy. Mogę tylko stwierdzić to, co widzę, skóra jest mocno pomarszczona. I tylko tyle wiem. To może nastąpić w ciągu kilku godzin, a potem w ciągu całej doby nie zachodzą większe zmiany.

- Aha. Więc cofnijmy się - powiedział Durell. - Co działo się z ciałem, nim znalazło się w wodzie?

Sargren spojrział na Durella oczyma zmęczonymi gorączką.

- Jeżeli dobrze rozumiem - powiedział - ciało położono na moście, tak że lewa ręka i noga musiały zwieszać się z mostu, inaczej sznury nie wystarczyłyby na przymocowanie do liny. Po zakotwiczeniu ciało zostało wepchnięte do wody.

- Z pewnością tak - powiedział Durell. - I wtedy on już nie żył.
- To zupełnie pewne.
- A więc pytanie: gdzie został zamordowany! Na moście?
- Wątpliwe - rzekł Sargren. - Gdyby został napadnięty, wzywałby pomocy. Wartownicy by usłyszeli. Tu na moście i w pobliżu wszystko musiałyby odbyć się bardzo cichutko.
- Właśnie. - Durell rozłożył ręce, czarny notes wyleciał przy tym w powietrze jak czarne złowróżbne skrzydło.
- Został tu przetransportowany, nieprawdaż?
- Sargren przytaknął.
- Jaką drogą?
- W każdym razie nie przez bramę. Ta droga do parku jest mało prawdopodobna, wartownicy by zauważyli. Powinieneś z nimi pomówić.
- Spokojnie, przyjacielu. Pomówię z nimi. No, więc jaka droga pozostaje?
- Z drugiej strony. Od stajen. Przez wąską odnogę rzeki na wyspę i z wyspy na most. Jeżeli transportu dokonano po ciemku, mogło to zostać nie zauważone.
- To samo myślałem. - Durell z zadowoleniem kiwnął głową, ssąc w roztargnieniu oprawkę długopisu. - Jeżeli przyjmiemy, że wartownicy nie spali i nie urwali się na lewą przepustkę, pozostaje jedynie tamta droga. Co do miejsca zbrodni wykluczamy most, a poza...
- Jeżeli zakładamy, że go przetransportowano, morderstwo mogło zostać popełnione gdziekolwiek:
- O właśnie. Gdziekolwiek. - Durell przywołał wspomnienie oględzin pewnego mieszkania przy Roslagsgatan i poczuł lekkość owej plamy w schowku. Pora zarządzić dokładne zbadanie tego mieszkania. W najlepszym razie uda się znaleźć narzędzie, jakie mogło spowodować pęknięcie czaszki. W nieco gorszym da się stwierdzić, że w schowku na garderobę przechowywane było ciało. Przy

odrobinie szczęścia dokładniejsze wywiady z lokatorami mogą dostarczyć wiadomości o tajemniczych łomotach, krzykach i odgłosach uderzeń, o parkujących pod domem samochodach z podejrzanymi ciężarami w bagażniku, z równie podejrzanym oznakowaniem. Dobrze byłoby teraz - drogą legalną - uzyskać zezwolenie na rewizję. Trochę irytujące, że trzeba przy tym ujawnić, dlaczego powinno się ją tam przeprowadzić... Ukradkiem spojrzął na swego szefa.

- Chyba długo tu nie zostaniesz. Wyglądasz na człowieka, który powinien czym prędzej położyć się do łóżka.

Sargren uśmiechnął się.

- Wzrusza mnie twoja troskliwość. Chcesz być sam przy schwytaniu mordercy?

- Skądże. Do tego jeszcze daleko.

- Chyba tak, ale też nikt nie żąda, żebyś go wyciągnął z kapelusza w ciągu sekundy. Masz cały dzień. Potrzebujesz więcej ludzi, mogą to załatwić, ale na mnie nie licz.

- Po powrocie do miasta zechciej wydać nakaz przeprowadzenia dokładnej rewizji mieszkania przy Roslagsgatan 18, drugie piętro, nazwisko Synneus.

Sargren spojrzął ze zdziwieniem, Durell opuścił oczy.

- Tam kończy się ślad. Pewne dane ustaliłem wczoraj. Między innymi odnalazłem taksówkę, która zawiozła Vadego pod ten adres. Pojechałem tam i doszedłem do wniosku, że jest to jedyne mieszkanie, które można brać pod uwagę w związku z Vadem. Właścicielem jest jego sąsiad, z Ulriksdal. Architekt. Coś w tym może być.

- Jak dokładnie należy przeszukać mieszkanie? - podejrzliwie upewnił się Sargren.

Durell podniósł na niego oczy pozbawione wyrazu.

- Bardzo dokładnie. Wszelkie rewizje powinno się przeprowadzać bardzo dokładnie. - Wstał, rozpiął górny guziczek soczyscie

zielonej koszuli, jakby poczuł, że kołnierzyk jest za ciasny. - Może obejrzymy te drobiazgi, nim odejdziemy.

Koło Maurów na brzegu mostku rozpostarto plastikową płachtę, na której rzędem stały mniejsze i większe plastikowe pudełka. W jednym leżały sznury odcięte od stalowych lin, opatrzone kartką z napisem „gotowe do badań technicznych”. W drugim znajdowały się mokre sznurowane buty starego z wyraźnymi otarciami skóry na noskach. W mniejszym pudełku kilka drobnych monet, pęk kluczy, scyzoryk, zamokła fotografia ładnej kobiety z dającym się odczytać napisem w poprzek lewego ramienia: „Ukochanemu”.

- A portfela nie miał przy sobie? - spytał Sargren.

- Nie. Portfela nie było. Tu jest wszystko, co znaleziono. Coś mogło wpaść do wody. Sprawdzimy. Pieniądze miał w górnej kieszeni marynarki. Jak na milionera nieduże: cztery korony i dwadzieścia trzy öre. W dużej kieszeni miał klucze, a w wewnętrznej tę fotografię. Ciekawe, czy to żona, czy kochanka, córka to w każdym razie nie jest.

- Dziwne, że brak portfela.

- Nie wiemy, czy brak. Może go nie miał przy sobie.

- Wierzysz w to?

- Nie.

- To może być mord rabunkowy.

- Może być wszystko. Nie zabrałem się jeszcze do badania motywów. Ale teraz zacznę, tu, od sąsiadów, ludzi z otoczenia Vadego. Obiecuję być czujny. Także jeśli chodzi o portfel.

Sargren z jednego z plastikowych pudełek wyjął krawat.

- A dlaczego to dołączyłeś do zbioru?

Durell uśmiechnął się.

- Nie wiem. Może dlatego, że jest tak strasznie brzydki. W wyjątkowo złym guście i taki smutny, aż przykro. - Z zadowoleniem

dotknął jaskrawokolorowej ozdoby własnej szyi. A zauważywszy, że Sargren zmarszczył czoło, dodał pospiesznie: - Poza tym węzeł miał na plecach. I wąski koniec był znacznie dłuższy od szerokiego. Węzeł był skomplikowany, podwójny. No, prąd mógł odwrócić krawat. Wiadomo, jak wyglądają szyje starszych panów, jak u oskubanej kury, więc wszystko tam za luźne i za szerokie, krawat jeździ...

W oczach Durella pojawił się wyraz uwagi, gdyż policjanci zaczęli wyjmować gips i gumowe miseczki.

- Znaleźliście ślad? - zawołał.

- Tak - odrzyknął jeden z ekipy. - Są dwa wyraźne ślady sportowego pantofla, na brzegu rzeki i na kładce, bo tam jest kładka przerzucona przez wodę. Mamy też kłak włosów zgubiony przez orangutana albo przez rudą baletnicę.

Durell szybko do nich podszedł, Sargren tuż za nim, tylko doktor nie przejawiał zainteresowania. Policjant wskazał wyraźny odcisk buta o rowkowatej podeszwie. Dokoła były i inne ślady, ale nie tak widoczne, żeby można było zrobić odlew. Między brzegiem, nad którym wznosiły się stajnie, a wyspą przerzucona była kładka i na niej widniał podobny ślad.

- A więc tędy ciało zostało wniesione - powiedział Sargren. - Ślad jest dość głęboki, a więc osoba ta coś niosła.

- Coś niezbyt ciężkiego - zauważył Durell.

- Być może - rzekł jeden z policjantów.

Durell z powątpiewaniem kiwał głową.

- Choć wątpię. Czubek buta najmocniej odcisnięty, wygląda to na skok, dość zgrabny skok. I nie ma więcej śladów.

- Ziemia tu twarda. Jedyne miększe miejsce na całej wyspie.

- Szkoda. Wielka szkoda. A ten kosmyk włosów?

Dostał go do ręki i mocno się zamyślił.

- Orangutan - mruknął - albo ruda baletnica. - A już zupełnie cicho na własny użytek dodał: - Albo irlandzki seter. - Wrócili na most i skierowali się do bramy. Sargrena coraz mocniej trzęsły dreszcze, nie odejmował chustki od nosa i opierał się na Durellu. Pod budki strażnicze podjechał radiowóz, co komisarz przyjął wdzięcznym spojrzeniem.

- Szkoda, że karetka już odjechała - powiedział. - Mógłbym wracać na leżąco.

- Nie zapomnij o tym mieszkaniu - powiedział Durell otwierając drzwiczki przed szefem, który z trudem zmieścił długie nogi na przednim siedzeniu. - Roslagsgatan 18, drugie piętro.

- Tak, tak. Zaraz po powrocie wydam polecenie.

- Słuchaj, tylko proszę, powiedz, żeby nie przeoczyli plamy tuż przy murze w schowku na ubranie. Bo widzisz, to jest świeża plama krwi. Trzeba będzie porównać z grupą krwi Vadego.

Komisarz zmarszczył czoło i obrzucił go zdumionym Spojrzeniem.

- Jak u diabła... - zaczął. Nie dane mu było jednak dokończyć, gdyż Durell szybko zatrzaskał drzwiczki i samochód potoczył się aleją w kierunku „Confidence”. Durell przez chwilę spoglądał za nim z zadowoleniem, a potem wrócił do swego notesu.

Za bramą zebrał się cały poczet honorowy w komplecie. Szefem okazał się rosły podoficer o stalowych oczach i owłosionych rękach. Ze zdenerwowaniem oczekiwał na pojawienie się asystenta.

- Straż czuwa tu przez okrągłą dobę - zaczął Durell.

- Tak jest - powiedział szef. - W okresie, kiedy król tu mieszka. Warta stoi tu - wskazał ręką na budki strażnicze. - Posterunek dwuosobowy. Skład liczbowy całego pocztu 1+9, zmiana co dwie godziny, w nocy patrolowanie.

- Kto miał tu wartę wczoraj wieczorem? - spytał Durell. - Od ósmej wieczorem mniej więcej, od zmroku, do jakiejś czwartej nad ranem. Czy może sądzi pan, że ktoś mógł zatrzymać się przy Maurach, kiedy było widno, i nie zostać zauważony?

- Z pewnością nie. To prawdziwa zagadka, że w ogóle mogło się to stać. Chwileczkę, będzie pan mógł sam z nimi pomówić. - Szef odwrócił się do swych podkomendnych. - Policja chce wam zadać kilka pytań - powiedział uroczyście. - Macie udzielać odpowiedzi wedle najlepszej woli i trzymać się prawdy, bez względu na to, czy okaże się dla was kłopotliwa. Zrozumiano?

- Zrozumiano - odpowiedzieli wartownicy.

Durell podniósł rękę do ust, żeby zasłonić uśmiech, usiłował też zachować poważny wyraz oczu.

- No więc, chłopcy - powiedział. - Który z was coś widział?

Nikt nie odpowiedział.

- A który coś słyszał?

- Nikt - odezwał się jakiś śmielszy od innych. - Tu przy wodospadzie dość trudno coś usłyszeć.

- Wpuszczacie czasem kogoś za bramę?

- Nigdy. Jeżeli ktoś mówi, że ma sprawę i musi wejść, wzywamy szefa albo dzwoniemy po instrukcje.

- I zawsze jest dwóch wartowników?

- Zgodnie z regulaminem ma być zawsze dwóch wartowników. Gdy się ściemnia, jeden zostaje tu przy bramie, a drugi patroluje park. Gdy jest zupełnie ciemno, obaj wartownicy idą razem na obchód parku. Stosujemy się do regulaminu.

- Aha - rzekł Durell. - To znaczy, że kiedy wartownicy znajdują się w parku na patrolu, tu przy Maurach ktoś nieupoważniony może coś cichaczem zmalować. Jak długo trwa taki obchód?

- Różnie. Z godzinę chyba, czasem trochę mniej, czasem trochę więcej.

- A można do parku wejść jakąś inną drogą, czy tylko tędy, przez bramę?

- Można. Jest mostek o kilkaset metrów stąd.

- Strzeżony?

- Nie. Ale stąd go widzimy.

Durellowi przypomniał się irlandzki seter.

- A może zauważyliście w nocy psa?

- Nie. Ale na krótko przed tym odkryciem rudy pies wskoczył na wyspę, a za nim pobiegła jego pani, dość otyła osoba. Wołaliśmy do niej, że nie wolno tam wchodzić. Ona zresztą i przedtem usiłowała dostać się do parku.

- Ach tak - Durell ożywił się zachęcająco. - Kiedyż to było?

- W poniedziałek albo we wtorek. Chciała zobaczyć dziki i oranżerię, to się zdarza, nic w tym niezwykłego. Wtedy też miała ze sobą psa. Prosiła, molestowała, poddała się dopiero, kiedy jej pokazaliśmy zarządzenie: nikomu nie wolno wejść bez przepustki. Spytała, gdzie można dostać przepustkę, odesłaliśmy ją do zarządzającego albo do burgrabiego, do kogo woli. Potem przechodziła tędy codziennie z bardzo obrażoną miną.

Durella przygnębiła ta odpowiedź. Wiązał pewne nadzieje z tym śladem psa i sportowego buta. Ale wyjaśnienie okazało się zupełnie niewinne. Uważnie przyjrzał się wartownikom.

- Musiało się to chyba stać w nocy, prawdopodobnie podczas waszego obchodu. Inaczej chyba byście zauważyli nawet po ciemku.

Jeden z wartowników bezradnie potrząsnął głową.

- Trudno powiedzieć. To jednak spory kawałek stąd. Jeżeli ktoś ma mocne nerwy...

Mocne nerwy, pomyślał Durell. To także cecha charakterystyczna. Cały sposób przeprowadzenia tej operacji świadczy o odporności nerwowej wykonawcy. Wnieść na most, przywiązać, zepchnąć do

wody. A także o sile i ciężarze ciała. Kilka minut temu z pewną niecierpliwością myślał o możliwości pomówienia z panią Ahlgren, teraz ochota mu przeszła. Ona by chyba nie udźwignęła ciała, nie mogła go przenieść przez wąską kładkę. Na tak zręczną nie wyglądała, należy się raczej dziwić, że nie straciła równowagi i nie wpadła do wody biegnąc za psem. Szkoda, że była na wyspie, mogła nam rozdeptać i zatrzeć inne, ważniejsze ślady. Durell westchnął, spojrzął na zegarek. Późno. Z tyloma osobami jeszcze musi pomówić.

Jonas zerknął na Bengta, który stał oparty o jedno z wiekowych, sękatych drzew alei. Nie było jeszcze liści, które chroniłyby przed promieniami słońca, tylko cień nagich gałązek rysował na twarzy żebrowaty pasiasty deseń. Głowa Bengta o niewielkich, nieco odstających uszach ciężko spoczywała na za krótkiej szyi, robiła wrażenie wciśniętej między bary zapaśnika, Czekali, aż policjanci skończą swe zajęcia po tamtej stronie stajen - ten mały rudowłosy prosił, żeby poczekać - Bengt był ciekaw wszystkiego, zresztą może to nie tylko ciekawość, bądź co bądź jest adwokatem starego.

- Bengt...

Bengt drgnął zbudzony z głębokiego zamyślenia.

- Słucham.

- Kiedy jechałeś zidentyfikować zwłoki w szpitalu, wierzyłeś, że to on...

- Nie, szczerze mówiąc, nie - odpowiedział Bengt po krótkim wahaniu.

- A dlaczego uważałeś to za tak nieprawdopodobne?

- Nie rozumiem?

- Sylwia mi wspomniała, że odjeżdżając powiedziałeś: „To zupełnie nieprawdopodobne”. Co miałeś na myśli?

Bengt roześmiał się z zażenowaniem.

- Naprawdę tak powiedziałem? - Po kilku sekundach zastanowienia dodał: - Stary Vade przejechany przez samochód. Nie wiem, czy można by znaleźć kogoś, kto by tak jak on uważał na jezdni. Widziałeś kiedy, jak on przechodził przez ulicę? Ostrożność i uwaga nie z tego świata. Nawet na trotuarze zachowywał się bardzo ostrożnie. I nagle wiadomość, że wpadł pod ciężarówkę, prawie nie do uwierzenia.

Jonas chwilę rozważał to, co usłyszał. Później nowa myśl mu się nasunęła:

- Coś ty robił przedwczoraj wieczorem, dlaczego nie chciałeś iść z nami na raki?

Bengt spojrział zdziwiony.

- Po prostu nie miałem ochoty. Bo co?

- Bo coś wtedy robił?

- Położyłem się spać. Wstąpiłem do Borysa, pogadaliśmy z kwadrans, potem poszedłem do siebie. Z nim trudno prowadzić sensowną rozmowę. Ni stąd, ni zowąd popada w metafizykę. Długo tego nie można wytrzymać.

- A co Borys miał wtedy do roboty?

- Pojęcia nie mam. Też się pewnie położył. Urządzasz przesłuchanie, o co ci właściwie chodzi?

Jonas, błędząc spojrzeniem wzdłuż drogi i wybrzeża za kaplicą, dostrzegł zarys swej łodzi w dali, ciemny kształt między szuwarami. Drogą między wybrzeżem a kaplicą szła ramię w ramię jakaś para, mężczyzna i kobieta, spieszyło im się, usłyszeli pewnie nowinę. Za nimi biegnąc prawie podążał starszy pan. Coś wołał, przystanęli, zaczękali na niego. Miał głęboko wciśnięty na oczy kapelusz z szerokim rondem, płaszcz z rozwianymi połami. Dopiero gdy zrównał się z tamtymi i cała trójka minęła kaplicę, Jonas odpowiedział:

- Przypominasz sobie, że przedwczoraj stała oparta o ścianę domu drabina. Ja ją tam postawiłem, bo chciałem naprawić zewnętrzny

parapet. Ktoś wszedł na drabinę i około pierwszej w nocy zjrzał w moje okno. Myślałem, że to może ty...

- Nedorzeczność...

- ...albo Borys.

- Co do tego nie mogę się wypowiadać. Może metafizycy zaglą-
dają do okien. I cóż zobaczył? - Bengt uśmiechnął się złośliwie.

- Nic podniecającego w każdym razie. Ale nie o to chodziło, wy-
daje mi się, że on zamierzał zjrzeć w sąsiednie okno.

- Vadego?

- Właśnie. A tam miał szanse na podniecający widok. Wiesz, że
stary był sadystą...

Bengt nie zdążył odpowiedzieć, trójka zbliżała się szybko, macha-
jąc rękami. Mężczyzna w średnim wieku z gołą głową, niewysoki,
trzymający się prosto, idący sprężysto, ubrany w starannie wypraso-
wany tweedowy garnitur i wypucowane do połysku buty. Drugi około
siedemdziesiątki, też wyprostowany, z siwymi szczeciniastymi wąsa-
mi. Dobrodusznie zamrugał oczami, uniósł rękę w powitalnym geście,
ale tylko na wysokość ramienia, do kapelusza nie sięgnął. Kobieta
miała około czterdziestki. Ubrana w kostium, półbuciki, golf. Mocno
opalona, z krótkim garbatym nosem i zwichrzonymi włosami - były to
gęste blond włosy, wyraźnie już siwiejące. Roześmiała się szeroko,
odslaniając złotą plombę w kąciu ust. Potem przyszło jej widać na
myśl, że śmiech nie jest odpowiedni właśnie tu i w tym momencie i
nie umalowane wargi zacisnęły się w wąską kreskę.

- Dowiedzieliśmy się właśnie - zaczęła. - Czy to nie okropne?

- Oczywiście - zgodził się Bengt. - Pozostanie po nim pustka.

Spojrzała na niego niepewnie.

- Nie to chciałam powiedzieć. Chciałam tylko... okropne, że coś takiego mogło się zdarzyć. Ragnar usłyszał o tym od Anny. Ona do niczego nie jest teraz zdolna. A miała właśnie pracować... Dobrze, że Ragnar ma dziś wolne.

- Ostatni dzień kwietnia - zauważył Jonas. - Dla studentów dzień świąteczny.

- Dla architektów także.

Ragnar Synneus przewiercał Jonasa zimnym spojrzeniem szarych oczu, a Jonas doznawał przy tym nieprzyjemnego uczucia. Nie lubił architekta. Podejrzewał, że torturuje moralnie swą żonę, że jej włosy posiwiały przez skąpstwo męża, przez wieczny brak pieniędzy na domowe wydatki, że przyczyną głębokich bruzd wokół ust było rozgorzenie, a zmarszczki na szyi wywołało zbyt częste pochylanie zgnębionej głowy. Chrząkając przyglądał się nienagannie wyczyszczonym butom architekta.

- Los zadaje czasem okrutne ciosy - powiedział. - Pomyśleć tylko, że zniszczył jutrzejszą radosną uroczystość osiemdziesięciolecia. A teraz musimy być przygotowani na mnóstwo pytań tych panów, chwilowo zajętych na moście.

Elza Synneus wyraźnie przestraszyła się.

- Czy oni przypuszczają, że to morderstwo...

- Prawdopodobnie. Nie ściągnęli tu chyba całej tej artylerii - ruchem głowy wskazał samochody policyjne - tylko po to, by stwierdzić, że sezon kąpielowy się rozpoczyna. Znała pani zmarłego, pani Synneus? Cóż pani na to odpowie? Prawie wcale, tylko trochę! Była pani jednak kiedyś jego sekretarką. Została pani wyrzucona czy jak... A major. Nie lubi pan przegrywać w preferansa. Czy nie grał pan z dyrektorem Vade w preferansa na dzień przed jego zniknięciem? A pan, panie architekcie, pana może coś łączy z panią Vade. Jak z tym jest, łączy pana czy nie...

Synneus, zbieleły ze złości, zacisnął zęby.

- Proszę zamilknąć! - ryknął. - Coś podobnego. Należałoby pana nauczyć moresu! Nie mamy nic wspólnego z Vadem, jeśli o to chodzi. Bengt wybuchnął głośnym śmiechem.

- Oczywiście, że nie - powiedział Jonas z fałszywą słodyczą. - Bardzo go państwo lubili, jak wszyscy inni, którzy mieli z nim do czynienia. No cóż, ten człowiek zasłużył sobie na taką śmierć, to jasne. Przez co wcale nie staje się to mniej nieprzyjemne.

Nagle dostrzegł idącego ku nim rażnym krokiem rudego asystenta w pasiastym garniturze.

- Zaczyna się - zdążył szepnąć.

Elza Synneus chwyciła męża za ramię, jakby się zlekła, że ją zostawi i odejdzie. Piegowaty rudzielec spojrział na nich ze zdziwieniem.

- Aha, prawda, sąsiedzi dyrektora Vadego. Przykre to. - Skłonił się uprzejmie nie wyciągając jednak dłoni, wyraz życzliwości rozświetlał okrągłą twarz, choć oczy nie brały w tym udziału. - Durell - przedstawił się. - Pewnie pani Synneus? Jeszcze nie miałem przyjemności, choć pana architekta i majora już poznałem. - Poruszał palcami, jakby chciał je wygimnastykować, niczym pianista przed występem. Znowu grzecznie zwrócił się do Elzy Synneus: - Pani, domyślał się, znała zmarłego...

Pani Synneus zbladła pod opalenizną, palce jej nerwowo wpiły się w ramię męża.

- Tak, trochę - powiedziała cicho. - Byłam kiedyś jego sekretarką. Musiałam oczywiście zrezygnować. To było...

Ragnar Synneus chwycił jej rękę, odsunął.

- Bądź cicho, Elzo - powiedział. - Nie widzę powodu, byśmy w miejscu publicznym mieli odpowiadać na pytania. Jeśli policja chce od nas jakichś informacji, powinna się o nie zwrócić w przyjętej formie. - Zacisnął usta i lekko pochylił się w ukłonie. - Idziemy. - Odwrócił się biorąc pod rękę żonę, która potknęła się w panicznym pośpiechu. Major bacznie spojrział na Durella i kiwnąwszy głową podążył

za rodziną. Wciśnięty na oczy kapelusz i długi objający się o łydki płaszcz sprawiały, że robił wrażenie osoby duchownej.

- Cóż za przewrażliwienie - wolno powiedział Durell. - Zbytnej ochoty do rozmowy nie mieli - dodał uśmiechając się - tak to bywa, gdy człowiek stara się być miły. - Nie przestając się uśmiechać spoglądał za oddalającymi się spiesźnie. Jeszcze się spotkamy, myślał. I to wkrótce. Wsunął rękę do kieszeni i wydobyl notes.

- No więc zobaczymy. Pan mówił, że która była godzina, gdy go znaleźliście?

- Czas zapamiętałem dokładnie - odpowiedział Jonas.

- Było wpół do jedenastej. Sylwia, to znaczy panna Ahlgren, go zauważyła. Pobiegliśmy do wartownika, który zaalarmował szefa, a jego zwierzchnik zadzwonił po policję. Wydawało mi się, że słusznie postąpiliśmy.

- Oczywiście, znakomicie, moim zdaniem...

- Przybyliście tu o jedenastej - ciągnął dalej Jonas.

Durell zajrzał do notesu.

- Tak właśnie mam zanotowane. Przybyliśmy tu punkt jedenasta.

Przez chwilę Jonasowi wydawało się, że to sarkazm, nic jednak w twarzy piegowatego nie wskazywało, by sarkazm ten był zamierzony. Z pewnym zmieszaniem spojrzął na swój zegarek i bąknął:

- Teraz jest dokładnie pierwsza dwadzieścia.

Durell sprawdził.

- Dokładnie, nasze zegarki dobrze chodzą. Czy wolno spytać: pan, panie Kellen, mieszka u dyrektora Vadego?

Jonas rad, że może przejąć inicjatywę, odpowiedział:

- Tak, mieszkam, z pełnym utrzymaniem.

- Zna więc pan dobrze całą rodzinę.

- Oczywiście.

- Kto mieszka w willi?

- Chwilowo dom jest pełen. Na samym dole dwie starsze siostry pani Vade i Sylwia, panna Ahlgren. Jest to wydzielone mieszkanie z własną kuchnią i możliwością prowadzenia odrębnego gospodarstwa, apartament gościnny, można powiedzieć.

- Aha. Byłem tam dziś rano. Jest tam także i pies.

- Owszem - przytaknął Jonas. - Irlandzki seter. Bardzo miły pies

- Tak, rzeczywiście sympatyczny. - Durell zaczął ssać długopis. -

A dalej? Wyższe piętro?

- Mieszka tam żona dyrektora, pani Vade, i Monika.

- Panna Vade?

- Tak. To moja narzeczona. Ze względu na nią pozostałem w rodzinie. Fakt ten powoduje... - zawahał się nieco - że dyrektor nałożył na mnie pewne obowiązki, tak to określimy. Pielenie i przekopywanie ogrodu i tym podobne, wykonywanie drobnych napraw w domu. Zajmuje to część czasu potrzebnego na studia.

- Czy płaci pan za utrzymanie?

- Nie.

- Jest pan ekonomistą. A studiuje pan prawo. Adwokat coś mi o tym wspomniał w samochodzie.

- Zgadza się.

- Rozumiem, zamierzał pan kiedyś przejąć firmę Vade i Spółka. - Durell przechylił głowę z przyjaznym uśmiechem.

- Nic mi o tym nie wiadomo. O tym nigdy nie było mowy.

- A czy była mowa o czymś, co by przemawiało przeciw?

- Dyrektor nie wypowiadał się ani za, ani przeciw. No, może... - Jonas urwał.

- ... może - podpowiedział Durell wyczekująco.

- Może przeciw. Zbyt przychylnie nie był do mnie usposobiony.

- Stary chytry lis.

Jonas zimno spojrział na asystenta i powiedział dobitnie:

- Ja miałem zwyczaj określać go mianem skorpiona. Nikt nie mógł nic zarzucić temu określeniu.

- Widać z tego, jak daleko może zaprowadzić zyczliwość. - Durell powiedział to z niezmiernie przyjaznym wyrazem twarzy. - A więc dalej. Piętro wyżej.

- Znajdują się tam trzy niewielkie oddzielne pokoje i biblioteka z przylegającą do niej sypialnią, gdzie mieszkał dyrektor. W małych pokojach mieszkamy ja i Bengt, to znaczy adwokat Ahlgren, jesteśmy stałymi domownikami, można to tak określić. Trzeci pokój na tym piętrze zwykle bywa pusty, teraz jednak mieszka w nim kuzyn Moniki, Borys Shonborg. Syn panny Shonborg mieszkającej na parterze. Bawią tu od kilku dni. Przyjechali na jutrzejszy jubileusz.

- Osiemdziesiąte urodziny skorpiona...

Jonas kiwnął głową.

- Dowód pamięci. Muszą być szczerze przywiązani do dyrektora.

- Cóż ja mogę wiedzieć - lakonicznie odpowiedział Jonas. - Mogą istnieć inne powody.

- Coś jednak może pan wiedzieć. Jeśli pan coś wie, lepiej powiedzieć, nim sami się dowiemy.

Jonas westchnął.

- Okay, Borys Shonborg miał ochotę rozmówić się ze starym w pewnych sprawach finansowych. Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, by mógł oczekiwać sukcesu. Może pan jego zapytać.

- Zrobię to - powiedział Durell, zapisując w notesie: „Borys Shonborg, tajemnicze pieniądze”.

W otoczeniu zmarłego jest sporo osób interesujących. Osób, które mogły mieć motywy, by sprzątnąć go z drogi. Durell z zasady nie był poszukiwaczem motywów, ponieważ doświadczenie nauczyło go, że właściwie wszystko może posłużyć jako motyw zbrodni. W niektórych wypadkach można wprawdzie na podstawie motywów doszukać

się sprawcy, znacznie częściej jednak ujmuje się mordercę i dowiaduje od niego, co było motywem. Bóg tylko raczy wiedzieć, jak dziwaczne bywają motywy. Najpospolitszym są pieniądze. Gdy w grę wchodzi pieniądze, każdy może okazać się mordercą. Borys Shonborg miał rozmawiać w sprawach finansowych. Młody Jonas Kellenic by pewnie nie miał przeciw wzięciu królestwa razem z królowną, może nie mógł z tym czekać, może dziewczyna spodziewa się dziecka - może zostałaby przez okrutnego ojca wyrzucona na ulicę, wydziedziczona, więc wpadł na pomysł, żeby pozbyć się tego jadowitego... skorpiona. Ciekawe, że nazywa starego skorpionem. A co z portfelem? Rabunek, powiada Sargren. Banalne. Wszelkie interesujące możliwości znikają, można brać pod uwagę zwykłego włóczęgę. A z drugiej strony - nieznanemu napastnikowi nie miałoby powodu ukrywać ciała, sam mógłby zniknąć. Jeżeli morderca nie ma możliwości ucieczki, wtedy ofiarę trzeba schować, doświadczenie mówiło Durellowi, że gdy morderca może nawiać, ofiary nie rusza z miejsca. Jednak portfela nie ma. Mógł wypaść, może leży na dnie rzeki, pewności nie ma. Sprawcy mogło chodzić wcale nie o pieniądze - mógł szukać jakiegoś dokumentu, listu, którego stary strzegł, by go wykorzystać w określonym celu, zagrozić, wymusić, podporządkować sobie. Zresztą może portfel leży w domu, zapomniany, schowany w szufladzie nocnego - stolika. Durell dalej snuł sieć ulotnych przypuszczeń. Zmarły był człowiekiem starym, miał żonę młodą, może piękną. Może miała kochankę, może nie chciała dłużej czekać na bogactwo, które pozwoliłoby jej użyć życia, póki czas. A może zazdrość - wywołał z pamięci obraz sekretarki Vadego - niewątpliwie bardzo przystojna kobieta... może to ona. Stary miał ją w ręku, szantażował i dlatego musiała się go pozbyć. Była dostatecznie sprytna, by zgłosić, że zaginął, stwarzając sobie w ten sposób alibi psychologiczne - zupełnie wiarygodne,

zważywszy, że dyrektor nie wrócił na ważne posiedzenie. Durell powoli wracał do rzeczywistości. Skierował spojrzenie na wspartego o drzewo silnie zbudowanego młodego człowieka. Bengt Ahlgren, adwokat, robił wrażenie, jakby zupełnie nie interesował się tym wszystkim. Durell chrząknął.

- Pan, panie mecenasie - zaczął - także mieszka w willi dyrektora?

Bengt nawet nie odwrócił głowy. I bez tego miał asystenta w polu widzenia.

- Tak, przez cały czas studiów mieszkałem u państwa Vade na takich samych warunkach jak pan Kellen, z pominięciem przywileju narzeczeństwa z córką gospodarzy. Zamierzałem się właśnie wyprowadzić.

- Dlaczego?

- Za stary już jestem, żeby być „na stacji”. Dwadzieścia osiem lat, samodzielna działalność adwokacka. Pieniądze zaczynają powoli napływać.

- Jako adwokat dyrektora Vadego otrzymywał pan dobrą zapłatę?

- Dobrą zapłatę?! - ironicznie roześmiał się Bengt. - Płacił wyjątkowo nędznie. Z dwóch powodów. Po pierwsze: mieszkałem darmo w jego domu, po drugie: finansował moje studia do dyplomu. Mogę pana zapewnić, że z mojego punktu widzenia oba powody zdawały się coraz mniej przekonujące. Nie chcę jednak być niesprawiedliwy: była to kwota wystarczająca w charakterze kieszonkowego. Wie pan, ile płacił za sporządzanie deklaracji podatkowych wszystkich swoich nieruchomości? Siedemdziesiąt pięć koron. Królewskie wynagrodzenie, co!

Durell powstrzymał go ruchem ręki.

- A więc zajmował się pan sprawami nieruchomości.

- Pod względem prawniczym. Jak również prawną stroną finansów fabryki, zakupu maszyn, zagadnień podatkowych i księgowości.

- Wygląda to na zatrudnienie pełnoetatowe.
- Tak. Od dziewiątej do piątej. Pozostawała możliwość zarobienia trochę więcej wieczorami.

- Wczoraj widział się pan z dyrektorem Vade?

Bengta zaskoczyło to pytanie nie wynikające ze schematu poprzednich pytań Durella. Przygryzł wargi i odpowiedział po namyśle:

- Tak, widziałem się rano z Wernerem. Dzwonił, prosił, żebym wpadł około dziesiątej.

- Czego dotyczyła rozmowa?

- Pewnych spraw podatkowych, a raczej związanych z nimi formalności.

- Po południu wyznaczył ważne posiedzenie. Wiedział pan o tym?

- Oczywiście. Zwykle bywam obecny przy takich okazjach, ale nie wiem, co miało być przedmiotem debaty.

Durell z roztargnieniem ssąc koniec długopisu patrzył obojętnie na Bengta. Promień słońca padł na jego głowę, wyjaskrawił rudość włosów, pasiastość garnituru, wywołał tajemniczą grę kolorów w egzotycznym desenie krawata.

- Chodziło o jakieś dokumenty - powiedział w zamyśleniu. - Miał być Vade, kilku bankowców i pan, prawda?

- Tak jest. Ale posiedzenie się nie odbyło, bo Vade się nie zjawił.

- Tak, bankowcy przyszli, a Vade nie. Pan także nie, panie Ahlgren. Dlaczego? Chyba nie miał pan powodu, by wątpić w dojsście tego zebrania do skutku. A może wiedział pan, że dyrektor się nie zjawi, i ponieważ przy tylu zajęciach czasu ma pan niewiele, zaoszczędził pan sobie trudu pójścia tam.

Po raz pierwszy Bengt stracił panowanie nad sobą. Szybko zrobił krok w kierunku Durella, sięgnął ręką do kołnierzyka, jakby nagle poczuł, że jest za ciasny, zaciśnięte szczęki poruszały się.

- To już... to już..., co pan sobie właściwie... - Nagle ręce mu opadły, odwrócił się i popędził w kierunku wybrzeża.

Durell spoglądał za nim z miną zmartwioną, choć nie pozbawioną pewnego zadowolenia.

- Prawdę mówiąc, wcale nie wiedziałem, czy był, czy nie był - poufnie zwierzył się Jonasowi. - Przypomniało mi się tylko, że sekretarka mówiąc, że bankowcy przyszli o oznaczonej godzinie, nie wymieniła adwokata. Czasem można człowieka przyłapać zupełnie przypadkiem - uśmiechnął się dobrodusznie. - No, panie Kellen, cóż pan na to?

Durell wsunął długopis w notes, a notes do kieszeni i pogwizdując ruszył ku bramie parkowej.

VI

Radiowóz przejechawszy aleją skręcił ku gospodzie. Durell rozparty na tylnym siedzeniu oglądał przez szybę wybrzeże, którym Jonas szedł teraz w kierunku willi, tą samą drogą, którą odeszli architekt z żoną, stary major, a potem wzburzony adwokat. Durell także jechał do willi. Z idącego brzegiem zatoki Jonasa spojrzenie jego przeniosło się na policjanta przy kierownicy.

- Czy adwokaci nie powinni współpracować z policją? - zauważył.

Kierowca chwilę się zastanawiał.

- Skąd by wtedy brali pieniądze? - powiedział. - Muszą zarabiać.

- Ten akurat zbyt dużo nie zarabia - uśmiechnął się Durell. - Pewien jestem jednak, że mnie nie znosi. Stwierdziłem tylko, że nie stawiał się na pewne posiedzenie. I wystarczyło.

- Zdarza się, że ludzie zapominają o zebraniach - powiedział policjant - albo zwyczajnie nie chce im się. Zależy od tego, czy zebranie jest interesujące. Durell westchnął i poprawił się na siedzeniu.

- Oczywiście - powiedział. - A poza tym prawnicy zawsze są bardzo ostrożni. Znają reguły gry, nigdy nie odkrywają wszystkich kart. No, zobaczymy, przy prawidłowym rozegraniu może uda się go doprowadzić do puszczenia farby.

Samochód zatrzymał się za budynkiem gospody, Durell wyskoczył. Gestem wskazał willę, której strzeliste linie, ornamenty i kratownica balkonów teraz w samo południe w jaskrawym słońcu wydawały się dużo przyjemniejsze, romantyczne.

- Tam mieszkał - powiedział. - Stary dziwak w swym leśnym gnieździe. Proszę na mnie nie czekać. Rozejrzę się po tym gnieździe, może znajdę jakieś ślady, kiedy będę gotów, wrócę taksówką.

Zbiegł ze zbocza o wiele lżej i zręczniejszy, niżby można oczekiwać po człowieku o takiej tuszy. Zbliżywszy się do willi przystanął i nasłuchiwał. Z otwartego okna pierwszego piętra niosły się wspaniałe tony - kobiecy głos przy akompaniamencie fortepianu śpiewał „Marten aller Arten, aller Arten mögen”. Piękny sopran, pomyślał Durell, bardzo szlachetny, co ona śpiewa... nic włoskiego... Mozart oczywiście... Aria Konstancji z drugiego aktu „Urowadzenia z seraju”. Bardzo odpowiednia akurat teraz - Durellowi przyszły na myśl ciemnoskóre postacie z zamkowego parku.

Nie mógł znaleźć dzwonka. Zastukał więc dość energicznie, by zostało to usłyszane mimo śpiewu i akompaniamentu. Zaraz wszystko ucichło. Ktoś podszedł do drzwi szybkim, lekkim krokiem.

Otworzyła Monika. Przez chwilę patrzyła pytająco, potem go poznała.

- Ach prawda, pan z policji?

- Tak, panno Vade, znowu tu jestem, chciałbym pomówić z pani matką.

Odwróciła się tanecznym ruchem i zawołała w głąb pokoju:

- Mamo, tym razem do ciebie! A pan zechce wejść, proszę bardzo - rzuciła Durellowi.

Podążył za nią do, dużego, wyglądającego na salon pokoju. Dopiero znalazłszy się na środku dojrzał, że przy ukrytym w rogu fortepianie siedzi wytworna kobieta o kruczoczarnych włosach, opadających na ramiona. Ubrana w jasnoczerwoną suknię bez rękawów. Poznał w niej natychmiast osobę z fotografii znalezionej w wewnętrznej kieszeni starego.

Anna Vade spoglądała na niego poważnie, nie ruszając się od fortepianu. Skłonił się, wymienił swe nazwisko. - Proszę usiąść. - Dziękuję. - Ominąwszy sofę i fotele usiadł na jednym z niewygodnych prostych krzeseł. Biedził się nad znalezieniem odpowiedniego wprowadzenia do rozmowy, ale Anna Vade go uprzedziła.

- Wszelkie preludia są zbędne, panie asystencie. Wiem, po co pan tu przyszedł. Proszę zaczynać.

- Sprawa jest rzeczywiście bardzo przykra...

- Tak... - Niecierpliwie poruszyła głowę. - Wychodzi pan z założenia, że został zamordowany. Co nie wydaje się tak zupełnie nieprawdopodobne. Werner miał wielu wrogów.

- Czy i w rodzinie?

- Dlaczego by nie - gorzko powiedziała Anna. - Jeżeli wyznam, że dziś po raz pierwszy od piętnastu lat śpiewam, rzuci to pewne światło na moją własną reakcję, rozumie pan, namiętnie lubię śpiewać.

- I pierwsza próba to elegia. Dlaczego? Selima paszy już nie ma.

Anna popatrzyła na niego zmieszana, a jednocześnie zaskoczona.

- Przyjdzie czas ma „Wesołą wdówkę”- powiedziała. - Zaczniemy?

Durell wyciągnął notes i przerzucał kartki. Anna Vade nie była zbyt wstrząśnięta wydarzeniami, jakie zaszły, może wydawało jej się, że ta cyniczna postawa jest dobrą tarczą ochronną, za którą można się skryć. Zresztą nie ma powodów by udawać żałobę, gdy się żałoby nie czuje. Wydaje się inteligentna i pełna temperamentu - choć w tym kontekście słuszniej może byłoby to określić: inteligentna, ale pełna temperamentu. Przypomniała mu się wczorajsza wizyta w pralni - tu białe, tu kolory - do której kupki ma sięgnąć, żeby wygrzebać jej szmatki, mądrzej chyba stawiać na temperament niż na inteligencję. Przeglądając się jej obojętnie spytał:

- Pani mąż nie zjawił się wczoraj, jego sekretarka telefonowała, pytała, czy nie ma go czasem w domu. Jak pani to przyjęła?

- Pojęcia o tym nie miałam, bo wróciłam do domu około szóstej. I wtedy siostrzeniec powiedział mi, że panna Nilsson dzwoniła, że była zaniepokojona.

- Pani siostrzeniec?

- Tak, Borys Shonborg. To on przyjął telefon. Mieszka tu chwilowo z moją siostrą.

- Zaniepokoiła się pani?

- Nie bardzo. Jadamy o siódmej, nie było więc powodu, by go wcześniej oczekiwać. Zresztą mógł też zjeść obiad w mieście, wiedząc, że mamy sporo roboty z praniem. Zamierzałyśmy dziś urządzić wielkie pranie, wczoraj trzeba było wszystko namoczyć.

- Wiedział, że to pranie jest zamierzone?

- Tak. Rozmawialiśmy o tym rano, nim wyjechał. Zapowiedział nawet, że być może przenocuje w biurze. W takim wypadku zatelefonuje. Ale o tym wszystkim pan już wie.

- Kiedy zastanowił panią brak wiadomości?

- Żeby nie skłamać, chyba koło dziewiątej. Kładzie się zwykle spać około jedenastej, ale przedtem zajmuje się swoimi sprawami, przygotowuje na następny dzień.

- A więc dopiero późnym wieczorem zaniepokoiła się pani?

- Zaniepokoiła to za wiele. Raczej się zdziwiłam, tak to określmy. Nie przeszkodziło mi to dobrze spać. Kiedy pan tu był rano, dopiero się przebudziłam. Obawiam się, że nie potrafię panu pomóc.

- Może i nie - cicho powiedział Durell i odrobinę surowym tonem dodał: - A co pani robiła w mieście?

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Wyjechałam o trzeciej, może trochę wcześniej. Byłam u fryzjerki, to zajęło z godzinę i łatwo to skontrolować. Potem pojechałam do Djurgården, zaparkowałam samochód i siedziałam w parku na polanie rozkoszując się słońcem, chyba do piątej.

- Czego skontrolować nie można - łagodnie wtrącił Durell.

- Chyba nie. O piątej wróciłam do miasta, zaparkowałam przy Hötorget i łąziłam oglądając wystawy, póki się nie zorientowałam, że pora już jechać do Ulriksdal i wziąć się do czegoś.

- Tak, miała, pani przecież w domu wielkie pranie... - Życzliwie wpatrując się w nią niebieskimi oczami dodał: - A więc od czwartej do powrotu tutaj nie ma pani alibi.

- Co pan rozumie przez określenie alibi? Czy jestem o coś podejrzana?

- Ależ nie. Niezręcznie się wyraziłem. Tylko że pani sama wspomniała o możliwości skontrolowania. A teraz proszę mi powiedzieć, kiedy widziała pani męża ostatni raz.

- Rano, nim odjechał autobusem do miasta.

- A potem już ani przez chwilę.

- Nie, ani przez chwilę - uśmiechnęła się, jakby wyrażenie, jakiego użył, wydawało jej się zabawne. Powtórzyła je jak refren szlagieru. Lecz oczy jej się nie uśmiechały.

Durell zajął do notesu: zauważył znak zapytania z wykrzyknikiem.

- Ale jakoś się z nim pani kontaktowała, nieprawda? Dzwoniła pani do niego około dwunastej..

- Dlaczego pan tak przypuszcza?

- Dzwoniła pani czy nie?

- Nie.

Durellowi wydało się, że nie była to odpowiedź natychmiastowa.

- Miał dziwną rozmowę telefoniczną przez bezpośredni aparat o tej właśnie porze. A pani, żeby porozumieć się z mężem, dzwoni pod ten numer.

- Prawie nigdy. Nie ma go w książce telefonicznej. I o wiele łatwiej jest zapamiętać numer centrali. Jestem za leniwa, żeby nakreślać inny numer niż ten, który mam w głowie.

Durell podrapał się w brodę długopisem.

- Bezpośredniego numeru nie ma w książce telefonicznej, ale zakładam, że ma go pani w swoim podręcznym spisie, w notesiku. Gdzie go pani przechowuje?

To ją wreszcie ruszyło od fortepianu. Podeszła do telefonu stojącego na starej sekretarce przy ścianie balkonowej. Sięgnęła po oprawną w czerwoną skórę książeczkę i uderzając w nią powiedziała:

- Numer jest tu, ale numer centrali mam tu - klepnęła się w czoło.

- Rozumiem. - Durell był przekonany, że pani Vade mówi prawdę. Poprzedniego wieczoru, gdy zadzwonił do niej z Roslagsgatan, by spytać, czy mąż dał o sobie znać, i poprosił o numer telefonu do biura, musiał chwilę czekać. Jakby ją widział szukającą w spisie. No, jeżeli szczerze odpowiedziała na ostatnie pytanie, to i reszta odpowiedzi

będzie prawdziwa. Z doświadczenia wiedział, że mające sens kłamstwo łatwo potem rodzi następne bezsensowne. Spróbował od innej strony:

- Mało kto zna ten numer. Kilka osób bliżej z nim współpracujących i rodzina. A rodzina to znaczy pani i córka.

- Tak. Może pan doliczyć także narzeczonego mojej córki - zastanowiła się - i właściwie każdego, kto ma dostęp do tego spisu telefonów.

- Rzeczywiście. A przychodzi pani na myśl, kto by to mógł być?

- Nie, wcale. Ale ten notes leży przy telefonie. Napisane na nim, że to spis telefonów. Mówi pan, że ten ktoś dzwonił koło południa. - Anna zastanowiła się. - Usiłuję sobie przypomnieć. Ja z pewnością byłam o tej porze w ogrodzie. Tuż przed lunchem. W mieszkaniu nie było nikogo. Obawiam się, że nic panu w tym nie dopomogę. Jeżeli pan chce, można innych zapytać.

- Dojdziemy do tego powoli.

Durell wstał i zaczął spacerować po pokoju. Warto by się oczywiście dowiedzieć, kto rozmawiał ze zmarłym, ale może to nie mieć żadnego znaczenia. Vade się tą rozmową zbytnio nie przejął, według opowieści sekretarki. Może dyrektor zażartował tylko, chcąc przestraszyć pannę Nilsson. Ale coś musi się kryć za tym, że pomysł takiego właśnie żartu zakiełkował mu w głowie. W tym, co Vade powiedział o rozmowie, można się doszukać wszystkiego. Żartu, ale równie dobrze przecucia, prowokacji, chęci stworzenia zastony dymnej, może śladu - na wypadek, gdyby zdarzyło się coś, czego oczekiwał. Zatrzymał się przy otwartych drzwiach balkonowych i spojrzał przez nie. Jonas Kellen już tu był. Siedział na trawie, wsparty plecami o pień sosny. Jakiś foksterier łąsił się do niego i chętnie przyjmował pieszczoty młodego człowieka. Jeszcze jeden pies w sąsiedztwie, nie ten rudowłosy seter, który jego interesuje. Zresztą to druga pozycja w

planie pracy: odwiedzić panią Ahlgren w mieszkaniu na parterze. Nie, raczej trzecia...

Zwrócił się do Moniki, która siedziała na sofie przysłuchując się uważnie i milcząco. Byłby o niej zapomniał.

- A pani, panno Vade - zaczął - jadła wczoraj lunch z ojcem.

- Tak. „Pod Baldachimem”. Tam byliśmy umówieni. Nie wspomniał o rozmowie telefonicznej.

- Domyślam się, że to on zaproponował spotkanie w mieście.

- Tak. Pojechałam tam po jedenastej z narzeczonym. Tatuś przyszedł punkt dwunasta, bo o tej godzinie byliśmy umówieni.

- Często jadali państwo lunch wspólnie?

Potrząsnęła ładną główką.

- Nie, skąd, tylko... tylko on miał pewną sprawę...

- Zechce pani opowiedzieć, jaką?

- Nie - powiedziała niepewnie i poczerwieniała.

Anna Vade uniosła brwi.

- Ależ powiedz. Przed policją nic nie należy ukrywać. I tak prędzej czy później zawsze się wszystkiego dowiedzą. - Wróciła do fortepianu.

- Mam wszystko powiedzieć?

- Oczywiście. - Anna zwracając się do Durella dodała: - Cóż to szkodzi, że dowie się pan, jakim nędznikiem był mój mąż. Może dziwi pana panujący nastrój zupełnej obojętności. Bo też głębszego smutku nikt nie czuje. Ani żalu, ani smutku, może zdziwienie. Opowiedz, Moniko.

Monika Vade zaczerpnąwszy tchu zaczęła niechętnie:

- Ojciec krzyczał na mnie, że zaniedbuję studia. Nie zdałam jeszcze greki, a powinnam była złożyć ten egzamin przed Bożym Narodzeniem, mówił. Potem wpadł na mego narzeczonego, twierdził, że to on przeszkadza mi w studiach, nazwał go obibokiem i poszukiwaczem szczęścia. Jeżeli zaprosiłeś mnie na lunch, żeby na mnie krzyczeć, powiedziałam, natychmiast stąd wyjdę. Zostaniesz, powiedział,

i usłyszysz jeszcze więcej. Na moje osiemdziesiąte urodziny urządza-
cie sobie obiadek. Nie będzie on taki udany, jak to sobie wyobrażacie.
Nic sobie nie wyobrażamy, powiedziałam. Ojciec zachichotał i posolił
omlet. Dobrze, powiedział, możemy więc zacząć od linii startu. Dziś
mam spotkanie z przedstawicielami banku, wiesz, co mamy do omó-
wienia: fundację Wernera Vadego. Wpatrywał się przy tym we mnie
złośliwie. Fundację?, powiedziałam, jaką fundację? Nic mi nie wia-
domo, żebyś coś ufundował, na to jesteś za skąpy. Znowu się kpiąco
roześmiał. To prawda, powiedział. Ale stary już jestem, nie wiadomo,
jak długo dane mi z wami pozostać. Muszę się zatroszczyć o mój
dom. Zastanowiłem się nad tym. W moje osiemdziesiąte urodziny, po
deserze, ogłoszę postanowienie: mój wielki dar z przeznaczeniem na
założenie muzeum filatelistycznego. To dobrze brzmi. Podstawą bę-
dzie mój własny zbiór znaczków, a to niezła podstawa, trzeba ci wie-
dzieć. Poza tym cały pakiet akcji Vade i Sp. przypadnie fundacji, a
kupony będą obracane na zakup starych cennych znaczków, zgodnie z
przepisami zawartymi w dokumencie fundacyjnym. I co ty na to?,
zapytał, wydłubując paznokciem resztki krewetek spomiędzy zębów.
Wcale nie byłam zdziwiona. Mało mnie obchodzi, co zrobisz z two-
imi pieniędzmi, powiedziałam. A mama wie o tym? Nie, nie wie. To
ma być niespodzianka i żadnych pretensji nie może zgłaszać, mamy
intercyzę przedślubną.

Monika umilkła i zagryzła wargi. Szybko spojrzała na matkę. An-
na Vade kiwnęła głową.

- Mów dalej. Znakomicie opowiadasz.

Monika przełknąwszy ślinę podjęła:

- Poczułam, że gniew we mnie wzbiera. Przy każdej okazji wy-
ciągał, że mama nie ma żadnych praw, wydawało mi się jednak, że
jeżeli ona nie ma, to ja w każdym razie mam. Spojrzałam mu prosto w

oczy i powiedziałam, że mamę może zbyć zaśnając się paragrafem prawa, ale nie mnie. Ja będę dochodzić moich praw. Istnieje możliwość ubezwłasnowolnienia cię, powiedziałam. Znowu zachichotał i spojrzał na mnie życzliwie. Wszystko, co posiadam, otrzyma fundacja, powiedział. Z dwoma wyjątkami. Pierwszy to dom w Ulriksdal, zamierzam go wyłączyć ze względu na pewną osobę, do której mam słabość. A drugi - kamienica przy Drottningatan. Wiesz, dla kogo ją zarezerwowałem? Mało mnie to obchodzi. No, no, dla ciebie, moja mała. Wypił łyk wody i dodał: Oczywiście pod jednym warunkiem. Od razu zrozumiałam, co ma na myśli. Że zerwę z Jonasem? Właśnie, że zerwiesz z Jonasem. On nie pasuje do naszej rodziny. Wpatrując się w niego powiedziałam lodowato: A jeżeli nie zechcę? To zostaniesz bez żadnego majątku. I naprawdę wydaje ci się, że to jest z prawnego punktu widzenia możliwe? Nie zależy mi na twoich, akcjach ani na twoich kamienicach, jakoś dam sobie radę, ale jeżeli zamierzasz stworzyć fundację, mogę ci w tym przeszkodzić; spadkobierca ma chyba jakieś prawa. Jakaś zwykła przyzwoitość jeszcze istnieje. Przyłożył rękę do ucha, jakby nie dosłyszał, co powiedziałam. Coś powiedziała? Spadkobierca? Aha, rozumiem, rozumiem. Posłuchaj mnie uważnie, moja mała. A jeżeli nie ma żadnych spadkobierców? Urwał, spojrzał na mnie złośliwie, doznałam dziwnego uczucia, ścisnęło mnie w dołku, zupełnie jakbym widziała coś pełzającego, wijącego się... Monika znowu urwała i odetchnęła ciężko, jakby jej tchu zabrakło.

- Mów dalej, ulżyj sobie! - powiedziała Anna Vade.

Monika patrząc bezradnie wróciła do opowieści.

- Pochylił się nad stołem, miał resztki omletu w kącikach ust, i syknął jak żmija: Ja nie mam spadkobierców, nie jesteś moją córką. Jest na to dokument. Twój ojciec i matka oświadczyli, że nie jestem twoim ojcem, nie zaadoptowałem cię nawet. Mam ten dokument przy

sobie. Przyłożył rękę do piersi, przez materiał namacał portfel. Uśmiechnął się szyderczo. Jak widzisz, mam dokument, który nie pozwoli obalić mojej fundacji, możesz jednak dostać dom. Wiesz, od czego to zależy, od pewnego zastrzeżenia w testamencie. Dłużej nie mogłam tego znieść, porwałam torebkę i wybiegłam. Pojechałam prosto do domu. Opowiedziałam mamie. Przyjechałam autobusem wprost do domu.

- O której się pani z nim rozstała?

Monika potrząsnęła głową, robiła wrażenie zmęczonej.

- Nie wiem. To trwało może z pół godziny. Było nie do zniesienia.

Przez parę chwil wodnisto-niebieskie oczy Durella spoczywały na twarzy Moniki, potem przeniósł spojrzenie na Annę Vade.

- Czy to prawda? - spytał. - Czy nie był jej ojcem?

Przytaknęła zdecydowanie, bez żadnych oznak wzburzenia.

- Tak. Oczywiście.

- A czy jest, czy był taki dokument?

- Nie.

Durell zakołysał się na piętach.

- A wiadomo pani, że portfela przy nim nie znaleziono?

- Nie wiadomo. Rozumiem, do czego pan zmierza. Przypuszczam, że i pieniądze miał w portfelu.

Wolno okręciła się wraz z taborettem i siedziała teraz zwrócona twarzą do klawiatury, jak pianista przed uderzeniem pierwszego akordu.

- Domyślałam się, że wciągnął mnie pan na listę. Może i moją córkę. Obawiam się, drogi panie, że wykaz nazwisk wydłuży się bardzo, nim zakończy pan tę sprawę.

Uderzyła kilka tonów. Durell stwierdził, że to wstęp do walca - wesołej wdówki. Dlaczego nie, pewne podobieństwa między wesołą Hanną a piękną Anną istniały, nie tylko imię... Chwilę słuchał. Potem ocknął się nagle i powiedział:

- Mąż pani planował najwidoczniej podarowanie komuś tego domu w Ulriksdal. Czy wie pani, kogo miał na myśli?

Zapanowała głęboka cisza. Potem Anna uderzyła w klawisze, rozległ się przeraźliwie fałszywy akord, wstała z pobielającą twarzą. Chwilę walczyła o odzyskanie panowania nad głosem.

- Nie mam pojęcia - powiedziała, usiłując patrzeć na niego nieustępliwie. - Jeśli mi ktoś przyjdzie na myśl, zgłoszę się. Żegnam pana.

Schodząc po schodach, by o piętro niżej skontrolować parę półbucików o zygzakowato rowkowanych podeszwach i wypytać ich właścicielkę, czy coś zauważyła nad rzeką, usłyszała, że Anna Vade znowu śpiewa. Nie walca wesołej wdówki, wróciła do „Uprowadzenia z seraju”: „Martern aller Arten, aller Arten mögen...” Zupełnie jakby czas się zatrzymał, a jego odwiedziny były epizodem bez znaczenia.

- Vincenzo! Halo, Vincenzo, jesteś tam?

Jonas odwrócił głowę i spojrział w kierunku pawilonu. Rita bębniła w drzwi ile sił. Gdy nie dało to rezultatu, obeszła domek i usiłowała zajrzeć w okno, robiąc lunetę z rąk wokół oczu. Jonas leciutko i wolno drapał psa za uchem. Był to foksterier Atos, mały żwawy spryciarz z obciętym ogonem, sterczącym jak cięciwa napiętego łuku. Pies na dźwięk imienia swego pana nastawił uszu, usiadł czujnie i śledził poruszenia dziewczyny. Jonas czuł, że pies gotów jest rzucić się w jej stronę, że już by to zrobił, gdyby go rytmiczny masaż za uchem nie zatrzymywał. Rita dostrzegła wreszcie Jonasa i ruszyła ku niemu zręcznym, szybkim krokiem. Sukienka owijała się wokół jej bioder ujawniając kuszące okrągłości. Zbliżywszy się zawołała na psa, który rzucił się ku niej jak strzała.

- A gdzie pan, Atos? - spytała pieszczotliwie i podeszła do Jonasa. - Cześć. Nie widziałeś Vincenza?

Spojrzał na nią mrużąc oczy, bo słońce raziło, zaprzeczył ruchem głowy i już miał powiedzieć, że nie, kiedy dostrzegł kelnera na drodze do gospody, więc powiedział:

- Owszem, widzę, właśnie tam idzie. Usiądź na chwilę.

Rita usiadła, podniosła jednocześnie ręce i wymachując nimi zawołała:

- Pośpiesz się, Vincenzo! No i co ty, Jonas, na to, że stary nie żyje? Chyba nie ty go zabiłeś?

- Jakież mógłbym mieć powód? - odparł Jonas uśmiechając się kwaśno. - A dla ciebie to oczywiście był szok.

- E tam. Mnie przecież nic do niego. - Złapała teriera i zwróciła go pyszczkiem w kierunku mężczyzny, który szedł właśnie na wzgórze i kierował się do pawilonu.

- Widzisz pana, Atos? Biegnij do niego. - Pies złapał wiatr. Rita klepnęła go lekko i puściła, popędził jak strzała. Rita oplotła kolana rękami i przechyliwszy głowę w bok spojrzała na Jonasa.

- Dlaczego by mnie to zresztą miało obchodzić?

- Skończą ci się dochody. A może ty lubiałaś to po prostu.

- Co miałam lubić? Gadaj tak, żeby można się było połapać, o co ci chodzi.

- Dostawać batem. Dostawałaś zapłatę od uderzenia, czy byłaś na ryczałcie?

Poczerwieniała tak gwałtownie, że Jonasowi sprawiło to niemal ból.

- A co ty właściwie wiesz? - powiedziała cicho. - Że stary był sadystą i że mnie wykorzystywał. Jeżeli komuś o tym powiedziałaś, zaskarżę cię o zniesławienie.

- Cóż za wrażliwość na sławę - westchnął Jonas. - I nie wydaje mi się, żeby on był sadystą. Pewnie tylko chciał udowodnić, że jest męski, jeżeli nie komu innemu, to samemu sobie. A tobie niczym to nie groziło. Powinno tylko budzić w tobie większy wstręt.

Roześmiała się z zażenowaniem i, jakby chcąc całą sprawę zakończyć, znowu pomachała ręką Włochowi, który już podchodził łyskając zębami w uśmiechu. Nie był typem południowca, raczej imię tylko zdradzało jego pochodzenie. Wśród powitalnych oznak radości szepnęła Jonasowi: - Tylko uważaj, udawaj, że nic nie wiesz, mój przyjaciel jest popędliwy.

Jonas odwrócił się w bok, sięgnął po źdźbło zeschniętej trawy i żując je z roztargnieniem, kiwnął głową Vincenzowi i zagadnął:

- Masz jakiś wolny stolik na dzisiejszy wieczór? Chcę zaprosić Monikę po ognisku na małą przekąskę, ale w taki wieczór pewnie będzie tłoczno.

- Załatwi się jakoś, wpadnij jeszcze, kiedy będę na zmianie. - Spojrzał na Ritę podejrzliwie, bo dostrzegł, że jest czerwona jak piwonია. Przeniósł wzrok z niej na Jonasa i zacisnął usta. - Czy on... - Ruchem głowy wskazał Jonasa i nie dokończył zdania.

- Ech, głupi jesteś. Usiądź, kochanie.

Włoch wlepił oczy w Jonasa.

- Wiesz, czyja ona jest? Moja dziewczyna. Awantura ze mną o moją dziewczynę. Niedobrze. Tylko przykro.

- Usiądźże. Nie rozrabiaj. Musiałam cię długo szukać.

Włoch jakby ogłuchł.

- Ja twojej dziewczyny nie ruszam, co - ty mojej nie ruszasz. Tak będzie może dobrze, co.

- Ładna jest, co - powiedział Jonas przedrzeźniając jego nieudolną wymowę. - Ładna szwedzka dziewczyna, co.

Oczy Vincenza jeszcze bardziej spochmurniały.

- A co ty wiesz?

- Tak, co ja właściwie wiem? Ona też mnie o to przed chwilą pytała, twoja Rita. A ja jestem ciekaw, co ty wiesz.

- O czym?! - Zbliżył się jeszcze o krok, Rita wstała i przytuliła się do niego, wzięła go pod ramię.

- To tylko żarty, Vincenzo, on chce cię rozdrażnić. Atosa nie widziałeś? Kazałam mu iść po ciebie.

Odsunął ją.

- Byle co gadasz. Jak coś chcesz, *tp* wstań, a nie, to zmiataj. Stolik ci wieczorem zabarwię, jak dasz dobry napiwek. A potem może i wszystko dobrze. Może nie ma o czym mówić.

Jonas wstał powoli nie spuszczać Włocha z oczu.

- Zawsze mi się wydawało, że ty najpierw coś robisz, potem mówisz, a w końcu myślisz, jeżeli w ogóle myślisz. Chyba nie zabłądziłeś po ciemku tego wieczoru, kiedyś zszedł z drabiny. Może cię ucieszy wiadomość, że zajrzałeś w niewłaściwe okno, ale to nie ma znaczenia. Najważniejsze chyba, żeś wiedział, gdzie jej szukać, że jest na górze. Przypuszczam, że resztę z niej wydusiłeś w jakiś sposób. - Spojrzał na Ritę współczująco. - Czy nie tak?

Wyjął z kieszeni papierosa, zapalił nie spiesząc się i powoli odszedł ku willi, by przekonać się, czy policja zostawiła ich wreszcie w spokoju.

VII

Opuściwszy willę rodziny Vade Durell wolno przemierzył podjazd i skręcił na drogę prowadzącą do domu architekta. W pamięci odtwarzał rozmowę z panią Ahlgren.

- Czy wychodziła pani dziś z psem?

Pani Ahlgren:

- Oczywiście, wyprowadzam go co rano, żeby się wybiegał. Odbyliśmy solidną przechadzkę.

- A czy była pani dziś przy stajniach?

- Byliśmy na spacerze z godzinę. Najpierw w lesie. Ja usiadłam sobie i czytałam, a psa puściłam.

- W lesie? W której stronie?

- Za pralnią. Tam jest kawałek lasu, znakomite miejsce dla psów. Wróciłam wybrzeżem. Psa prowadziłam na smyczy. Kaczki teraz wysiadują jajka, trzeba uważać.

- Bardzo rozsądnie. Ale była pani także na wyspie. Przy tych czarnych posągach w parku zamkowym. Przy Maurach.

- Rzeczywiście. Kiedy mijaliśmy stajnie, Rick popędził na wyspę, wtedy był spuszczone, rozumie pan. Ja za nim, widzi pan, strażnicy powiedzieli mi już przedtem, że pod żadnym pozorem nie wolno wejść do parku, więc mówić im, że pies tam pobiegł, na nic by się nie zdało. Cóż, złapałam go na tej wysepce. Na szczęście jest tam deska przerzucona przez wodę. Wzięłam go na smycz. Strażnik wołał do mnie, że nie wolno, ale nic sobie z tego nie robiłam i nie odpowiadałam. Powinien chyba zrozumieć, że nie dla przyjemności biegam po chwiejnej desce i narażam życie, że muszę mieć powód.

- Niech się pani dobrze zastanowi, pani Ahlgren, może widziała pani coś, co mogłoby mieć związek z zamordowaniem pani szwagra? Odcisk stopy, jakiś zgubiony przedmiot, czy coś innego. Zmarły znajdował się już wtedy pod mostem.

- Nie Nic nie zauważyłam.

- Nie podniosła pani czegoś? Czy może pies coś znalazł?

- Nie, drogi panie. Pobiegłam tylko, żeby go wziąć na smycz. To wszystko. O ile mi wiadomo, nic godnego uwagi tam nie było.

- A jak pani sądzi, dlaczego pies tam pobiegł? Może zwierzył pana Vadego?

- On ma bardzo dobry węch. Ale nie wydaje mi się, żeby mógł wywęszyć go pod wodą. Bo ciało, zdaje się, było całkowicie zanurzone w wodzie?

- Tak, to prawda.

I to było wszystko, czego się dowiedział. Potem poprosił, by pozwoliła mu obejrzeć swoje obuwie. Znalazł solidne półbuty na zygzakowato rowkowanych zelówkach. Tego właśnie oczekiwał. U architekta rezultat będzie prawdopodobnie równie mizerny.

Mijając pawilon odkrył ciekawe czy śledzące go zza na pół przymkniętego okna. Udał, że nic nie zauważył. Jeżeli jeszcze nie mają dość policji tu w Ulriksdal, niech się gapią i przyglądają, proszę bardzo.

Zadzwoił do drzwi architekta. Natychmiast prawie usłyszał mocne, zdecydowane kroki, drzwi otworzyły się szybko, jakby go tu oczekiwano, ukazał się Synneus.

- No, więc jestem - powiedział Durell uśmiechając się nieznacznie. - Mam nadzieję, że nieliczne pytania, jakie zadam, zostaną postawione we... jak pan to wyraził... właściwej formie. Czy mogę wejść?

Synneus spojrzawszy przez ramię za siebie, wyszedł na ganek i zamknął drzwi.

- Usiądźmy może na ławce. Jestem do pana dyspozycji.

Wyprzedzając Durella podszedł do jednej z ogrodowych ławek i wskazał mu miejsce obok siebie. Asystent usiadł, Synneus obok niego.

- Ma pan mieszkanie przy Roslagsgatan - zaczął Durell.

- Tak. Na drugim piętrze. Od wielu lat.

- A wiadomo panu, że dyrektor Vade poszedł tam wczoraj o drugiej po telefonie od kogoś, kto prawdopodobnie tam się z nim umówił?

- Nie.

- A więc nie z panem miał się tam spotkać?

- Już pan o to pytał wczoraj wieczorem. I otrzymał pan odpowiedź. Nie widziałem się wczoraj z panem Vade.

Durell przytaknął.

- Powiedział pan także, że o tej porze nie był pan w swoim biurze. Gdzie pan był?

- Na konferencji z pewnym zleceniodawcą i kilku innymi osobami. Rozumie pan chyba, że wyklucza to moją obecność na Roslagsgatan w tym czasie.

- Panowie uczestniczący w konferencji mogą to potwierdzić?
- Zrozumiałe. Życzy pan sobie, bym podał nazwiska?
- Dziękuję. Być może, ale później.

Durell odczuł pewien zawód. Synneus twierdzi, że ma alibi, i prawdopodobnie ma je rzeczywiście. Po kilku sekundach namysłu podjął rozmowę:

- Wiadomo panu, że Vade miał klucz do tego mieszkania?

Synneus zwrócił się ku niemu gwałtownie i głosem zdradzającym z trudem opanowywane wzburzenie powiedział:

- Co pan wygaduje! To zupełna niedorzeczność.
- Wcale nie. Miał klucz w kieszeni. Może pan to wyjaśnić?
- W jaki sposób? Mówię przecież, że to nieprawdopodobne.
- Istnieje możliwość, że poszedł tam, nie wiedząc, że jest to pana

mieszkanie - powiedział Durell. - Jeśli jednak miał klucz, rzecz przedstawia się trochę dziwnie. Czy znał ten adres?

- Mojego mieszkania? Mogę tylko zapewnić, że ja nigdy słowa na ten temat nie powiedziałem.

- A domyśla się pan, kto mógł to zrobić?
- Nie.

Durell natychmiast odnotował w pamięci, że nie była to spontaniczna odpowiedź.

- Mogę panu powiedzieć, że nawet moja żona nie wie o istnieniu tego mieszkania.

- Nawet. - Durell ironicznie ściągnął wargi. - Może zależało panu zwłaszcza na tym, żeby żona się nie dowiedziała. Dlaczego ma pan

dwa mieszkania? Muszę powiedzieć, że to przy Roslagsgatan ma charakter przypadkowego schronienia, przystosowanego do, jakby to powiedzieć, do tajemnych spotkań.

Architekt wrogo łysnął oczyma.

- Pozwala pan sobie na insynuacje. Cóż pan może wiedzieć o charakterze tego mieszkania? Gotów jestem odpowiadać na pańskie pytania, ale nie muszę być przy tym narażony na impertynencje. Nie rozumiem też, dlaczego miałby pan wtrącać się w moje życie prywatne, jeżeli z tą sprawą nie ma ono nic wspólnego.

- Może i ma - spokojnie stwierdził Durell. - Kiedy tu byłem wczoraj wieczorem, oświadczył pan, że z dyrektorem Vade nie łączy pana bliższa znajomość. A może zna pan bliżej panią Vade?

- Odmawiam odpowiedzi na to pytanie.

- Jak przystało na dżentelmena. No cóż, będę mógł sam wyciągnąć odpowiednie wnioski.

- Proszę bardzo - sucho odpowiedział architekt.

- Być może ona odwiedzała to mieszkanie. Czy miała własny klucz?

Nie otrzymał odpowiedzi. Synneus siedział z pochyloną głową wpatrując się w żwir. Zaciśnięte szczęki sprawiały, że mięśnie poruszały się pod skórą. Jego milczenie było równie wymowne jak list gończy. Durella rozgniewało, że wcześniej nie doszedł do owych trafnych wniosków. Przed spotkaniem z Anną Vade. Dla każdego przecież było widoczne, że takiej kobiety nie może zadowolić osiemdziesięcioletni starzec, a któż był bardziej pod ręką niż najbliższy sąsiad? Od jak dawna się znali? Anna twierdzi, że pojechała do miasta przed trzecią, a może tuż przed drugą. A może i ona ma niepodważalne alibi, jak jej kochanek? Postanowił przyjąć ten nowy punkt widzenia jako podstawę dalszego śledztwa.

- Jeżeli dyrektor Vade miał się spotkać w pańskim mieszkaniu nie z panem, to z kim? Czy tu może pan udzielić jakiejś wskazówki?

- Nie mam pojęcia. To dla mnie zagadka od początku do końca.

- Czy mogła to być pani Vade?

- Nie wiem.

- W jakiś sposób musi to jednak pana dotyczyć. - Durell czuł się nieomal zrozpaczony. - Może pańska żona?

Odpowiedź otrzymał z zupełnie nieoczekiwanej strony. Z okna na górze odezwał się kobiecy głos:

- Nie, to nie byłam ja.

Durell ze zdumieniem podniósł głowę i zobaczył panią Synneus. Była biała jak papier, kąciki jej ust drżały, a palce kurczowo ścisnęły parapet. Architekt zerwał się. Ostro spojrzął na żonę spod ściągniętych brwi, ale ona unikała jego wzroku.

- Jeżeli masz coś do powiedzenia, zejdź na dół - powiedział gwałtownie. - Przyjemność ci sprawiło podsłuchiwanie naszej rozmowy.

- Nie, nie... - potrząsnęła głową, zagryzając wargi. - Nic na to nie poradzę, że usłyszałam. Ja się od dawna domyślałam, Ragnar, nie wiedziałam, tylko przypuszczałam. Ale kiedy się już na pewno wie, to jest jednak zaskoczenie.

Durell pochylił głowę i powiedział sam do siebie:

- Bańki mydlane w końcu pękają, tak bywa zawsze.

Mało go obeszło, że Synneus obdarzył go morderczym spojrzeniem.

- A więc pani nie wiedziała, że mąż posiada w mieście mieszkanie?

- Nie wiedziałam. Podejrzewałam tylko coś między nim i Anną... panią Vade. Choć nie pojmowałam, jak do tego doszło. Nie zależy mi zresztą, przywykłam do ustępstw, nie ze względu na mnie, ale mamy córkę.

- Czy pani zwróciła się wczoraj do Vadego prosząc go o spotkanie?
- Nie, po cóż miałabym to robić?
- Czy ja wiem? Wspólna sprawa, konieczność obrony.
- Nie. Nie rozmawiałam z nim. Mogę tylko powiedzieć - urwała walcząc z płaczem - mogę tylko powiedzieć, że i z Anną nie mógł spotkać się o drugiej. Pan przecież mówił o drugiej?

Durell przytaknął, czując, że ostatnie oparcie usuwa mu się spod nóg.

- O tej porze Anna była tu u mnie, do trzeciej prawie. Potem pojechała samochodem do miasta. Mówiła, że do fryzjerki.

Taksówka szybko pędziła w kierunku Sztokholmu. Durell słyszał nieubłagane tykanie licznika, przyjmował je jednak bez niepokoju, jechał przecież służbowo. Wygodnie oparłszy głowę przymknął oczy i usiłował uporządkować jakoś i powiązać ze sobą dane, jakie zgromadził. Tak bywało zawsze, zawsze trzeba było przyglądać się materiałowi ze wszystkich stron, obejrzeć każdy kawałek z osobna, bez względu na jego wartość. Stopniowo danych będzie przybywać, będzie musiał ustalić ich ważność właściwie na wycucie. Znajomość sprawy, oswojenie się ze szczegółami może mieć znaczenie rozstrzygające o rozwiązaniu bądź nierozwiązaniu zagadki. Tak bywało zawsze - im bardziej skomplikowana sprawa, tym niezbędniejsza jest skrupulatność.

Co wie o ostatnim dniu Vadego? Rano stary pojechał jak zwykle do biura. Przed południem miał spotkanie z adwokatem, dotyczyło zagadnień podatkowych. Przed lunchem telefon od nieznaney osoby, potem udał się do restauracji na spotkanie z córką. Wrócił dość późno, około wpół do drugiej. Durell zatrzymał się - córka odeszła po półgodzinie, co robił przez resztę czasu? Siedział dalej przy stoliku i jadł -

może po omlecie zamówił spaghetti? Wyjął notes i zapisał: „Sprawdzić »Pod Baldachimem«, jak długo Vade został po odejściu Moniki”. Po lunchu zaledwie pół godziny zabawił w biurze i był w kiepskim humorze. Przed drugą znowu dziwny telefon, który skłonił go do natychmiastowego udania się na Roslagsgatan - do mieszkania Synneusa. Czy jest jakiś związek między pierwszą i drugą rozmową? Pierwsza przez połączenie bezpośrednie, druga przez centralkę... tę drugą przyjęła panna Nilsson, więc wiadomo, iż telefonowała kobieta. Durrell wywołał z pamięci sprawozdanie sekretarki, jak to określiła panna Nilsson... ten, co dzwonił do starego, „powiedział, że jest śmiercią”, czyli mężczyzna. Istotna różnica, czy są i inne? Pewnie, należy chyba przyjąć, że Vade wiedział, kim była kobieta, inaczej nie pobiegłby tak natychmiast na spotkanie, jeżeli oczywiście tą właśnie rozmową został zwabiony. Kim był mężczyzna, raczej nie wiedział. Tylko osoba niezajoma może sobie pozwolić na wystąpienie w charakterze śmierci. Z drugiej strony mógł coś zmyślić, jako przynętę dla ciekawości sekretarki. Następnie Roslagsgatan. Miał klucz od mieszkania. Mógł tam wejść i czekać na kogoś, kto nie był ani Synneusem, ani jego żoną, ani panią Vade. W dalszym ciągu może to być każdy, a ściślej mówiąc każda. Zresztą nawet jeśli dzwoniła kobieta, nie wykluczone, że miał się tam spotkać z mężczyzną. Dlaczego na Roslagsgatan, dlaczego w mieszkaniu Synneusa? To pytanie wciąż wirowało w głowie Durrella. Skąd Vade miał klucz? Od kiedy? Dorobiony, to spostrzeżenie w niczym mu nie pomagało. W kieszeni płaszcza, a nie jak inne klucze razem na kółku. Nie był to więc klucz należący do zwykłego arsenału. Miał go przy sobie tylko chwilowo, tylko ze względu na tę wizytę. Dostał go, po lunchu z Moniką poszedł

gdzieś po klucz. Durell natychmiast odrzucił tę myśl. Zatelefonowano przed drugą, wcześniej wcale pewnie nie wiedział, że pójdzie na Roslagsgatan. A więc wiedział? Może była to oczekiwana rozmowa. Wskazywałaby na to natychmiastowa zgoda na spotkanie. Miał klucz w szufladzie biurka, wyjął go tylko, polecił panie Nilsson wezwać taksówkę i wyszedł. Durell usiłował wyobrazić sobie tę scenę. Vade przy biurku, rozmawia. Wstaje, otwiera szufladę, wkłada klucz do kieszeni. Nie, wtedy miałby go w kieszeni marynarki, nie płaszcza. No, najpierw otworzył drzwi, a wtedy miał na sobie płaszcz. Nagle potknął się w tym rozumowaniu o jeszcze inną możliwość. Mógł to zrobić ktoś inny. Zastanawianie się nad kluczem do niczego nie prowadzi, chwilowo trzeba się od tego oderwać. Durell westchnął i przez chwilę przeprowadzał spojrzeniem mijające ich samochody. A co potem, po drugiej? Vade miał tylko godzinę wolną, jeśli chciał zdążyć na zebranie. Nie stawiał się na to zebranie. Nie uprzedził o tym telefonicznie. To chyba znaczy, po pierwsze, że liczył na szybkie załatwienie sprawy przy Roslagsgatan, po drugie, że napotkał poważną przeszkodę. A bardziej bezpośrednio rzecz określając, że w ciągu godziny od spotkania z nieznaną czy nieznanym stracił życie lub świadomość. Za takim przypuszczeniem przemawiały ślady krwi w szafie. Zamordowano go; i chwilowo, w oczekiwaniu na transport w pewniejsze miejsce, ukryto w szafie. A kiedy został przetransportowany? O wpół do dziesiątej, kiedy Durell dostał się do mieszkania, zwłok tam nie było. Pod mostem nie umieszczono ich przed zupełnym ściemnieniem. Musiały więc być przechowywane w dwóch kolejnych miejscach, w szafie, a potem gdzie indziej. Może w bagażniku samochodu. Razem przez jakieś osiem - dziewięć godzin. Co to daje, jeśli chodzi o rigor mortis i inne subtelne szczegóły medyczne? Durell znowu westchnął i stwierdził, iż są mu pilnie potrzebne dwa raporty, po pierwsze, sprawozdanie z rewizji zarządzonej w mieszkaniu

Synneusa, po drugie, dokładna ekspertyza wyników obdukcji. Co dalej, zmarłego odnaleziono pod mostem, zakotwiczonego do Maurów, był związany, pokaleczony, z wgniecionym czołem. Miał przy sobie kilka drobnych monet i w wewnętrznej kieszeni fotografię swej pięknej żony. Portfela już nie miał. Tuż pod nosem straży pałacowej zatopiono zwłoki w wodzie. Cóż za okropność. Dość znamienne, że nikt go nie oplakuje. Dyrektor nie cieszył się sympatią. Stary wilczur, znajdował przyjemność w dręczeniu wszystkich dokoła. Znalazłoby się sporo takich, którym zależało na jego zgonie. Durell poczuł nagle, że jego wcześniejszy wykaz potencjalnych morderców i motywów zbrodni wcale nie był taki niedorzeczny. Pani Vade robi wrażenie wyzwolonej i nie ma w tym nic dziwnego, jest jeszcze w kwiecie wieku, atrakcyjna, godna pożądania. Nie dziedziczy wprawdzie po mężu, ale mogła tęsknić do wolności, mąż był stary i po ludzku osądzając pora, w której powinien był przenieść się do lepszego świata, minęła, dla niej każda mijająca chwila była cenna, musiała wygrać wyścig z czasem. A córka, Monika - w dniu śmierci wyrzekł się jej, obrabował ją z majątku. Durell zastanowił się nad jej sytuacją. W tym wieku nie bierze się zbyt poważnie spraw materialnych, zwłaszcza jeśli zawsze miało się pełny mieszek. Ale samo zaprzeczenie ojcostwa mogło być poważnym ciosem - młodość jest wrażliwa i cienkoscóra, a stary mocno podeptał jej uczucia - mogę znieść, że obrabujesz mnie ze wszystkiego, ale tego, że mi odmawiasz praw, nie zniosę. Oczywiście opowiedziała o wszystkim narzeczonemu, nie przemilczając propozycji starego, by z nim zerwała. A on może nie był tak zupełnie obojętny na stronę materialną. Ładna dziewczyna to oczywiście przyjemne, ale w połączeniu z majątkiem jeszcze przyjemniejsze, śmierć starego obojgu im otwierała drogę. Jednak właśnie narzeczonemu zawiadomił o znalezieniu trupa, to by go wykluczało. Durell potrząsnął

głową. Wcale nie. Przecież nie on, tylko ta młoda dziewczyna, ta druga młoda dziewczyna odkryła zwłoki. Jak mógł postąpić w podobnej sytuacji? Robić dobrą minę do złej gry, dorzucić swoją kartę, to znaczy wezwać policję i zachować twarz pokerzysty, bo partię trzeba było rozgrywać dalej. Właściwie wciąż jeszcze mógł wybrać. Wraz z portfelem zniknął ów dokument, prawnie dziedziczy Monika jako córka Vadego, wszystko jest jej, czyli wszystko jest jego. Durell dalej rozstrzygał sieć domysłów.

Kto wie, może razem prowadzili rozgrywkę - Anna, Monika i Jonas. Zatrzymał się przy tej możliwości, odczuł jednak głęboką niechęć do wciągania w to córki. Nie nadawała się raczej na morderczynię ani nawet na współniczkę przestępcy. A tylko Anna i Jonas? To już bardziej prawdopodobne. Czy jednak Anna nakłaniałaby wtedy Monikę do opowiedzenia o tym dokumencie, czyli do wyciągnięcia na światło dzienne motywu, który doskonale mógł pozostać w ukryciu? Oczywiście, żeby jej nie podejrzewano. Bo mogło się to jednak wydać. Stary mógł komuś wspomnieć o planach utworzenia fundacji i o tym dokumencie. I inni mogą wiedzieć, że Monika prawdopodobnie nie jest córką Vadego. Jeśli już morderstwo zostało ujawnione zbyt szybko, trzeba było przetasować karty. A jeżeli Monika jest córką Vadego! Bo chyba Anna nie ważyłaby się wywlekać tego, wiedząc, że ktoś może zadać kłam jej słowom. Na przykład prawdziwy ojciec dziewczyny. I kto jest ojcem? Synneus? Durell nie potrafił się przychylić do żadnej możliwości. Dalej, co z fundacją? Posiadając prawną spadkobierczynię stary miałby trudności z urzeczywistnieniem swego planu. Z pewnością udałoby się im przeprowadzić uznanie go za niepoczytalnego, bo pomysł stworzenia muzeum znaczków pocztowych jest zupełnie niedorzeczny. Można by chyba udowodnić, że podobny projekt jest dowodem chorobliwej chęci skrzywdzenia własnej rodziny. Durell

dokonał szybkiego podsumowania: Anna zachęciła Monikę do mówienia o sprawach mogących być motywem zbrodni, o faktach kompromitujących, które równie dobrze mogły zostać przemilczane. To świadczy na jej korzyść. Cóż, celem mogło być także stworzenie zasłony dymnej dla ukrycia innych, nieznanych motywów. On nie da się nabrać. Durell, zrób tak, jak ona ci radziła, dla pewności umieść na liście całą trójkę - Annę, Monikę, Jonasa.

Przy Norrtull taksówka tak gwałtownie zahamowała pod czerwonym światłem, że Durella rzuciło do przodu i chwycił za oparcie fotela kierowcy. Mimochodem dostrzegł, że licznik wybił już 10,50, a zegar wskazuje kwadrans po trzeciej. Uznał nagle, że do niczego wprawdzie nie doszedł, ale też nie ma powodu do zniecierpliwienia. Przed niespełną dobą wpłynęło zawiadomienie, że zaginął pewien dyrektor. Cztery godziny temu upewnił się, że, chodzi o morderstwo, a w głowie roi mu się od nadmiaru osób, motywów, dziwnych okoliczności, od płątaniny faktów. Koniec końców rozpoczął śledztwo przed uzyskaniem istotnych ku temu powodów. Chłopcy są teraz pewnie w pełnym toku skrupulatnego gromadzenia kłaków kurzu i rozdeptanych spinaczy w domniemanym miejscu zbrodni, które on sam wyniuchał, szukają tam odcisków palców i niedopałków papierosów. Przypomniawszy sobie o cygarnicze. Wyjął ją z kieszeni i przyjrzał się uważnie. Dlaczego ją zabrał? Oczywiście jako dowód, że Vade był w tym mieszkaniu, na wypadek gdyby ciemność spowijała dalszy rozwój wypadków. Żeby ją pokazać rodzinie i mieć potwierdzenie, iż jest to własność Vadego. Prawnie było to wykroczenie - usunął z domniemanego miejsca zbrodni materiał dowodowy przed przeprowadzeniem badań. Nie martwił się tym zbyt - w wydziale kryminalnym znajdzie się jakaś dodatkowa torebka z plastiku dla chwilowego przechowania tego przedmiotu. Durell znowu usiadł wygodnie i zamknął oczy. Co dają w operze w następny wieczór abonamentowy?

„Aide” czy „Wesele Figara”? Wszystko jedno, i to, i tamto warte obejrzenia i posłuchania.

Przed piątą zapukano do drzwi pokoju biurowego Durella. Jego pomruk został przyjęty za sygnał przyzwalający i do środka wkroczył doktorek z pryszczem na czole. Towarzyszyła mu asystentka. Natychmiast usadowiła się na jedynym w pokoju fotelu, rozłożyła na kolanach blok i końcem dobrze zatemperowanego ołówka zaczęła odsuwać naskórek wokół paznokci. Doktor sapnął i zmrużył oczy, bo Durella otaczała gęsta chmura dymu z grubego cygara, które trzymał w ustach.

- Pozwolisz, że otworzę okno, w tym pokoju jest powietrze jak w komorze gazowej. Mogę cię zawiadomić, że nie jesteśmy gotowi z obdukcją, coś można już jednak powiedzieć. Zwłaszcza na podstawie zewnętrznych oględzin. Zabrałem asystentkę, jeżeli masz jakieś specjalne pytania, zanotuje je i wkrótce otrzymasz choć na niektóre z nich odpowiedź. - Szeroko otworzył okno.

- Słucham - powiedział Durell.

- Kość czołowa wgnieciona. Wszystko wskazuje na to jako bezpośrednią przyczynę śmierci. Co spowodowało uszkodzenie, nie możemy powiedzieć z całą pewnością, wiele przemawia za uderzeniem płaskim, tępym przedmiotem, może polanem drewna albo kamieniem. Nie młotkiem, siekierą czy czymś podobnym. Cios spowodował wylew do mózgu i natychmiastową śmierć. Uszkodzenie mózgu jest poważne, wewnątrz czaszki dużo krwi.

- A jest krew na zewnątrz? Czy mogły pozostać ślady krwi?

- Raczej nie. Tkanki są poważnie uszkodzone, ale krwawienie zewnętrzne było nieznaczne.

- Dalej.

- Na twarzy drobne ślady, być może spowodowane uderzeniami. Kilka uderzeń, które go ogłuszyły. Same przez się nie były one niebezpieczne, mogły jednak sprawić, że upadł. Był to przecież starzec, nie trzeba wiele, żeby osoba w tym wieku doznała zawrotu głowy i straciła przytomność.

- To uszkodzenie na czole też może być spowodowane przez upadek.

- Możliwe, choć nie wydaje nam się. Gdy ktoś pada na twarz, niemal całą siłę uderzenia przyjmują ręce i nos. Nam się raczej wydaje, że to tępy przedmiot.

- Należy więc przyjąć, że najpierw uderzono go w twarz, tak że upadł, potem dokonano zabójstwa posługując się na przykład polanem drewna.

- Mniej więcej.

- Aha.

Durell starał się wyobrazić sobie przebieg zdarzenia. Widział przed sobą mieszkanie w świetle dziennym. Morderca stoi naprzeciw starca. Uderza go w twarz. Stary krzyczy, ktoś mógł to chyba usłyszeć, potem pada, morderca chwyta przedmiot - polano drzewa? Nie, czegoś takiego tam nie było, więc posążek czy taboret. Cokolwiek to było, jeżeli narzędzie mordu znajduje się w mieszkaniu, chłopcy go nie przeoczą. Zaciągnął się głęboko i wydmuchał wąską smużkę dymu, która snuła się po pokoju, póki powiew od okna jej nie unieśli.

- Inne obrażenia? - spytał.

- Zadrapania na rękach i nogach. Tak jak przypuszczałem, są to obrażenia pośmiertne. Podobne do obtarć mogących być skutkiem uderzenia, powstały jednak w wodzie, prawdopodobnie przy poruszaniu ciała przez prąd pod mostem. W inny sposób nie potrafię tego wyjaśnić.

- Dobrze. Mogę zadać kilka pytań? - Durell położył cygaro na popielniczce, oparł ręce o stół i pochylił się ku doktorowi.

- Oczywiście.
- Kiedy on umarł?

Doktor potrząsnął głową.

- Tego nie możemy powiedzieć bez zbadania zawartości żołądka. Wiemy, że ostatni posiłek jadł między dwunastą a trzynastą. Prawda?

- Tak. Jadł omlęt z krewetkami. Następne pytanie. Ile czasu upłynęło od chwili śmierci do umieszczenia zwłok w wodzie?

Doktor zwrócił się do asystentki:

- Proszę zanotować pytanie. Nie będziemy jednak mogli odpowiedzieć na nie z całą pewnością. Prawdopodobnie już po wystąpieniu objawów rigor mortis - ramiona zdają się wyłamane ze stawów. Ale temperatura i prąd wody, ruch ciała pod wodą oddziaływały na przebieg. Nie poważyłbym się określić.

- A zabarwienie zwłok?

- I z tym jest podobnie. Trudno coś wnioskować.

- Możesz powiedzieć, czy gdzieś przedtem leżał, a potem został przeniesiony?

- Są jaśniejsze partie wskazujące na to - markotnie orzekł doktor.

- Sądzę, że leżał gdzieś przez kilka godzin. Potem ciało przeniesiono, krew w tkankach przemieściła się, opadła w inne rejony. Od chwili zanurzenia w wodzie ciało poruszało się, a to zapobiegło powstaniu wyraźniejszych plam. Strasznie trudno coś odczytać.

- Mógł jednak być gdzieś przechowywany?

- Oczywiście.

- Może w dwóch różnych miejscach, a nawet w trzech, nim ostatecznie znalazł się w wodzie?

- Nic przeciw temu nie przemawia.

- Godzinę czy dwie, cztery czy osiem godzin?

- Nie wiem.

Durell westchnął. Spodziewał się lepszych rezultatów. Ciekawe,

czy morderca zdaje sobie sprawę, że zastosował metodę doskonale zacierającą ślady. Cóż robić, trzeba poprzestać na tym, co się ma, zresztą obdukcja nie jest zakończona. Istnieje możliwość, że da się ustalić porę morderstwa, był prawie pewien, że będzie to oznaczenie: między czternastą a piętnastą w dniu, w którym imieniny obchodził Tyko. A pogrążenie w rzece nastąpiło tegoż dnia po zapadnięciu mroku. Doktor dyskretnie zakaszał.

- Są dalsze pytania?

- Owszem - powiedział Durell trąc czoło - całe mnóstwo. Nie przypuszczam jednak, żebyś mógł na nie odpowiedzieć, ani ty, ani nikt inny. Co do określenia czasu...

Urwał, bo zadzwonił telefon. Machinalnie sięgnął po słuchawkę. Potok słów zaszumiał mu w uchu, a każde było nowym utrudnieniem. Nic nie można powiedzieć na podstawie ekspertyzy sznurów. Są to dwa różne kawałki postronka, jeden konopny, drugi z sizalu, jeden odcięty nożem, drugi nożyczkami. Takie sznurki można dostać w każdym sklepiku, gdybyś znalazł sznurek na ulicy, pięćdziesiąt procent pewności, że byłby to jeden z tych dwóch gatunków.

- Rozumiem - powiedział Durell, a poziom humoru opadł w nim o kilka stopni. - Co więcej?

- Znaleźliśmy rachunek za przejazd taksówką. W wewnętrznej górnej kieszeni marynarki, wczorajsza data, suma 7 koron. Numer taksówki 431. Nazwisko kierowcy S. Andersson.

Durell podskoczył, jakby go ktoś dźgnął igłą.

- Myślisz, że to pokwitowanie za przejazd z Drottninggatan 75 na Roslagsgatan. Tamten kierowca nazywał się Bergman.

W słuchawce zapanowała cisza.

- Poza tym taki krótki kurs nie kosztuje siedem koron.

W dalszym ciągu milczenie.

Durell zaczerpnął tchu.

- Nie wiem, co znaczy to pokwitowanie, bo o ile mi wiadomo,

Vade tylko raz jechał wczoraj taksówką. Bądź tak dobry i postaraj się złapać taksówkę 431 i tego Anderssona. Jeżeli między wpół do pierwszej a wpół do drugiej, to by się zgadzało, a jeżeli się nie zgodzi, daję za wygraną. Położył słuchawkę i chmurno spojrzął na doktora.

- Być może stary gdzieś jeździł w porze lunchu. Na to wygląda, a jednak mam wątpliwości. Ani w tę, ani we wtę. Jeżeli to się nie wyjaśni, zamów mi, proszę, wizytę u psychiatry. Mózg mi się zagrzał, jaką właściwie temperaturę mózg wytrzymuje?

VIII

Głos Moniki przez schody i uchylone drzwi dotarł do pokoju Jonasa.

- Kochanie, pospiesz się, ja jestem gotowa.
- Już idę.

Poprawił muszkę, strzepnął włoszek z ramienia smokinga i wyszczerzył zęby do lustra, by kontrolować ich biel i połysk po wyczyszczeniu. Przesunął rękę po brodzie gładkiej jak pierś gołębia, nalał na dłoń wody po goleniu i wtarł w twarz z zadowoleniem. Drzwi skrzypnęły. Odwrócił się. Borys. I on też w smokingu, ciężkim, czarnym, staromodnym, jego muszka była tak szeroka, że w porównaniu z cienką niby kokardką Jonasa wyglądała jak trzmiel.

- Woła cię.
- Słyszałem i odpowiedziałem. Chcesz iść z nami? Nie jestem pewien, czy się zmieścisz przy stoliku.
- Pytałem Sylwię, ona też zamówiła stolik.
- Świetnie. Ale będą ogniska, co?

Ascetyczna twarz Borysa pozostała nieporuszona. Bez wyrazu. Cienkie obcasy Moniki zastukały na schodach. Borys odsunął się, oparł o futrynę, a ona zatrzymała się w drzwiach.

- No, jak ci się wydaje?

Jonas zrobił krok w jej kierunku, żeby ją pocałować, wyglądała rzeczywiście jak wiosenny kwiat.

- Nie, kochanie, zaczekaj...

- Dlaczego...

- Szminka...

- Co mi tam szminka, ja... - pocałował ją lekko i spokojnie, kątem oka dostrzegł, że Borys wyprostował się i zacisnął usta, z wyrazem wrogości w spojrzeniu.

- Włóżysz chyba płaszcz? To wcale nie grzeje. - Monika przesunęła ręką po jego wieczorowym stroju. - A nie będziesz przecież cały czas sterczeć przy ognisku. Wypijemy drinka przed wyjściem.

Jonas przerzucił płaszcz przez ramię i zszedł za Moniką. Borys kończył pochód, on nie miał płaszcza. W swoim pokoju Monika wyjęła z szafki butelkę whisky, na biurku, białym jak całe umeblowanie, stały już dwie szklanki. Nalała. I wtedy dopiero zauważyła, że Borys z nimi przyszedł.

- Przepraszam, zaczekaj, zaraz przyniosę szklankę.

- Dziękuję, sam się obsłużę - powstrzymał ją Borys. Wydobył piersiówkę. - Płaszcz nie zabieram, bo mam ogrzewanie wewnętrzne.

Odkręcił nasadkę i pociągnął kilka łyków wprost z butelki. Drzwi na parterze trzasnęły. Przez otwarte okno usłyszeli głos Agdy dochodzący z zewnątrz: - Może sobie zostać w domu, ja nie myślę tracić ognisk w noc Walpurgi, to takie nastrojowe. - Potem głos Anny: - Idziesz z nami? Obiecałam wstąpić po Elzę i Ragnara. - Oczywiście. - Potem głos Sylwii: - Nie, ja tu zaczekam. - Głosy oddaliły się, Jonas podniósł szklankę i spojrzał w oczy Moniki.

- Skål - powiedział. - Za ogniska.

Spod podłogi dobiegło wycie setera. Choć przecież nie był sam, Alma z nim została.

Na wybrzeżu było tłoczno. Napływał już wieczorny mrok, wspinał się po niebie, gdzie bladł i dalej na północ przechodził w błękit i różowość. Wśród ciemnych sylwetek drzew kilka kosów podtrzymywało spóźniony koncert. Jeden odzywał się za nimi, drugi z którejś z lip w zamkowym parku. Ciepło dnia powoli wygasało, a bliżej brzegu, gdzie stos odcinał się na tle wody niby wielki ciemny rosochaty stóg, zakradało się zimno ciągnące od morza.

Jonas wsunął rękę pod ramię Moniki. Stali trochę na uboczu. Z odległości kilku metrów słychać było perlisty śmiech Sylwii, próbującej przebić pancierz ponurego zasępienia Borysa. Ognie zapłonęły w trzech miejscach jednocześnie. Płomienie przedzierały się przez chrust. W trzasku gałęzi i huku płomieni pogrzebany został śpiew kosów, w ciągu kilku minut ognie wystrzeliły w chmury niby olbrzymie pochodnie. Blask zabarwił twarze, sprawił, że poruszały się na skraju kręgu światła niby wielkie, niezależne od ciał pomarańcze, stojący najbliżej ognisk wydawali się czarnymi sylwetkami, rozrzuconymi wycinankami z papieru. Jonas rozpoznawał niektóre z wycinanek. Tam Agda, okrągła, z rozczochranymi włosami, obok artystycznie wykwinna w nowym, leżącym na niej jak ulał, kostiumie Anna. Tuż przy niej państwo Synneusowie, stary major i dziewczynka. Jacyś nieznajomi, a dalej ciemniejąca gromada zlewających się w jedną całość postaci i znowu coraz wyraźniej jaśniejące twarze po przeciwnej stronie. Odkrył tam Bengta w jasnym wiosennym garniturze i gabardynowym płaszczu. Przy nim jakaś nieznajoma. Ktoś zain-tonował „O piękny maju” - ładnym, wibrującym siłą tenorem. Wszyscy się włączyli. Jonas usiłował wykryć, kto ma taki głos, i odnalazł tenora w odległości kilku metrów.

Lekko ścisnął ramię Moniki. - O do licha, widziałaś, on tu jest. - Wskazał głową na lewo i Monika też zauważyła.

- Wielki brat patrzy na ciebie — powiedziała cierpko. - Czy policjanci nie mają wolnego w noc Walpurgi?

Ktoś wznosił okrzyk na cześć wiosny. Niech żyje!

- Ciekaw jestem, czy on za czymś tu węszy.
- Wiwat, kochanie! - Zawtórowała wznoszącym okrzyki.
- Wiwatuj, jeśli chcesz. Co on tu ma do roboty?
- Zabawne pytanie - uśmiechnęła się Monika.

Jonas nie spuszczał z oczu asystenta, na którego krótko ostrzyżonych rudych włosach załamywał się blask ognia, wyglądały jak świeżo umyte. Miał na sobie niebieski garnitur i jasny płaszcz o niebieskawym odcieniu.

- Lubi kolor niebieski - stwierdził Jonas. - Jest jak fiołek.
- Borys znowu sobie łyknął - powiedziała Monika. - Sylwii też proponował, żeby pociągnęła z butelki, ale się wzdragała. A Bengta zauważyłeś? Stoi tam naprzeciwko.

- Tak. Z kim on jest?
- Nie wiem. Teraz ma widać odwagę, żeby przyprowadzać dziewczyny do Ulriksdal, póki tatuś żył, nigdy tego nie robił.

- Wciąż jeszcze mówisz tatuś?
- Oczywiście. Myślisz, że ja w to uwierzyłam?

Jonas nad czymś się zadumał.

- Zabawne - powiedział. - Zastanawiałem się nad tym właśnie nie dalej niż przedwczoraj, że on może mieć taką córkę jak ty. Doszedłem do tego, że to zasługa Anny, twojej pięknej matki... Znowu zaczynają. - Po przeciwnej stronie ktoś zawołał: - Ustąpiła już zima! - Melodia została podjęta w kilku różnych tonacjach, przerwana i rozpoczęta już bardziej zgodnie. Ktoś zaimprovizował drugi głos. Monika nuciła przez kilka taktów, potem umilkła.

- Dlaczego ty nie śpiewasz? - spytała.
- Boję się, że przeziębę gardło. Zresztą ja wolę słuchać. On ma piękny tenor, nie uważasz? Na jego głos czekam i Anny. Dlaczego Anna nie śpiewa?

Rozejrzał się za Anną i jej towarzystwem, ale nie mógł ich dostrzec.

- Anna będzie dziś wieczorem pić szampana u architekta - powiedzia! - A my napijemy się szampana, kochanie? Szampan i kurczak.

- Rozrzutniku! Jasne, że zamówimy kurczęta. W noc Walpurgi jada się kurczaki.

- Taak... i pije szampana.

Nagle zauważył Ritę. Stała sama, niedaleko Sylwii i Borysa.

- Rita przysła sama, biedna mała, ładna jak krokus.

Ona jest milutka. A ty jak myślisz?

Monika wydu! usta. Odszukała Ritę spojrzeniem i przyjrzała się jej krytycznie.

- Masz niestety rację. Tylko za ma!o ma na sobie. Powinna podejść bliżej ognia, żeby się nie zaziębić. Może wolisz z nią napić się szampana?

- O nie, nie odważy!bym się ze względu na Vincenza, on będzie podawa!ł. - Spojrzał na zegarek. - Stolik mamy zamówiony na dziewięta, jest za kwadrans dziewięta, pójdziemy?

Monika potrząsnę!a głową.

- Wykluczone. Od piętnastu lat tkwię tu, dopóki ostatnie ognisko nie zgaśnie. Uwielbiam patrzeć, jak się dopalają. Wlepiac oczy w żar; zupełnie jakby się z odleg!o!ci dziesięciu mil ogląda!o pożar miasta. Spóznimy się; cóż to szkodzi. - Zwróci!a się do Jonasa z uśmiechem, który do!ść raptownie zga!ł, chwyci!a narzeczonego za ramię. - On tu idzie - szepnę!a.

Jonas odwróci! się i spojrzal prosto w twarz Durella - oczy niebieskie jak fio!ki, no, może jaśniejsze, jak lekko zamglone wiosenne niebo, puc!owate policzki usiane archipelagami piegów.

Durell poprawi!ł krawat; tym razem nie był to ten weso!y w kolorach pomarańczowym i g!ęboko zielonym, lecz w siarkowożółtym i

szarym jak lawa, wyglądał naprawdę dyskretnie na tle krzycząco niebieskich kłap marynarki.

- Tak spełnia się wiosna - powiedział - ogień i śpiew. Nie mogłem powstrzymać się od udziału. Ofiara ognisk, chłód przepędzony, koniec zimy, już naprawdę nie wróci.

- Ładnie pan śpiewał.

- Dziękuję. Tylko pierwszą melodię. Lubię sam decydować o tonacji. Zresztą mój głos nie nadaje się do chóru. To głos solowy, dobry do większych rzeczy, arii na przykład. - Spuścił oczy. Końcem buta, czerwonego jak świeża wołowina, rozgrzebywał piasek. - Bardzo rozsądnie, że się państwo chcą rozerwać po tych wszystkich przykrościach, inni jednak widać nie potrafią...

Monika spojrzała na niego bystro.

- Jacy inni?

- Pani Vade i osoby jej towarzyszące. Przyszli, też zdawali się odprężeni, ale niedługo to trwało. Natychmiast prawie odeszli, jak się wydaje. Cóż, pięknie w każdym razie, gdy przyjaciele, sąsiedzi wspierają w nieszczęściu.

- Dlaczego pan tu właśnie przyszedł? - spytał Jonas. - Wydaje mi się, że jest pan tutaj służbowo. Sledzi pan kogoś?

Durell zrobił zdziwioną minę.

- Skądże. Przecież mówiłem, dlaczego.

Monika przesunęła się od Jonasa w kierunku małego reprezentanta policji.

- Chciał pan popatrzeć na ognisko. A może spalić kogoś na stosie. Ma pan kogoś na całopalenie? Chyba nie moją matkę?

- Proszę mi dostarczyć kogoś innego - powiedział łagodnie, wcale nie zaskoczony tym atakiem.

- Dostarczę - powiedziała Monika. Skurczyła się, wciągnęła głowę w ramiona i oznajmiła groźnie: - Dostanie pan czarownicę, prawdziwą czarownicę. Tam!

Wskazała palcem Ritę stojącą samotnie, nieświadomą, że o niej mowa. Dawały jej się widać we znaki zimne podmuchy od zatoki, bo skrzyżowała ręce na piersiach i raz po raz rozcierała ramiona. Blask ognia padał na nią jak światła rampy na scenę, Durell zobaczył, że jest bardzo ładna, oczy ma kocie, skośne, duże usta, miodowozłote włosy. Powstrzymał wzbierający w gardle okrzyk podziwu.

- Kto to taki? - spytał.

- Nazywa się Rita Jansson. Pomoc domowa architekta Synneusa. Jestem do niej w tej chwili bardzo niechętnie usposobiona.

- Proszę nie brać tego poważnie - wtrącił Jonas. - To tylko zażdrość.

- Dlaczego miałbym ją spalić na stosie? Jest rzeczywiście bardzo atrakcyjna. Ale to żaden powód.

- Czarownice zawsze są piękne - powiedziała srogo Monika. - Powinien pan wiedzieć. A o powód proszę spytać mego narzeczonego.

Jonas natychmiast się zorientował, do czego Monika zmierza, i rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie, które Durell zauważył, i w jego niebieskich oczach zapalił się błysk zainteresowania. Już bez cienia żartobliwości powiedział:

- Jeśli tak, jeśli coś w tym jest, proszę powiedzieć, co.

- Czarownice poznaje się nie tylko po tym, że są piękne - powiedziała Monika.

Jeszcze bliżej przysunęła się do asystenta. Jonas pojął, że whisky na nią podziałała, nie była wprawdzie pijana, tylko podniecona i gadatliwa. Zachciało jej się zagrać rolę femme fatale, chętnie by jej w tym przeszkodził, ale już było za późno. Tajemniczo ciągnęła dalej:

- Czarownice uprawiają rozpustę z diabłem, panie asystencie. Dlatego powinna iść na stos... Czarownica przybrała jej postać, a diabeł postać mego ojca...

Powiedziawszy to, pożałowała chyba. Roześmiała się, zmieszana, odchrząknęła, skrzywiła się.

- Chodźmy już - powiedziała. - Już mnie to dopalające się miasto nie obchodzi. Słuchaj, Jonas, czy pan nie mógłby nam towarzyszyć? Jedno miejsce przy naszym stoliku da się chyba załatwić.

Jonas zaciął zęby. Nie sprzeciwił się jednak. Rozumiał, że Monika po tym, co zrobiła, nie chce z nim zostać sam na sam, i słusznie, bo nie powstrzymałby się od skrzyczenia jej. Odwrócił się od wciąż jeszcze płonącego jasno ogniska. Ogień huczał, trzaskał, rakiety iskier wystrzelały pod niebo i zamierały w różowo po brzegach zabarwionej chmurze dymu. W miarę jak zbliżali się do gospody - parominutowy zaledwie spacer - cienie przed nimi wydłużały się, by zniknąć w mroku.

- Szampana - powiedział Jonas zwracając listę win Włochowi, który odnotował zamówienie nie zaszczyciwszy Jonasa spojrzeniem.

- Gatunek?

- Wdowa. Przewidziana była na jutro. Chyba i dziś będzie odpowiednia.

- Kurczęta i Veuve Cliquot, do sandwiczów nic, tylko szampan, od razu.

Włoch odszedł lawirując między stolikami. Dużo osób już było, choć jeszcze nie komplet. Salę wypełniała wrzawa, mieszane urywki rozmów, muzyka płynąca z głębi. Jonas rad był, że nie siedzą w sali, gdzie znajduje się orkiestra. Przyjrzał się sąsiednim towarzystwom. O kilka stolików dalej siedział Borys z Sylwią. Sylwia śmiała się głośno, Borys gestykulował, starał się ją o czymś przekonać, jego zwykle ziemistoszara twarz pojaśniała i poweselała. Wsunął palce za kołnierzyk, jakby go cisnął. Muszka zjechała mu w bok. Sylwia ją poprawiła.

- Kuzynek Borys jest w formie, można powiedzieć - zwrócił się Jonas do Moniki, potem po zastanowieniu rzekł do Durella: - Dziękuję za dowód.

Durell szeroko otworzył oczy.

- Dowód czego?
- Tego, że nie jest pan służbowo. Przypuszczam, że policjanci w godzinach służbowych nie mogą pić szampana.

Okragłą twarz Durella rozjaśnił uśmiech.

- Policjanci w ogóle nie mogą pić szampana. Nie stać ich na to. Miał mi pan coś do powiedzenia o czarownicy, panie Kellen. Wydało mi się, że to może być interesujące.

- A więc jednak służbowo - westchnął Jonas.

Trzeba będzie opowiedzieć. Każdej ze stron zależy na tym, by sprawiedliwości stało się zadość, a sprawiedliwość w swym biegu nie podepce jego rabatek. Można jednak było z tym poczekać do chwili bardziej odpowiedniej. Moniki wina, powinna być cicho. Tylko że ona miała do tej sprawy zupełnie inny stosunek niż on sam. Gdy ją wtajemniczył, śmiała się i powiedziała tylko: Kto się wdrapuje na drabinę Jakubowa, sięga w końcu nieba, może być świadkiem niebiańskiej szczęśliwości. Może dla niego raj to mieć bat w rękę. A ona? Też miała szczęście w rękę, przecież trzymała plik banknotów. Potem znowu się uśmiechnęła i dodała: A może nie tylko w rękę, skąd możemy wiedzieć, za czym kto przepada. Dostrzegł spojrzenie Moniki, chciała, żeby opowiedział. Zrobił to, a Durell nie zareagował w sposób godny wzmianki. Jonas poczuł się sprowokowany do powiedzenia czegoś, co by mu zjednało choć odrobinę uznania. Kategoriecznie stwierdził, że na drabinę wdrapał się Włoch - jednocześnie uderzyła go myśl, że drabina Jakubowa może prowadzić i w dół, do piekła, czy w ogień czyścowy. W każdym razie Włocha może tam zaprowadzić. Durell kryjąc uśmiech za serwetką spytał: - Czy to ten, który podaje przy naszym stoliku?

- Tak.

- A jej tu nie ma. Poszła do domu?

Jonas roześmiał się i potrząsnął głową.

- Nie wydaje mi się, żeby chciała sama siedzieć w knajpie, a przyprowadzić kogoś ze sobą nie miałaby odwagi, akurat tu, gdzie jej chłopak jest kelnerem. Siedzi pewnie w swoim pokoju i przegląda pisma ilustrowane.

- Tak myślisz? - powiedziała pogardliwie Monika. - W wieczorowej sukience. Zresztą może. Pewnie uprawia ekshibicjonizm przed lustrem albo czeka, aż Vincenzo będzie wolny.

- Ten Włoch? - upewnił się Durell.

- Tak.

Jonas sięgnął po papierosa, Monika natychmiast wyciągnęła rękę, więc wyjął drugiego dla siebie, zapalił oba. Chwilę milczeli. Borys robił się coraz hałaśliwszy. Podano im sandwicze, piwo, wódkę. Borys trącał się z Sylwią i opróżniał kieliszki do dna, gwałtownie przechylając głowę i wycierając potem usta wierzchem dłoni. Najwyraźniej upił się. Jonasowi śmiać się chciało - głosów teraz nie słyszy, jeśli to ma być jego nowa droga, nie jest wcale purytańska.

Włoch torował sobie drogę do ich stolika, pyszałkowato balansując tacą opartą na lewej ręce, prawą przytrzymał zmatowiałą od zimna kubeczek z lodem, z którego wystawały wąskie zielonkawe szyjki butelek w srebrzystych staniolowych kapturkach. Nonszalancko postawił na stole butelkę i tacę, rozłożył kanapeczki z homarem, rokforem, rzodkiewkami, gęsim paszтетem, winogronami, krążkami jajka, czarnym kawiozem. Znowu chwycił butelkę i przesunąwszy ją Jonasowi pod nosem, wysadził korek, zapieniło się w otworze i strumyk spłynął w kieliszki Moniki, Durella, na końcu Jonasa. Vincenzo ulotnił się, Borys ich zauważył. Wstał z kieliszkiem w ręce. Sylwia usiłowała go zatrzymać, ale nie udało się, ruszył ku ich stolikowi. Stanąwszy za Durellem pochylił się nad jego rudą czupryną.

- Skål! - krzyknął. - Na cześć wiecznej wiosny.

Zorientowawszy się, że Sylwia z nim nie przyszła, odwrócił się i zaczął ją przywoływać machaniem.

- Sylwia, chodźże tu na toast! Nie słyszysz?

Podeszła udając obojętność.

- Upiłeś się, Borys - powiedziała. - Nie rozrabiaj, bo cię wyrzucą.
- Usiłowała śmiać się, ale była zgnębiona.

- Nie jestem pijany. Jestem wesoly jak ptaszek rano. - Znowu pochylił się nad Durellem i zajął mu w oczy. - Ale ładnie śpiewałeś. Ja cię widziałem. Kto ty jesteś, u diabła? Gdzieś już cię widziałem. Jesteś z Lund, co? Studiujesz, co? A co mi tam. Mój diadzia samych czestnych prawit, umiesz po rosyjsku...

Zatoczył się, nogi się pod nim ugięły, ale szerokim ruchem wrócił jakoś do równowagi.

- To Puszkina. Słyszysz, co mówię? Puszkina. No, słyszysz?

Jonas poczuł wzburzenie. Trącił pod stołem Monikę i szepnął: - To twój kuzyn, nie mój. Spróbuj się go pozbyć.

Borys usłyszał.

- Pozbyć mówisz, żadnego pozbywania się. - Postawił na stole swój pusty kieliszek i sięgnął po ten, który stał przed Durellem. - Skäl, powiedziałem! - Wypił, odstawił. - Tu pusty kieliszek i tam pusty kieliszek i butelczyna pusta... - zaplątał się na moment. - A wiesz, jak to się kończy? Ten wiersz jak się kończy? - nacierał na siedzącego z nieodgadzionym uśmiechem Durella.

- Owszem, wiem.

- Wiesz, aha, wspaniale... Kągda, że czort wezmioł ciebia... a wiesz, co to znaczy, że niech cię diabli wezmą, znaczy mój diadzia... mój wujek znaczy... niech go diabli wezmą. - Spreżył się nagle jak dzikie zwierzę przed skokiem. - A starego Vadego diabeł w końcu porwał... cha, cha, cha!

Przy najbliższych stolikach ucichło. Śmiech Borysa zabrzmiał nie

ludzko jakoś, przeraźliwie i głucho jak uderzenie w bęben. Zaraz potem jakby uszło z niego powietrze. Ręce mu opadły, broda też, kolory zniknęły, twarz zbielała jak płótno.

Durell odwrócił się na krześle i spojrzał na niego łagodnie.

- Ach tak, więc to diabeł zabrał Vadego?

Borys przytaknął niechętnie.

- Pewnie. Przecież nie Jezus.

- Nienawidziłeś go. Cieszysz się z tego?

Borys znowu przytaknął.

- Pewnie, że go nienawidziliśmy. - Krew wróciła mu do twarzy. -

Ja go chciałem uśmiercić własnymi rękami. Matka chciała go uśmiercić... najgorętsze życzenia. A on tam siedział i śmiał nam się w twarz.

Durell zerwał się z szybkością łasicy.

- Gdzie?

Borys nie zauważył gwałtowności tej reakcji. Przyglądał się Durellowi z tępyim zdziwieniem, które przeszło w chytry uśmieszek.

- Słuchaj no - powiedział. - Kim ty właściwie jesteś? Ty nie jesteś z Lund.

- Jestem policjantem - oznajmił Durell oschle. - Porozmawiamy, kiedy pan wytrzeźwieje.

Borys uśmiechnął się.

- Chcesz powiedzieć, kiedy superego obejmie władzę. Ale widzisz, superego nie jest już potrzebne, Borys dziś ma władzę, a gdybyś wiedział, co to znaczy...

Twarz mu coraz bardziej czerwieniała, ręką zatoczył szeroki krąg. Gwar na sali wzmógł się, powrócił do poprzedniego nasilenia, dym gryził w oczy, muzyka grała forte, więc i Borys coraz bardziej podnosił głos i wydawało się to zupełnie naturalne.

- Wyrównanie! - wołał. - Borys rządzi, wszystko może się zdarzyć. Chodź, kochanie. - Chwycił Sylwię i ciągnął ją z sobą, ale wyswobodziła się z roziskrzonymi oczami.

- Idź stąd! Nie chcę cię widzieć, póki nie wytrzeźwiejesz. Słyszysz, wynoś się!

Spojrzał na nią ze zdziwieniem, które przeszło w szyderczy grymas.

- Jak chcesz, kochanie. Borys sobie pójdzie. Idiot, tak dumał młodoj pawiesa...

Wyprostowany, z uśmiechem wyższości wyszedł z gospody. Durell usiadł.

- Młody człowiek, który za dużo naczytał się Freuda. Miejmy nadzieję, że do tego sprowadza się prawda.

- I za dużo wypił - lakonicznie stwierdził Jonas. - Marzyciele nie powinni brać wódki do ust. - Dostrzegł Vincenza zmierzającego w ich stronę z nowym ładunkiem tac. - Zapomnijmy o tym, jeśli się nie mylę, kurczęta są w drodze.

O jedenastej Jonas poprosił o rachunek. Monika protestowała, ale Jonas nie był zadowolony z wieczoru. Żywił nadzieję, że, będzie mieć Monikę wyłącznie dla siebie. Wprawdzie asystent wcale nie okazał się nudnym towarzyszem, bawił ich opowiadaniem historyjek z interesującego kręgu, który reprezentował, był jednak piątym kołem u wozu, w dodatku Jonas przez cały czas doznawał uczucia, że tamten tylko czyha na jakieś nieostrożne słowo. Borys ładnie się urządził, podłożył się po prostu na szczegółowe przesłuchanie. I z Almy robiąc ofiarę za jednym zamachem. On zaś, Jonas, podsunął mu Ritę i Włocha, równie bezbronnych jak te kurczęta na półmisku. Choć przecież ich obecność w tym menu była jeszcze bardziej wątpliwa. Służbowo czy prywatnie, policjant wciąż miał się na baczości, szampana nawet nie skosztował, może dlatego że Borys pił z jego kieliszka. Gdyby Sylwia z nimi została po odejściu Borysa, gra byłaby bardziej wyrównana, ona z policjantem, on z Moniką, ale na czwartą osobę przy tym malusińskim stoliku naprawdę nie było miejsca.

Wreszcie zjawił się Włoch z rachunkiem na srebrnej tacce. Jonas rzuciwszy okiem wyjął dwie setki z portfela. Durell powstrzymał jego rękę.

- Ja płacę za siebie, panie Kellen.
- Tego by brakowało. Przecież myśmy pana zaprosili.

Durell zaprotestował wydobywając jednocześnie z kieszeni zwitek banknotów i odliczając pięć dziesiątek.

- Mowy nie ma. Państwu zawdzięczam miły wieczór, a koniec końcem noc Walpurgi i policjanci powinni jakoś uczcić. - Rozeźmiał się szeroko podsuwając pieniądze.

Jonas nie certował się dłużej. Wsunął je do kieszeni, a setki wręczył Vincenzowi, który wydał resztę, a banknoty eleganckim ruchem przełożył do swego portfela.

Jonas wstał.

- Chodź, kochanie, wracamy. Zobaczysz, Anna jest dostatecznie zgnębiona, żeby urządzić tańce. Tego mi przez cały wieczór brakowało. I żeby cię trzymać w ramionach.

Durell postanowił wypalić jeszcze cygaro przed opuszczeniem gospody. Przywołał kelnera i poprosił o Willema II. Wsunął rękę do kieszeni, by przygotować drobne monety na zapłacenie, i natrafił na podłużny przedmiot. Fifka starego, pomyślał gniewnie i wypuścił ją z ręki na rzecz jednokoronówki. W tejże chwili zaskakujące wspomnienie pojawiło się w jego pamięci, fifka do papierosów, a stary przecież palił cygara. Jak to ona powiedziała, ta ciekawska właścicielka trafiki: „zawsze u mnie kupował cygara”. Jeden błysk myśli i zobaczył przed sobą pewną możliwość, być może niebywałą okazję, a raczej cudowną szansę, a najwłaściwiej określając chytry chłopski podstęp. Schylił się, spojrział na podłogę, jakby coś potracił nogą i chciał zobaczyć, co. Potem wyprostował się i trzymając w dwóch palcach fifkę powiedział przyjaźnie:

- Niech pan spojrzy, ktoś to zgubił.

Włoch zmarszczył czoło i uważnie przyjrzał się fifce.

- To moja. Rzeczywiście już po południu zauważyłem, że jej nie mam...

Durell z uśmiechem przechylił głowę na bok.

- Ma pan szczęście. - Udał, że ogląda. - Tu są nawet inicjały.

- Tak. W. Vincenzo Vellini. Moja fifka. Musiałem zgubić, kiedy tu nakrywałem.

- Ma pan szczęście. - Podał fifkę Włochowi. - Niech mi pan przyniesie cygaro, a ja przez ten czas zatelefonuję. - Wręczył mu zapłatę. - Bo chyba jeszcze nie zamykacie, można posiedzieć?

- Nie zamykamy. Położę cygaro na stoliku.

Durell wolno poszedł do hallu i zapytał portiera, gdzie jest telefon. Portier wskazał kabinę, Durell wszedł i starannie zamknąwszy drzwi nakręcił numer. Po kilku sekundach odezwał się sygnał.

- Proszę dyżurnego.

- Chwileczkę.

Czekając przyglądał się swoim paznokciom.

- Halo, dyżurny.

- Durell. Przyślijcie samochód i dwóch ludzi po cywilnemu. Ulriksdal, gospoda.

Trwało to kwadrans. Durell czekał w drzwiach. Gdy przyjechali, polecił im zostać w wozie, a sam wrócił na salę. Zamienił parę słów z kierownikiem, potem lawirując między stolikami podszedł do Włocha.

- Vincenzo - powiedział cicho. - Będzie pan uprzejmy pójść ze mną.

Włoch szeroko otworzył oczy, taca, którą miał na ręku, zachybotała.

- Ja? Teraz?

- Tak. Domyśla się pan, że jestem z policji. Proszę oddać tacę. -

Odebrał mu ją sam i wręczył przechodzącej właśnie z pustymi rękami kelnerce. Potem dyskretnie położył rękę na ramieniu Włocha, jakby byli przyjaciółmi: - Pójdziemy, Vincenzo. Porozmawiamy sobie.

Jeden z policjantów stał w pogotowiu i otworzył im drzwiczki. Zajęli tylne miejsca. Vincenzo nie protestował, nie zadawał pytań, choć jego twarz była jednym niewypowiedzianym pytaniem. Czekał, aż Durell zacznie.

- Pan dobrze mówi po szwedzku, zupełnie płynnie. I rozumie pan z pewnością dobrze. No więc, lubił pan dyrektora Vadego?

- Ani jedno, ani drugie. Ja nic z tego nie kapuję. A czy to jest prawne, co? Dlaczego ja tu siedzę, co?

- Spokojnie - powiedział po ojcowsku Durell. - Dostałem od kogoś cynk.

Włoch podskoczył jak ukąszony.

- Rozumiem, Jonas Kellen. Nakładł panu łągarstw w ucho. A ja jak mówię, to mówię, że nie, to wszystko kłamstwo. Dziś rano go objechałem, bo nie chciałem zostawić w spokoju mojej dziewczyny, tego nie znoszę. On się w niej kocha, pan rozumie, co?

- Nie sądzę - powiedział Durell. - Jest ze swojej zupełnie zadowolony. Zresztą ten cynk miałem od kogo innego. Czy pan wie, że stary Vade się z nią zabawiał, z pana dziewczyną, na swój sposób?

Vincenzo pobladał z oburzenia.

- To łągarstwo, słyszycie, łągarstwo.

- Nie sądzę. Pytam tylko, czy pan o tym wie. Bo jeśli tak, byłbym skłonny uwierzyć, że to pan go sprzątnął. Proszę odpowiedzieć.

- Nic nie powiem. Faszystowskie sposoby mnie nie zmuszą, że bym coś powiedział. Co pan sobie myśli, faszystowski pacholek, co!

- Możemy właściwie ruszyć, co - powiedział Durell mimo woli naśladowując styl Vincenza. - To, co pan tu powiedział, wystarczy na

przetrzymanie pod kluczem przez noc. Jeżeli nie będzie pan stawiać oporu, bo pan lubi na siłę, co...

Vincenzo zmiękł odrobinę.

- Wcale nie lubię siłę. I nic więcej nie powiem. Słyszysz pan, proszę bardzo, może mnie pan zawieźć, gdzie się panu podoba. Ale niech pan nie myśli, że ze mnie można wydusić coś, jak ja o niczym nie wiem.

Durell westchnął.

- Do końcowej stacji, chłopcy.

Samochód ruszył, okrążył podjazd przed gospodą, światła reflektorów przesuwają się po drzewach i zaroślach, nagich jeszcze, z nierozkwitłymi pączkami. Jakaś przytulona do siebie para całowała się. Oskoczyli od siebie, gdy światło na nich padło, przez chwilę ich twarze wystąpiły wyraźnie w jasnym kręgu, potem znowu zapadła nad nimi przyjaźnie ochronna kurtyna ciemności. Durell znowu skierował spojrzenie na Włocha.

- Zamordował pan Vadego - powiedział cicho.

- Cha, cha, cha! Ale pan dowcipny.

- Pobił go pan śmiertelnie za to, co robił z pana dziewczyną.

- O niczym nie wiem.

- Kazał pan dziewczynie zadzwonić do niego, umówić się na spotkanie w mieszkaniu przy Roslagsgatan, u architekta Synneusa. Vade miał klucz. Pewnie pana dziewczyna mu to załatwiła.

Włoch kręcił się niespokojnie.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- A potem go pan obrabował - ciągnął Durell nieubłaganie. - Mogę zobaczyć pański portfel?

Włoch już cały dygotał. Wyciągnął portfel, który Durell szybko skontrolował.

- Dużo w nim pieniędzy, Vincenzo.

- Pańskie też tam są. W noc Walpurgi może być dużo pieniędzy w portfelu kelnera. Nie moje. Tylko portfel mój.

- Aha, portfel jest pana. Może i tak. A ta fifka też pana, prawda?

Włoch potwierdził z wyraźnym strachem.

- Uśmieje się pan pewnie, dowiedziawszy się, że wcale jej nie znalazłem w gospodzie na podłodze, tylko w tym mieszkaniu, o którym mówiłem. Tam ją pan zgubił, Vincenzo. No, może teraz pan coś powie.

- Ja nic nie wiem. Pan nic nie udowodni. - Zacisnął ręce, chwilę wyłamywał palce, potem znieruchomiał i zaczął wpatrywać się w szybę przed sobą.

- No cóż, odłożymy to na później - powiedział Durell trochę zawiedziony. Oparł się wygodnie i też spojrzął w okno. Te dwie twarze. Ta młoda para, której natrętny reflektor przerwał pocałunek, któż to był? Adwokat Bengt Ahlgren, a dziewczynę też poznał. Sekretarka dyrektora Vadego, panna Nilsson. To ona tak wygląda w życiu prywatnym. Że też tych dwoje łączy podobnie bliska znajomość.

IX

Jonas i Monika wolno zbliżali się do domu. Na pierwszym piętrze było widno i muzyka taneczna płynęła stamtąd w noc mieszając się z dochodzącymi z gospody strzępami melodii. Na parterze było ciemno. Na drugim piętrze też. Stojący na wzgórzu dom wyglądał jak stare upiorne zamczysko, przepasane wpół wstęgą ognia. Monika drżała z zimna i tuliła się do Jonasa. Byli już- na podjeździe, tam gdzie prowadząca środkiem ścieżka przechodziła w szerokie stopnie. Na pierwszym z nich ktoś stał. Zauważyli to dopiero znalazłszy się tuż obok. Wysoka, ciemna postać, w szalu narzuconym na ramiona, z rękami zaciśniętymi na piersi, z bladą twarzą, oczyma wpatrzonymi w ciemność.

- Alma - szepnęła Monika. - Dlaczego nie jesteś ze wszystkimi? Przestraszyłaś mnie.;

- Gdzie Borys? - Na swój sepleniący sposób przeciągnęła s, przez co pytanie zakończyło się sykiem.

- Wyszedł już dawno. Zaglądałaś do jego pokoju?

- Nie. Czekałam w oknie. Nie wrócił do domu. Myślałam, że jest z wami.

- On był z Sylwią.

- Sylwia wróciła. Jest na górze. Tańczą tam. Tańczą w domu żałoby. - Odetchnęła głęboko i dodała: - Czy on się upił?

- Może trochę. Zupełnie trzeźwy nie był. Deklamował rosyjskie wiersze. Co zrobiło pewne wrażenie na policjancie.

- Policjancie! To policja tam była?

- Tylko ten mały, piegowaty, wiesz.

Alma Shonborg mocniej otuliła się szalem. Po kilku sekundach znieruchomienia powiedziała:

- Jutro wyjeżdżamy... to wszystko musi... to nas nie obchodzi. - Sepleniące s spływało w ciemność.

Jonas doznał nagle uczucia, że Alma jest jak osaczone, zagrożone zwierzę, które chce się wydostać.

- Mnie się wydaje, że policja będzie chciała i z panią porozmawiać, nim pani wyjedzie. Chociaż nie wiem, może wszystko się jakoś wyjaśni.

Wolno odwróciła głowę i spojrzała na niego badawczo.

- Dlaczego policja miałaby chcieć?

- Borys panią zdradził.

- Mnie.

- Oboje państwa. Powiedział, że państwo widzieli śmierć pana Vadego, że państwo... no...

- Ależ on był pijany.

- Mocno wstawiony - bezradnie powiedziała Monika, jakby ujawniono coś, o czym chciała zapomnieć.

- A o głosach?

Jonas spojrział pytająco.

- Nie rozumiem.

- Czy mówił o głosach, które mu nakazywały, żeby... żeby...

- O głosach nie wspomniał - szybko powiedziała Monika. - Nie pójdziemy na górę?

Alma Shonborg potrząsnęła głową.

- Wy idźcie. Ja muszę go znaleźć. Pójdę go szukać na wybrzeżu, może tam poszedł ogrzać się przy ogniu.

Wymięła ich i cicho zniknęła w ciemności. Monika chwyciła Jonasa za ramię.

- Alma, zaczekaj na nas! - zawołała. – Pójdziemy z tobą.

Zbiegli po pochyłości ścieżki i dogonili ją tuż przy drodze. Nie przystanęła, ale dołączyli i razem ruszyli nad morze. Noc była ciemna, niebo zaciągnięte chmurami. Tylko przydrożne latarnie na dość rzadko rozstawionych słupach dawały światło wystarczające, by nie stoczyć się w rów. Wille wzdłuż drogi wydawały się puste, wyludnione. Ich ciemne zarysy występowały od czasu do czasu z czerwonozłotej mgielki, która jeszcze rozsnuwała się w powietrzu. Zeszli na wybrzeże. Alma przystanęła, jakby oczekując, że usłyszy kroki Borysa na moło lub na ścieżce wiodącej do kaplicy i dogasającego ogniska. Potem ruszyła w ciemność bez wahania, jakby droga przed nią rozciągała się w pełnym dziennym świetle. Monika i Jonas za nią. Doszli aż do stajen i skęcili na lewo w aleję. Często przystawali nasłuchując. Dochodzili właśnie do starego teatru, gdy na parkingu pod gospodą zapaliły się reflektory i jakiś samochód ruszył w ich kierunku, ale skęcił na drogę do miasta. Monika trąciła Jonasa.

- Widziałeś?

Spojrzał na nią zmieszany.

- Czy co widziałem?
- Ten samochód. To był wóz policyjny. Ten tajniak w nim siedział.

- I co z tego? Widać i on miał dosyć festynu.

- Ale nie był sam. Ktoś przy nim siedział.

Alma ożyła, wyciągnęła ku niej głowę.

- Borys? - spytała głosem, który zabrzmiał jak wiatr na pustkowiu.

Monika potrząsnęła głową.

- Nie. Zdaje się, że ten Włoch, Vincenzo.

- Czy aby się nie mylisz? - powiedział niedowierzająco Jonas.

- Jestem zupełnie pewna.

- A więc nie Borys - szepnęła Alma. - Chodźcie, musimy go odszukać.

Zawrócili w kierunku stajen. Lampy przydrożne kołysały się wolno, poruszane wiatrem, rzucając przyćmione światło na bielone ściany. Droga do pralni pogrążona była w ciszy. Nagle Alma zatrzymała się i jak ptak wyciągnęła cienką szyję. Potem chwyciła Jonasa za ramię.

- Słyszę go - szepnęła.

W tejże chwili i Jonas usłyszał. Coś się poruszało na dziedzińcu za stajniami. Ktoś jakby tam biegał szybkim, drobnym krokiem. I nagle Borys wysunął się zza narożnika w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów. Nie widząc ich szedł wzdłuż ściany. Gdy mijał latarnię, zobaczyli jego twarz, wykrzywioną, z oczyma wbitymi w ziemię, podbiegł i wyrzucił nogę, jakby chciał kopnąć ścianę, ale poniechał tego i szedł dalej, odsunawszy się od ściany. Podskakując dziwnie, zmierzał wprost na nich, wciąż wpatrzony w ziemię, od czasu do czasu podnosząc nogę jak do kopniaka. Wreszcie zobaczyli. Przed nim biegł szczur - duży szary szczur, miał tylko kilka metrów wyprzedzenia. Nagle ich dostrzegł. Skurczył się, znieruchomiał, tuż pod latarnią,

Borys go dopadł, stał z zastygłym na twarzy grymasem, krawat miał rozwiązany, kołnierzyk rozpięty, uniósł nogę, mierząc w zwierzątko obcasem. Szczur poczuł śmiertelne niebezpieczeństwo, zakręcił się, stanął na tylnych łapkach, otworzył pyszczek, ukazując długie, żółte zęby, i pisnął, pisnął jak oszalały ze strachu ptak. Borys drgnął, obronnie wyciągnął rękę i cofnął się z szeroko otwartymi oczyma. Szczur znowu skulił się i niby żywy kamień stoczył w rów, zniknął.

Ramiona Borysa opadły, wzrokiem gonił zwierzątko. Słyszeli jego zadyszany oddech. Alma chwyciła się za gardło, udało jej się wykrztusić jego imię: - Borys. - Drgnął, wreszcie ją zauważył i wpił w nią spojrzenie. Potem podszedł cicho i posłusznie jak sztubak. Jonas widział, że drży cały. Zamknął oczy i powiedział:

- Chciałem go zabić. Słyszałaś, jak krzyczał.
- Uspokój się, chłopcze.
- Krzyczał zupełnie tak jak stary. To był on. Wyszedł spod mostu na kładkę.

Alma chwyciła jego konwulsyjnie poruszającą się rękę.

- Co tam robiłeś?
- Chciałem zobaczyć miejsce, gdzie umarł. Dziś mam odwagę, bo piłem. A on wyszedł z wody prosto na mnie. To stary, mammo. Chciałem go jeszcze raz zabić, słyszysz, zabić raz na zawsze tam za stajnią, w ciemności, ale mi się wymknął na dziedziniec i wy dostał się, znowu id zapanowało nad ego.

Umilkł, stał zgarbiony.

- Odprowadzimy cię do domu - powiedział Jonas. - Jesteś pijany.

Borys teraz dopiero zauważył Jonasa i Monikę. Skurczył się, przyjął postawę obronną, jakby się spodziewał ataku, potem jednak roześmiał się, odprężył.

- Zaprowadzicie do domu. Dziękuję, sam trafię. Nie myśl, że Borys jest pijany, on tylko wyszedł, żeby się zabawić. Noc długa, może

być wesoło. - Odrzucił głowę i wybuchnął śmiechem. Potem spojrzął na Almę i znów mu się twarz zasepiła. - Pójdę do domu. Ale nie z wami. Sam..

Jak wystraszony zając rzucił się w kierunku kaplicy, widzieli go pędem mijającego ognisko, potem pochłonęła go ciemność.

Alma postąpiła kilka kroków, chcąc iść za nim, ale zrezygnowała.

- Wracajcie - powiedziała do Moniki - ja przyjdę później. Trochę odetchnę świeżym powietrzem przed zaśnięciem.

Światło padło na jej twarz, zobaczyli łyzy spływające po policzkach.

Wolno poszli wzdłuż wybrzeża. Przenikliwy chłód i rzadkie pojedyncze krople deszczu zapowiadały, bezsłoneczny świt i zimny dzień. Po raz drugi tego wieczoru weszli na szerokie stopnie przed willą. W mieszkaniu Anny otworzyły się właśnie drzwi balkonowe i Anna wyszła w towarzystwie mężczyzny - Ragnara Synneusa. Oparła się o poręcz, zwrócona do nich plecami, słyszeli jej dźwięczny, ciepło brzmiący głos. Zmieniła kostium na czerwoną suknię. Monika przytuliła się do Jonasa. Znowu drżała. Pogładził jej rękę.

- Rozumiem, co czujesz - powiedział poważnie. – Dom żałoby...

Nie wstąpili do bawiących się. Cicho, nie zapalając światła na schodach, weszli na drugie piętro. Monika szła pierwsza, zostawiając za sobą smugę przyjemnego dla nozdrzy Jonasa zapachu perfum. Stała pod jego drzwiami nasłuchując. W słabym świetle padającym z zewnątrz widział czujny wyraz jej oczu.

- Zdaje się, że Borys jest w domu - szepnęła.

- Zapukamy do niego.

Podeszli do drzwi Borysa i zapukali lekko. Otworzyły się natychmiast i stanął w nich Borys z poczerwieniałą twarzą, miał chyba trudności z utrzymaniem równowagi. Był bez krawata i marynarki, która

wisiała na krześle. Rozpięta koszula obnażała kędzierzawy zarost na piersi.

- Mamy wizytę - zwrócił się w głąb pokoju.

Weszli. Jonas czuł się zażenowany. Nie pchałby się, gdyby wiedział, że u Borysa ktoś jest, ale Monikę wcale to nie spieszyło.

- Wyrzeźwiałeś już - powiedziała.

Zmrużył oczy szyderczo.

- Skąd. Nie, nie jestem trzeźwy. A mam zapas – wskazał na szufladę komody. - Nie stójcie tak i nie gapcie się na nią.

Podbiegł do Rity i otoczył ramieniem jej szyję. i - Czy nie jest urocza? Wyobrażacie sobie, że stała pod drzwiami Borysa i czekała na jego powrót. Jak to miło z jej strony.

Rita uwolniła się.

- Nie wygaduj głupstw. - Dostrzegła zdumienie w ich oczach i czuła się zawstydzona.

- Widziałam, jak wracał, i pomyślałam, że może mu potrzebna jakaś pomoc. Przecież on się wprost otruł.

- Co za troskliwość - powiedział Jonas. - Prędko przybiegłaś, żeby mu pościelić. Nie mogłabyś coś lepszego wymyślić?

- Uważasz, że kłamię.

- Aż się kurzy. Co robiłaś na górze?

- Przecież już mówiłam.

Rita stanęła przy oknie i patrzyła w ciemność, raz po raz sięgała ręką do gardła, nerwowym ruchem, zdradzającym niepewność. Borys usiadł na otomanie, podsunął sobie pod kark żółtą poduszkę i chwilę błędził wzrokiem po pokoju, wreszcie zapatrzył się w złociste włosy Rity.

- Nie, nie, nie ze względu na Borysa tu przyszła. Do kogo innego. A wiecie do kogo? - Przeniósł spojrzenie na Jonasa. - Do starego. Zapomniała, że go już nie ma. Stała pod jego drzwiami i majstrowała w zamku. Oto co robiła. Prawda, Rita?

Rita nie odpowiedziała, a Borys ciągnął dalej:

- Pewnie, ja nic nie rozumiem, jestem pijany, ale jednak, żeby aż tak zapomnieć. Przecież te drzwi zawsze są zamknięte, a ona pod nimi stała i dłubała w zamku. Prawda, Rita?

Roześmiał się, jakby powiedział coś bardzo zabawnego, wyciągnął poduszkę spod głowy i czule przytulił do piersi, jak żywą istotę.

Rita wciąż stała odwrócona do nich plecami. Borys podjął dalej: -

- Zawsze zamknięte. Ja też próbowałem tam wejść, chciałem odebrać coś, co on ukradł, ale do tych drzwi żaden klucz nie pasował. A Rita potrafiła wejść, majstrowała w zamku, rozumiecie. Ona tam była, wiesz, co ona robiła, jak wszedłem na schody, ona nie otwierała drzwi; ona je zamykała. Zamykała, myślała, że jestem pijany i nic nie zauważę. Przestraszyłaś się, gołąbko, jak powiedziałem, że wszystko widzę.

Roześmiał się brzydkim, gulgocącym śmiechem, wstał, wciąż z poduszką w objęciach. Nagle zwrócił się do Jonasa.

- Myślisz, że nie słyszałem, jak wy po schodach wchodzicie. Jeden stopień trzeszczy, już byś się mógł nauczyć i omijać go. Jeszcze nie koniec, wiesz, co ja zrobiłem? Zabrałem ją do mego pokoju. Wcale nie protestowała. Myślę, że ktokolwiek by ją zabrał do swego pokoju, ona by nie protestowała. Prawda, Rita? Co z ciebie za dziewczyna! - Opuścił ręce, poduszka, którą trzymał za róg, zwisała jak walizka.

- Wydostałem to z niej. Odebrałem jej klucz. Ale by się wszyscy dziwili, gdyby wiedzieli, że piękna Rita ma własny klucz do mieszkania starego. Pewnie by pytali, co tam miała do roboty, po jego śmierci. Tak mi się wydaje.

Sięgnął do kieszeni i wyjął klucz.

Monika, która przez cały czas przyglądała mu się w milczeniu, teraz powiedziała:

- Wiemy, że Rita ma klucz od mieszkania tatusia. Nic w tym niezwykłego. Rita tam sprzątała, rozumiesz? Nigdy nikogo nie wpuszczał, ale ktoś tam musiał sprzątać.

Minęła dobra chwila, nim rzecz dotarła do zamroczonego alkoholem mózgu. Wreszcie zrozumiał.

- Sprzątała, to znaczy, że zwyczajnie dostała klucz. Aha, i myślisz, że Borys znowu nic nie rozumie.

Ważył klucz w ręce, potem podszedł do Rity i powiedział obojętnie:

- Weź go sobie. Źle zrozumiałem. Wybacz.

Rita porwała klucz i triumfująco spojrzała na Borysa.

- Nauczysz się może nie wtykać nosa w cudze sprawy. Przepraszam, ale ja już pójdę.

- A dlaczego dałaś mu ten klucz? - spytał Jonas.

- Zabrał mi. Zaciągnął mnie i groził, że będzie mnie bił, jeżeli mu nie dam. A jak mu dałam, groził, że pobije mnie, jeżeli... no, wszystko jedno. Dobrze, żeście przyszli.

- A ty...

- Nie, wszystko jedno. Pójdę.

Jonas podszedł do drzwi i demonstracyjnie zagroził jej drogę.

- Jeszcze nie pójdziesz, Rita. Może nam wyjaśnisz, co robiłaś w tamtym mieszkaniu. Chyba nie powiesz, że przyszłaś tam posprzątać.

- Głupstwa gadasz, puść mnie.

- Wiesz, że Vincenza zabrała policja?

Zachwiała się, jakby ją uderzono. Zbladła, otworzyła usta, złapała oddech, potem roześmiała się niepewnie, patrząc na niego, jakby z nadzieją, że się przesłyszała.

- To nieprawda.

- Prawda!

- Bujasz.

Zaprzeczył.

- Dlaczego?

- Będzie mieć okazję, żeby opowiedzieć o tobie, o Vadem i o tym, co on myśli o tej sprawie.

- To nieprawda. - Spojrzała na Monikę i już nic kociego nie było w tym spojrzeniu, były tylko niebieskie, wystraszone oczy.

Monika kiwnęła głową.

- Vincenzo, nie, nie...

- Co robiłaś w tamtym pokoju?

- Nie wiem... nie.

- Musisz wiedzieć, Rita.

- Musiałam mu pomóc. Czy tego nie rozumiecie?

- Więc co tam robiłaś?

Rita nagle zgasła, stała się małą, przerażoną dziewczynką nie mającą już siły do walki.

- Położyłam portfel na nocnym stoliku. Jonas szeroko otworzył oczy.

- Portfel? Jaki portfel?

- Jego. Przestań wreszcie. Nie wszystko jedno? Puść mnie.

Wcisnęła się pod ścianę i dostała do drzwi, nie zdążył jej przeszkodzić, wymknęła się na schody jak wystraszony kociak. Jonas spojrzał na Monikę, na Borysa, był ogromnie zdumiony, ale jeśli od nich oczekiwał odpowiedzi, spotkał go zawód. Monika stała bezradnie, Borys znowu opadł na otomanę nie wypuszczając z objęć poduszki. Wyglądał na nieobecnego. Pustka, pomyślał Jonas, uczucie pustki, obrabowano go z czegoś, co zdobył. Do czego też posunąłby się Borys, gdyby nie zapukali do drzwi i nie weszli tu, na myśl o tym Jonas poczuł przypływ agresywnego oburzenia.

- Ależ z ciebie świnią, Borys - powiedział cicho. - Chciałeś ją zmusić, bo udało ci się odkryć, co robiła. To gorsze niż szantaż, bardziej niskie. Może byś przynajmniej opowiedział, co się stało. Dlaczego tu z tobą przyszła, do czego ci to było potrzebne.

- Borys zacisnął usta.

- Ona tam była, kiedy wróciłem do domu. Wszedłem tam tylko i zabrałem ją.

- Gdzie była?

- W pokoju starego. Stała przy łóżku, trzymała portfel. Gdyby mogła, pod podłogę by się zapadła. Nie jestem głupcem. Poprosiłem, żeby weszła do mnie i wytłumaczyła się.

- Raczej ją tu siłą zaciągnąłeś.

Borys roześmiał się.

- Pan postawił na mojej drodze kobietki dał mi władzę nad nią. Groziła, że będzie krzyzczeć. A ja wiedziałem, że się nie odważy. Zresztą na mojej liście nie ma kobiety. Przypominasz sobie? Nie myśl, że jestem tak bardzo pijany.

- Może i nie. Ale...

Borys powstrzymał go szerokim gestem.

- Widzisz, ja już przedtem miałem z Ritą do czynienia. Ona mi już przedtem w tym i owym pomogła.

- Świnia.

- Wcale nie to, co myślisz. Szukała dla mnie papierków, czworokątnych, ząbkowanych papierków. Przy sprzątaniu ma się duże możliwości.

Borys oparł się o ścianę, zamknął oczy i uśmiechnął się szyderczo.

- Dziecinada, błazeństwo, głupota, nie powinienem pić wódki, źle znoszę. Wiecie, że to, co ukradł, ma w sejfie. Nie można się do tego dostać. A jednak mu groziłem, trząśnię jak galareta, gdy mu podsunąłem pięść pod nos. A potem... wiecie, co on potem zrobił? Splunął mi prosto w twarz i powiedział, że mam się wynosić.

Borys w porywie gniewu cisnął poduszkę w ścianę. Potem wzburzenie w nim opadło, uspokoił się. Błądził wzrokiem po pokoju, twarz mu błądła coraz bardziej. Zaczął ściągać narzutę z tapczanu.

- Idźcie już, położę się.

Monika nie poruszyła się. Znieruchomiła, ze strachem przyglądała się Borysowi, nic nie rozumiejąc.

- Czy ty o tatusiu mówisz? Co ty mu zrobiłeś?
- Nic.
- Powiedz.
- Nic. Nie miałem odwagi. - Skrzywił się boleśnie.
- Ona tu idzie. Nic jej nie mówcie.
- Komu?

Borys nie musiał odpowiadać, bo na progu stanęła Alma. Spojrzała na nich ze zdziwieniem, a potem skierowała wielkie, zatroskane oczy na Borysa, który unikał jej wzroku.

- Pójdziemy, Moniko - powiedział Jonas.

Idąc ku drzwiom widzieli, że Alma siada obok Borysa i kładzie mu rękę na ramieniu. Raz po raz powtarza jego imię sepleniąco przeciągając końcowe s. Borys zaś przygarnia się do niej jak dziecko, a ramiona zaczynają mu się unosić w tłumionym płaczu.

- Chcę spać, przebacz mi, mamó, tak mi ciężko, chcę spać.
- Borys...

X

Vincenzo siedział naprzeciw Durella w jego służbowym pokoju. Była już druga w nocy. Gmach policji był cichy, wymarły. Za oknem panowała zupełna ciemność, hałas uliczny tu nie dochodził, bo pokój był nie od ulicy. Cztery nie najczystsze ściany, linoleum, poczerniały sufit i chmura dymu stanowiły zamknięty, wyizolowany świat, w którym Durell toczył zaciętą walkę z Włochem. Spoglądał na niego zgnębiony, nic nie pomagało, ani przyjacielskość, wielkie gesty, ani krzyki, ani walenie pięścią w stół, ani ostrożne podprowadzanie, poufałość, ani groźenie chlebem i wodą. Durell wyczerpał cały zapas

sposobów, jak dyrygent przed oporną orkiestrą. Słyszał tylko: nic nie wiem, faszystowskie metody. Zwykle mu się udawało, gdy wiedział, co chce wydostać z przesłuchiwanego. Zmiana tonu, pauza, pojedyncze słówko wystarczyło, by w ułamku sekundy pochwycić wystający koniec nitki, która zaczynała się odwijać. Często okazywała się tylko nic nie znaczącym kawałkiem nici, tkwiącym w gmatwaniu, którą musiał mozolnie rozplątywać, by dotrzeć do zamotanych w kłębkach faktów, przebiegu wydarzeń, uczynków ciemnych, póki ukryty głębiej motyw nie rzucił światła na zagadkowość wydarzeń. Durell posiadał zdolność znajdowania punktu zaczepienia i wykorzystywania go. Lecz tego upartego Włocha na próżno atakował. To nie był kłębek, z którego by wystawał koniec nitki, raczej twarda i gładka kula bilaradowa. Durell z westchnieniem spojrzął na Vincenza, a tyle było w tym spojrzeniu smutku, że najbardziej zatwardziałego rozmówcę powinno by zmiękczyć i skłonić do rzucenia mu się na szyję i wyznania wszystkiego. Ale nie, ten siedział jak naburmuszony chłopak i powtarzał swoje „nic nie wiem, zgubiłem” - tylko wciąż wyciągał chustkę i ocierał czoło, sumienie się w nim pocilo. Durell wstał, zapalił nowe cygaro i zakołysał się na piętach, aż wołowoczerwone buty skrzypnęły.

- Proszę posłuchać - powiedział. - Jeżeli chce pan stąd wyjść przed świtem, lepiej wszystko powiedzieć. Co pan robił w mieszkaniu Synneusa?

- Nie wiem, o czym pan mówi, Nie mam pojęcia, skąd mogła się tam wziąć moja fifka.

- Kiedy pan tam przyszedł? Razem z nią czy później?

- Nie wiem, o czym pan mówi. Nie mam pojęcia, skąd tam wzięła moja fifka.

- Pora już zmienić płytę, Vincenzo. Wiedział pan, że ona ma się

tam spotkać z dyrektorem Vade. Poszedł pan tam, żeby ich przyłapać na gorącym uczynku, lepiej się przyznać.

- Nie wiem, o czym pan...

Durell uderzył w biurko.

- Zamordował go pan. Zgniół jak pluskwę. Zawłókł do szafy i czekał na okazję. - Uspokoił się nieco. – Samochód był pewnie z gospody. Furgonetka dowożąca prowiant. Jak się pan dostał do miasta? Furgonetką. Macie furgonetkę?

Włoch kiwnął głową i znowu zaczął monotonicznie jak przez sen:

- Nie wiem, o czym pan mówi, nie mam pojęcia...

- A może go pan tylko ogłuszył. A zbrodnię popełnił gdzie indziej, w samochodzie, po drodze, przed wrzuceniem go do rzeki. Jeżeli pan nie powie, porozmawiamy z kim innym. Ona będzie może rozmowniejsza.

Włoch nagle roześmiał się histerycznie. I wykrzyknął wprost przed siebie, nie do Durella, a w ciemno połyskujący prostokąt okna:

- Ja go nie dotykałem. Tysiąc razy pan to mówił. Pan nic nią wie. Szeptał pan i krzyczał, groził i prosił. Może mnie pan zacznij bić, co! Wydusi to ze mnie, co! A ja nie wiem, o czym pan mówi, i nigdy nie będę wiedział, i nigdy nie powiem...

Durell zmrużył oczy i uśmiechnął się dobrotliwie.

- My takich rzeczy nie robimy. To nie u nas. My ludzi nie bijemy. A jak pan się czuł, kiedy się pan dowiedział, że Vade bije pana dziewczynę?

- Ja nie wiem, przecież już mówiłem.

- Owszem, wie pan, wyśpiewała wszystko, kiedy ją pan trochę przycisnął. Pan jest brutalny i pewnie bardzo zazdrosny.

Vincenzo odpowiedział jakimś nieartykułowanym, zająkliwym dźwiękiem, zaciął zęby i skurczył się, a spojrzenie skierował w blat biurka.

Durell wydmuchnął kłęb dymu. Pora z tym skończyć, odłożyć, trzeba i z nią porozmawiać. W każdym razie ten drugi telefon do dyrektora Vadego przestał być zagadką. Był pewien, że jest wreszcie na właściwej drodze, jeszcze jeden zakręt, a osiągnie cel. Czuł się już zmęczony, wypompowany. Zadzwoił telefon. Sięgnął po słuchawkę.

- Słucham.

- Tu portiernia, dyżurny. Przyszła jakaś kobieta, koniecznie chce z tobą mówić. Pyta, czy ten Włoch jest jeszcze u ciebie.

- Powiedz jej, że owszem. Nie muszę chyba pytać, ma złociste włosy i nazywa się Rita Jansson?

- Zgadza się, posyłam ją na górę.

Vincenzo na dźwięk nazwiska podniósł głowę i spojrzał nienawistnie na Durella, który odłożył słuchawkę z taką energią, że stuknęła triumfalnie.

- Za chwilę tu będzie. Interesujące. W samą porę się zjawiała, bo już nie widziałem innego sposobu, tylko zadysponować pojedynkę na noc.

Policjant z portierni mrugnął na Durella wpuszczając Ritę, ale Durell nie odwzajemnił mrugnienia. Od chwili pojawienia się szykownej pomocy domowej tylko w nią się wpatrywał. Dziewczyna zatrzymała się przy drzwiach, od razu dostrzegła Vincenza.

- Vincenzo - wyszeptła, a on zerwał się i zawołał:

- Nic nie powiedziałem! - Urwał, rozejrzał się z przerażeniem i dodał: - Bo nic nie mam do powiedzenia. Przecież wiesz. Nic nie zrobiłem, nic nie ma do mówienia, co.

Durell cały w uśmiechach, z błękitnie rozjaśnionym spojrzeniem ukłonił się Ricie. Drzwi się zamknęły, dziewczyna, przecząco kręcąc głową, patrzyła na Włocha; Durell chrząknął.

- Zechce pani usiąść - wskazał jej krzesło z poręczami, którego jasno brązowe obicie było równie sfatygowane jak na fotelu zajmowanym przez Vincenza. Rita usiadła, ręce splótła na kolanach i wpatrzyła

się w orientalne wzory linoleum. Durell zauważył, że trzyma coś w rękach.

- Co to pani ze sobą przyniosła, panno Jansson?

Uniosła i położyła przed nim na biurku portfel.

- Jego portfel. Najwyższy czas, żeby go zwrócić.

Włoch zatrząsł się i spojrzał na nią z przerażeniem.

- Rita, nie!

- Ty nie powiedziałaś?

- Nie. I ty nic nie mów.

Ale ona przerwała mu zwracając się do Durella:

- Nie musi pan pytać. Przyszłam tu po to, żeby powiedzieć: to jest portfel dyrektora Vadego. Jest w nim trzysta pięćdziesiąt koron, parę wizytówek, rachunek za taksówkę i nieważny los loteryjny. Nic więcej. Chciałam go położyć na stoliku w pokoju dyrektora i wtedy właśnie dowiedziałam się, że Vincenza zabrali. On nic nie powiedział, żeby mnie bronić. Bo on mnie kocha.

Durell uważnie się jej przyjrzał, potem równie uważnie sprawdził zawartość portfela.

Chyba to portfel Vadego, myślał, pieniądze, kwit na 3,50, akurat za przejazd na Roslagsgatan.

- Czy nic więcej w nim nie było?

- Nie.

- Wolno spytać, jak pani weszła w jego posiadanie?

Stawiając to pytanie, dyskretnie włączył przygotowany do nagrania magnetofon. Chyba żadne z nich nie zauważyło leciutkiego szumu.

- Dostałam od Vincenza, żeby go położyć na miejscu. Bo kiedy się dowiedzieliśmy, że Vade nie żyje, zrozumieliśmy, jakie to niebezpieczne mieć ten portfel. Póki żył, nic nam nie mógł zrobić. Jakie to dziwne, że czasem więcej się trzeba bać zmarłego niż żywego. Zabraliśmy mu portfel z mieszkania architekta Synneusa. Ja u niego pracuję. Mówiłam Vincenzowi, żebyśmy poprzestali na pieniądzach, ale on

koniecznie chciał mieć portfel. Bo taki niezwykajny, widzi pan, zabawny, meksykański chyba. On ma słabość do kolorowych rzeczy.

- A potem zrozumieliście, że brakuje portfela i że bylibyście zupełnie pogrążeni, gdyby nam udało się go u was znaleźć. Pieniądze was znęciły, pieniądze nie śmierdzą.

- Włożyłam je z powrotem.

- Oczywiście. Jak do tego doszło?

Rita poczerwieniała.

- Muszę chyba zacząć od początku. Ja nie zawsze byłam w porządku. - Nabierała rozpędu: - Stary lubił mnie bić, ale właściwie był dla mnie bardzo dobry. Zaczęło się od tego, że pomagałam u państwa Vade w sprzątanii, kilka godzin dziennie. Jestem u Synneusów, ale pani Vade nie mogła znaleźć nikogo do pomocy. Miałam się zająć mieszkaniem pana, odkurzać, zmieniać pościel i takie tam. On nigdy nikomu nie pozwalał do siebie wchodzić, mieszkanie zawsze było zamknięte. Ja miałam własny klucz. Raz był jakiś kiepski, nie poszedł do biura. Przyszłam jak zwykle, sprzątałam, a on patrzył. Sprzątasz, a wygląda, jakbyś tańczyła, powiedział. Lubisz tańczyć? Pewnie, powiedziałam. Zatańcz dla mnie. Roześmiał się, to mi się wydało okropnie głupie. A on wyjął stowę i wsunął mi w rękę. Zatańcz, chcę zobaczyć, jak tańczysz. Co miałam zrobić, ale było mi głupio. A on powiada: Masz klucz, jeśli chcesz trochę zarobić, przyjdź i zatańcz dla mnie wieczorem, moje dziecko...

Zagryzła usta, zmieszana.

- Tak się zaczęło. Tydzień tam byłam, poszłam, bo potrzebne mi było jakieś okrycie, torebka. Jak chciał mi za to dawać pieniądze, co złego, że je brałam.

Rita zawahała się. Ukradkiem spojrzała na Vincenza, ale on patrzył w stół i zdawał się nie słyszeć. Durell przypuszczał, że nie chce słyszeć. Rita podjęła ciszej:

- Ale nie skończyło się na tańczeniu. Chciał, żebym się rozebrała, a on mnie bił paskiem. Prawie nie czułam, bo on nie był mocny i w ogóle. Miałam jednak ślady i Vincenzo zobaczył. Spytał, skąd się to wzięło, a ja powiedziałam, że nie wiem, bałam się przyznać, powiedziałam, że może we śnie tak jakoś się położyłam źle. Przedwczoraj znowu poszłam do starego...

- I ktoś panią zauważył - zachęcająco wtrącił Durell.

- Vincenzo widział, jak weszłam do domu, i wyciągnął z tego wnioski.

- Pan Kellen widział panią, przyłapał też pani przyjaciela na podglądaniu.

Włoch ocknął się do życia.

- Ja nie podglądałem - syknął. - Chciałem, ale nie widziałem, bo do złego okna zajrzałem. Czekałem na nią, kiedy wyszła, i musiała mi wszystko opowiedzieć. Okropnie żałowała, Jezus Maria, jak żałowała.

- Ja nie wiem, co we mnie wstąpiło. Dla pieniędzy tylko i nie bołało właściwie.

- No, a cóż Vade?

- On też miał dostać lanie.

- Musiał zapłacić - wycedził przez zęby Włoch.

- Czyli wymuszenie?

Włoch zerwał się i zaczął wyrzucać z siebie gwałtownie:

- Nie, lanie, tylko lanie. Jakbym był z Sycylii, musiałbym go zamordować, pan słyszy? Zamordować za to, co zrobił z moją dziewczyną,

- I został zamordowany - spokojnie stwierdził Durell.

- Nie przeze mnie. Opowiadaj! - zwrócił się do Rity, celując w nią palcem. - Najgorsze już zostało powiedziane. Teraz możesz opowiadać.

- W nocy sobie wszystko ułożyliśmy. Miałam zadzwonić do niego do biura i umówić się na spotkanie w mieszkaniu Synneusa. On ma kawalerkę przy Roslagsgatan. Miałam powiedzieć, że pani Vade dowiedziała się o tym i musi mi jakoś pomóc, powiedzieć, jak mam to wyjaśnić.

Urwała. Rumieniec z twarzy już ustąpił, tylko szyja jeszcze pałała czerwienią. Chyba przynosiło jej ulgę, że może mówić.

- A więc zatelefonowała pani do biura?
- Tak.
- I dyrektor obiecał przyjść.
- Powiedział, że zaraz. I kwadrans nie minął, a już był. Wpuściłam go. Zdjął płaszcz i kapelusz i wszedł za mną do pokoju. Rozglądał się, jakby się znalazł w skarbcu.

- Przepraszam, czy pani telefonowała z tego mieszkania?
- Oczywiście.
- A pani przyjaciel, Vincenzo?
- Schował się. Bośmy się bali, że jak go zobaczy, od razu sobie pójdzie. Vincenzo był w kuchni.

- Co potem?
- Z początku stary mówił tylko o mieszkaniu. Że nie podejrzewał architekta o drugie mieszkanie. Ja się denerwowałam i już zaczęłam żałować wszystkiego. Czekałam, żeby Vincenzo wyszedł, i bałam się, że go za mocno pobije.

- Ona pana okłamuje - cicho powiedział Vincenzo, który stał trzymając się krzesła, jak uczeń gotów dalej odpowiadać.

- Mówi tak, jakby się na to wszystko zgodziła, a wcale nie, ja ją zmusiłem.

Rita niecierpliwie potrząsnęła głową.

- A jakie to ma znaczenie?

- Co dalej? - spytał Durell.

Vincenzo przejął opowieść:

- Wszedłem do pokoju, stary się zerwał, spytał, co ja tu robię. Powiedziałem, że go zleję. Uch, jak on się bał, dałem mu w pysk. Pewnie, jakby nie Rita, nie miałbym może prawa. Biegał, krzyczał, że dosyć, dosyć, a ja dopiero zacząłem. Ukląkł, prosił, żebym dał spokój.

Mógłbym go w twarz kopnąć, jak klęczał, żeby to nie był taki chuderlak i tchórz. Dawaj pieniądze, powiedziałem, co do grosza, zapłacisz za to. Kwiczał jak prosię, ale portfel wyjął, podniosłem go z podłogi za nos. Posiedzisz za to, skrzeczał, policja się tobą zajmie. Śmiałem się z tego. Tylko spróbuj, powiedziałem, za dużo masz gówna do ukrycia, żebyś pozwolił policji rozgrzebywać. Nie tak powiedziałem, Rita?

- Trząśłeś nim - szepnęła dziewczyna.

Śledziła oczyma każdy ruch mówiącego. Była przestraszona, jakby teraz dopiero pamięć tej sceny w niej odżyła, jakby teraz dopiero rozumiała jego brutalność.

- Tak, potrząsałem nim jak brudną szmatą. A potem rzuciłem go na sofę. Dygotał cały. Wyszliśmy.

Vincenzo nabrał tchu. Odrzucił głowę i wyzywająco spojrzął na Durella.

- Pan by tak samo zrobił, każdy by tak zrobił, jakby był w mojej skórce. Prawda, Rita? Możemy już iść.

- Bez pośpiechu, przyjacielu. A więc wyście wyszli, a Vade został w mieszkaniu.

- Tak. I żył, nic mu nie było, ja go życia nie pozbawiłem. Ja mu tylko dałem nauczkę.

- O której wyszliście?

Włoch spojrzął pytająco na Ritę.

- O której wyszliśmy?

- Byliśmy tam kwadrans, może pół godziny.

- I zatrzymaliście portfel?

- Tak.

- Ja nie chciałam. Mówiłam, że to niebezpieczne. Ale on się tylko śmiał. Potem postanowiliśmy go podrzucić do jego pokoju.

- Kradzież nie była przecież czymś niebezpieczniejszym od pobicia - powiedział nieco ostrzej Durell. - Przecież żył, czy może jednak nie żył?

Rita chwyciła się za gardło, zachłysnęła.

- Nie, nie, to było później, kiedy się dowiedzieliśmy, że on nie żyje. Dziś wieczorem poszłam do jego pokoju. Jest świadek. Borys Shonborg mnie na tym przyłapał. A potem dowiedziałam się, że pan zabrał Vincenza.

Durell podszedł do okna i spojrzął w noc. Niewyraźny kontur dachu przeciwległego domu odcinał się na niebie, chmurnym, zapowiadającym deszcz. Wilgotna i chłodna noc pierwszomajowa.

- I dokąd poszliście? - spytał.

- Na ulicę. Vincenzo był okropnie wzburzony, ja go chciałam uspokoić. Jedziemy, powiedział. Lepiej chyba zostać, póki on nie wyjdzie. Bo może ty go za mocno pobiłeś. Śmiał się i powiedział, że mucha by takie uderzenia wytrzymała, a to pociągnięcie za wstrętny kinol też mu nie mogło zaszkodzić. I Vincenzo sobie poszedł.

- A pani?

- Zostałam jeszcze chwilę. Czekałam na ulicy, aż wyjdzie. Byłam jakaś otumaniona. W końcu i ja poszłam. Wróciłam do Ulriksdal autobusem. -

Durell zastanawiał się. Jeśli to wszystko prawda, ma jeszcze przed sobą kawał drogi do przebycia, nim dotrze do celu. Wprawdzie zeznania dziewczyny i Włocha zdawały się spontaniczne - chyba raczej nie były obmyślane na zimno - pytanie jednak, czy opowiedzieli wszystko, czy też skończyli tam, gdzie im było najwygodniej. Około wpół do trzeciej, powiedzmy. Ritę przydybano na podrzucaniu portfela, co znaczy, że jest świadek na to, iż portfel był w jej posiadaniu. Lepiej więc było samej o wszystkim opowiedzieć, niż pozwolić, żeby to zrobił ktoś inny. Dlaczego nie zgłosiła się do policji z portfelem i nie złożyła zeznania natychmiast po usłyszeniu, że stary został zamordowany. Albo dlatego, że ona i jej przyjaciel nie mieli z tym nic wspólnego, a bali się ujawnienia sprawy pobicia, albo też dlatego, że to oni go zamordowali. A jeżeli tak, musieli i zwłoki zabrać. Czuję

niejasno, że nie wszystko się zgadza w tym rozumowaniu, postanowił jednak chwilowo nie łamać sobie nad tym głowy.

- A więc pani była w mieszkaniu Synneusa, kiedy Vade tam przyszedł - zwrócił się do Rity. - A jak pani tam weszła?

- Mam klucz.

- I ten klucz także - uśmiechnął się. - Jak pani weszła w jego posiadanie?

Poczerwieniała.

- Ślusarz mi dorobił. Vincenzo tak poradził. Dowiedziałam się, że architekt ma to mieszkanie, bo raz zostawił tam teczkę i prosił, żebym po nią pojechała. Wtedy dostałam klucz i pomyślałam, że można by korzystać z tego mieszkania, jak się czasem późno jest w mieście. Więc kazaliśmy dorobić.

- Nie bardzo to uczciwe - powiedział Durell. - Dorobiony ma pani przy sobie.

Skwapliwie otworzyła torebkę i palcami o pomalowanych na czerwono paznokciach wygrzebywała szminkę, stare bilety do kina, coraz bardziej zmieszana.

- Nie rozumiem - powiedziała. - Nie ma go.

- Tak przypuszczałem. Może przypadkiem wychodząc z mieszkania wsunęła go pani w kieszeń płaszcza Vadego.

Rita zdecydowanie zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie rozumiem, gdzie się mógł podziać.

- Ja go w każdym razie tam znalazłem. Nie położyła go pani gdzieś w przedpokoju na przykład? Może go pani zostawiła?

Wydawała się coraz bardziej speszona.

- Możliwe, nie myślałam o tym. Czy możemy już iść?

Wstali. Durell nacisnął sygnał, Vincenzo pospieszył do drzwi, Rita wyszła pierwsza, zaraz wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą, jakby się bała, że asystent cofnie swą decyzję.

Ale Durell nawet na nich nie spojrział. Myślał o tym, że zmarnował cały wieczór, pół nocy stracił na przesłuchanie, że jeszcze nie ma rezultatu rewizji na Roslagsgatan. Chyba dobrze została zrobiona, ale niech to zaczeka do jutra. Czuł się bardzo zmęczony, dowiedział się jednak ważnych rzeczy. Klucz w kieszeni Vadego był dorobiony, a dorobiony klucz Rity zginął. To jeden i ten sam klucz. Jeśli tak, to w jaki sposób Rita i Włoch mogli wrócić, by zabrać zwłoki? Durell czuł się zagubiony - klucze, kapelusz, płaszcz, rachunki za taksówkę, szafy w ścianie tańczyły mu w głowie. Usiłował odtworzyć wrażenie, jakie wyniósł z tamtego mieszkania, zaczął od szafy w przedpokoju. Była tam w głębi plama krwi. Przyszła mu na myśl inna, jasna plama tuż przy drzwiach. Czyste miejsce, bez kurzu. Dlaczego tam nie było kurzu? Trzeba było poprosić chłopaków, żeby ze specjalną starannością zbadali tę plamę, ale im by się nie podobało, że wtyka nos w ich sprawy... i tu myśl zweekslowała. Niby błysk słońca przemknął mu po twarzy uśmiech. A jeżeli to się zgodzi - dlaczego nie? Ziewnął z zadowoleniem, przeciągnął się. Pierwszy punkt programu pierwszomajowego miał załatwiony. Oparł głowę o biurko i zasnął.

Śniło mu się, że siedzi na łące wśród rumianków i dzwonek polnych. Trzyma w ręku kwiat, który ma mu udzielić odpowiedzi na ważne pytanie, tylko zapomniał, o co ma zapytać. Zresztą szkoda mu obrywać płatki, psuć koronę. Uświadamia sobie, że ktoś do niego podchodzi i kładzie mu rękę na ramieniu. Nie obrywaj, mówi, będę mieć do butonierki. Ręka potrząsa nim z początku ostrożnie, potem coraz mocniej.

Budzi się powoli, łąka i kwiaty znikają, ręka zostaje, wreszcie otwiera oczy. Wszystko go boli od niewygodnej pozycji, rozprostowuje ramiona, ziewa, dotyka rudej szczeciny, która wyrosła na brodzie, i odwraca się.

Wielki, atletycznie zbudowany policjant o kwadratowej twarzy i rękach jak cepy. Irytująco rzeński i rozbudzony przygląda się pierwszemu asystentowi.

- Chodzi o Roslagsgatan. Wczoraj wieczorem byliśmy gotowi, ale nie można cię było złapać. Pewnie poszedłeś potańczyć?

- Mało brakowało - powiedział Durell, Wstał i wyciągnął z szuflady maszynkę do golenia. Na zdrętwiałych nogach podszedł do ściany i włączył aparat. Wodził po brodzie golarką, a potem ręką, żeby się upewnić, że żaden włoszek nie umknął zagładzie.

- No i co? - spytał.

- Mnóstwo odcisków. Kilka osób. Żadnego narzędzia zbrodni, jedyny przedmiot, jaki mógłby posłużyć, to doniczka z uschlým kaktusem, ale kruchsza chyba niż głowa Vadego i prędzej by się rozbiła.

- Krew?

- Owszem. Kilka pojedynczych plam na sofie. Trochę pochlapanie w łazience. Pochlapanie to nie jest właściwe określenie. Umywalnię spłukano, ale nad umywalnią są ślady. W szafie cała kałuża, w głębi w rogu. Tam nie kapłała, raczej płynęła z wysokości kilku decymetrów. Świeża plama.

Durell wyłączył maszynkę, jeszcze raz przejechał dłonią po brodzie, rozwiązał krawat, zdjął koszulę i poszedł ku drzwiom. Sprawozdawca za nim.

- Co więcej? - Durell przytrzymał drzwi i puścił go przodem, razem poszli przez korytarz do umywalni.

- Żadnych śladów walki, żadnego nieporządku w mieszkaniu. Trochę gazet, uschła pomarańcza, żadnych niedopałków, nie umytych filiżanek czy kieliszków.

Durell opłukał twarz i poczuł się jak człowiek. Wytał się energicznie.

- I to wszystko?

- Jeszcze jeden interesujący szczegół. Chodź, to zobaczysz. - Przeszli do pokoju naprzeciwko i tym razem atleta przytrzymał drzwi Durellowi. Na długim stole pod ścianą leżały starannie uszeregowane przedmioty znalezione przy Vadem. Policjant sięgnął po pustą ramkę do fotografii, Durell natychmiast ją poznał - stała na półce w mieszkaniu Synneusa. Atleta ostrożnie przyłożył do ramki fotografię Anny Wade znaną w kieszeni starego. Pasowała doskonale.

- Wycięta - rzekł z zadowoleniem. - Poznaliśmy, że zdjęcie zostało niedawno wycięte, i pomyśleliśmy, że to może mieć coś wspólnego z tą fotografią. Sprytnie, co?

- Bardzo sprytnie.

Durell długo przyglądał się fotografii. „Ukochanemu”. Ach, Anno, dlaczego mu to zrobiłaś, pomyślał.

- Przeprowadziliśmy trochę wstępnych przesłuchań - ciągnął dalej policjant. - Przejrzysz listę osób, które warto uwzględnić. Jeden z lokatorów słyszał, że ktoś krzyczał około drugiej.

- Nic dziwnego - powiedział Durell. - Pewien Włoch pobił go o tej porze.

- Ktoś inny widział czarny samochód zaparkowany na ulicy do późnego popołudnia. To kobieta, mówiła, że już i przedtem widywała ten samochód, że lokator z drugiego piętra ma taki, ale rzadko bywa w domu, wydaje jej się, że tam nie mieszka. Czy Synneus ma samochód?

- Ma. Czarny. Amazon. W nocy zdecydowałem się, że z nim porozmawiam. Byłbym ci wdzięczny, gdybyś zadzwonił do Sargrena. Złóż mu raport. Powiedz, że wkrótce dołączę sprawozdanie z tego, jak świętowałem noc Walpurgi. Możesz powiedzieć, że był na stole szampan, ale Durell nawet go nie spróbował.

Atletyczny współpracownik ze zdumieniem spoglądał za oddalającym się Durellem. Durell podszedł do szafy archiwalnej. Parę minut stał nieruchomo pogrążony w myślach, nim otworzył i wydobyl z

ukrycia świeża, wyprasowaną koszulę w niebieskie paski, odpowiednią do garnituru, dobrze będzie też wyglądać przy niej żółto-szary krawat.

XI

Dwa razy zadzwonił do drzwi, nim dało to pożądaný rezultat. Architekt sam otworzył. Na widok Durella strach mignął na jego twarzy, potem się opanował i szare oczy przybrały zimny, nieprzenikniony wyraz. Durell rozpląnął się w serdecznym uśmiechu.

- I dziś pan pracuje. Bo na ogół w mieście pustki. Każdy szykuje się do udziału w pochodzie. Czy mogę wejść?

Synneus wahał się.

- Czego pan sobie życzy?

- Chwili rozmowy - niewinnie oznajmił Durell. - Telefonowałem do mieszkania, ale nie zastałem pana w domu. Więc zaryzykowałem spróbować w biurze. Czy mogę wejść?

Architekt usunął się wreszcie i wpuścił go. Przeszli do pokoju wypełnionego deskami kreślarskimi i szafami, obwieszzonego planami. Dalej był jeszcze jeden pokój, ale architekt zdjął kilka rulonów z niewygodnego taboretu i wskazał mu miejsce. Sam usiadł przy jednej z desek i splótszy na niej ręce spojrzął na Durella.

- O cóż chodzi? Mam dużo pracy.

- Będę się streszczać. Proszę powiedzieć, co pan pomyślał przedwczoraj, kiedy przyszedłszy do mieszkania przy Roslagsgatan znalazł pan tam Vadego?

- Znowu jesteśmy przy tym. Pozwoli pan raz na zawsze wyjaśnić sobie, że go tam nie spotkałem. O godzinie drugiej byłem zajęty rozmową z klientem.

- O drugiej tak. To oświadczenie akceptuję. Ale później, około trzeciej, powiedzmy.

Architekt westchnął i niecierpliwie zabębnił w stół.

- Nonsens.

- Czyżby? A więc pan w ogóle nie był przedwczoraj w tym mieszkaniu?

- Oczywiście, że nie.

Durell przechylił głowę w bok i poważnie przyjrzał się rozmówcy.

- Niech pan posłucha. Dlaczego więc właśnie przedwczoraj po południu stał tam pana samochód? Ludzie, którzy tam mieszkają, zauważyli to, niechże pan nie szuka wykrętów. To pan przecież ma czarnego amazona, jeśli się nie mylę.

Synneus spochmurniał, chyba zaczynał się denerwować.

- Tak, mam czarnego amazona. Dość pospolity samochód. Nie sądzę, by taka informacja mogła pana daleko zaprowadzić. Jeśli pański świadek zauważył numer, można niezwłocznie sprawę wyjaśnić.

- Skąd może pan wiedzieć, że numer nie został zauważony? Niechże pan nie próbuje bluffować.

- Więc jakież to był numer?

Durell udał, że nie słyszy. Nie widział powodu do przekazania inicjatywy przeciwnikowi. Zaatakował z innej strony.

- Sprawa tego spotkania ze zleceniodawcą o drugiej jeszcze chyba nie została wyczerpana. Jak długo trwało? Pół godziny, godzinę?

- Czy muszę wysłuchiwać tych prowokacji? Na moje pytanie o numer samochodu pan nie odpowiedział.

Durell zerwał się z niewygodnego miejsca jak ukłuty. Walnął zwinętą pięścią we własną podstawioną dłoń - zabolalo, a bynajmniej nie uśmierzyło gniewu.

- Dość tego! - zagrzmiął. - Pan, zdaje się, zapomina, że mamy do czynienia z morderstwem i że pana podstawowym obowiązkiem jest

udzielenie informacji, jakie pan posiada. By można było sprawę wyjaśnić, rozumie pan! A jeśli się pan wykręca, może pan ponieść konsekwencje. Można za to wylądować w Långholmen, projekt Åboma i Ljungberga, panie architekcie, to en passant. I proszę nie zapominać, że w tej sprawie nie należy pan do najmniej podejrzanych. Wiemy o pana zażyłości z panią Vade, a to wystarczy, by sprawa mogła być dla pana nieprzyjemna. Zaczerpnął tchu.

- Jak długo trwało to spotkanie?

Architekt pobałdł i oddech miał przyspieszony, trudno byłoby rozstrzygnąć, czy pod wpływem wybuchu Durella, czy z innego powodu.

- No więc? - uparcie powtórzył Durell.

- Około godziny.

- Tak podejrzewałem. To rozbija pana piękne alibi. A może ma pan inne w pogotowiu? Co robił pan o trzeciej, proszę się dobrze namyślić nad odpowiedzią, bo nie chcę dłużej wysłuchiwać kłamstw. Był pan w tym mieszkaniu, tak?

Wolno, bardzo wolno Synneus pochylił głowę.

- Kiedy pan tam przyszedł?

- Tuż po trzeciej - odpowiedział niepewnie Synneus.

- I zaparkował pan samochód przed domem?

Skinienie głową.

- A kiedy wszedł pan do mieszkania, Vade tam był?

- Nie.

- Proszę nie kłamać! - krzyknął prawie Durell. – Czy w rozmowie z panem trzeba wciąż używać takiego tonu? Niech pan nie zapomina, że policja potrafi wydobyć prawdę i z bardziej niż pan zuchwałych. Co pan z nim zrobił?

Synneus z rezygnacją spoglądał na rudego dręczyciela.

- Nic, bo go tam nie było.

- A co pan robił w mieszkaniu?

- Może się przecież zdarzyć, że ktoś przebywa we własnym, legalnie wynajmowanym mieszkaniu - uśmiechnął się znużony.

- Spotkał się pan tam z panią Vade?

- Tak.

Durell drgnął. Odpowiedź padła zza jego pleców. I nie wypowiedział jej Synneus, głos był głęboki, ale nie męski. W gruncie rzeczy dobrze wiedział, czyj to głos. Odwrócił się i spojrzał na nią. Weszła bezgłośnie z przyległego pokoju, pojęcia nie miał, od jak dawna słuchała. Po raz drugi na pytanie skierowane do architekta odpowiedziała kobieta. Za pierwszym razem z otwartego okna, teraz z otwartych drzwi.

- Proszę nie patrzeć z takim zdumieniem – powiedziała sucho. - Uważam, że za dużo pan krzyczy. Przeszkodził mi pan.

Durell usiłował zdobyć się na uśmiech bez większego powodzenia.

- Nie oczekiwałem, że panią tu zastanę, pani Vade. Ale może to i lepiej.

- Rzeczywiście. Pora, by wyjaśnić pewne nieporozumienia. Pan się pewnie nie domyśla, w czym mi pan przeszkodził.

- W redagowaniu nekrologu - odpowiedziała na jego pytające spojrzenie i uśmiechnęła się ironicznie. - To sprawa wymagająca tactu, kiedy się samemu wie wszystko, a trzeba znaleźć coś, co nie brzmiałoby zbyt banalnie. Sądzi pan, że można by zakończyć jakimś werselem? Nie mam co do tego pewności. No, nie to ma być przedmiotem naszej rozmowy - uniosła brwi i rozkładając ręce bezradnie spojrzała na Durella, potem na Synneusa.

- Byliśmy w tym mieszkaniu. Weszliśmy tam razem. Zostawiłam swój samochód do przeglądu i było umówione, że wrócimy razem jego samochodem. Zresztą, czy pan nie widział, jak wracaliśmy? Ja pana widziałam. Rozmawiał pan z majorem. Przypomina pan sobie?

Wtedy właśnie wracaliśmy z Roslagsgatan. Zabawne spotkanie, prawda? Roześmiała się niskim, gardłowym śmiechem, świadczącym o pewności siebie i samokontroli, o tym, że całkowicie panuje nad sytuacją. Potem znowu spoważniała.

- Nie obraża to chyba pana poczucia moralności. Tam właśnie spotykamy się zwykle. Zdaję sobie sprawę, że znany jest już panu nasz wzajemny stosunek.

Umilkła na chwilę i badawczo spojrzała na Durella i jak gdyby podążając za tokiem jego myśli, dodała natychmiast:

- Lecz niech pan nie wyciąga zbyt pochopnych wniosków. To, co powiedziałam wczoraj, że nie ma i nigdy nie było żadnego dokumentu w sprawie Moniki, jest prawdziwe. Jeśli pan sądzi, że architekt jest jej ojcem, popełnia pan błąd. Poznaliśmy się znacznie, znacznie później. Chce pan papierosa?

Wyciągnęła ku niemu etui, ale Durell podziękował.

- Wolałbym sprawozdanie z pobytu państwa w mieszkaniu przy Roslagsgatan - powiedział. - Pojmuje pani chyba, że moim zdaniem od dawna już powinienem je mieć.

Wyjęła papierosa dla siebie, Synneus zerwał się i podsunął jej zapalniczkę. Wydmuchując dym powiedziała:

- To było dość drażliwe. Pan mało o nas wiedział, podejrzenia zawsze są nieprzyjemne, nawet bezpodstawne. Niechże pan zadaje pytania. Choć już niewiele jest do powiedzenia. Pan Synneus zabrał mnie ze stacji obsługi koło garaży na Hötorget i razem pojechaliśmy na Roslagsgatan. Zaparkował przed domem, sądzę, że mogło to być jakiś kwadrans po trzeciej. Cały czas byliśmy razem. Zrobiłam herbatę. Około szóstej wyszliśmy i pojechaliśmy do Ulriksdal, to by było właściwie wszystko.

Durell zmarszczył czoło.

- Więc pani męża tam nie było?

- Nie, tego tylko brakowało. Cóż by to była za scena!

- Może i była scena.

Spochmurniała, dotknęła ręką twarzy. Durell zauważył, że Synneus patrzy na nią niespokojnie, i ciągnął dalej:

- Może siedział tam i czekał. Wiadomo mi mianowicie, że związek państwa i dla niego przestał być tajemnicą. Na półce stała fotografia pani. A wiedział, w którym mieszkaniu się znalazł. Nietrudno mu było pojąć resztę, zwłaszcza jeśli założymy, że potrafił właściwie odczytać słowo „Ukochanemu” - wypisane pani ręką.

i Anna i architekt wymienili szybko spojrzenia.

- Może pan jaśniej wytłumaczyć? To prawda, że dałam Ragnarowi fotografię, ale skąd ta reszta?

- Reszta, pozwoli pani, że odtworzę ten obraz. Wchodzi: pani do mieszkania razem z panem architektem, przyjemnie będzie spędzić chwilę sam na sam, ale na sofie siedzi: pani mąż. Niestety nie zauważyli państwo w przedpokoju jego płaszcza i kapelusza, bo sami nie mieli państwo m sobie wierzchnich okryć i pewnie nie zapalili nawet lampy. No cóż, nastąpiła od dawna prowokowana przez panią scena. Zaczęła się od wymiany słów, doszło do rękoczynów, może on panią uderzył, a pani wiedziała, jakie będą skutki, wszystkie mosty zostały spalone, pozostawała jedna droga. Przejść po nim, zmiażdżyć go. Tak, pani Vade I zrobiliście to razem. Razem staliście nad leżącym na podłodze. Wyzwoleni, oczywiście, ale też i sytuacja trudna przynajmniej dla kogoś mniejszego niż pani kalibru.

Durell urwał i swoim zwyczajem zakołysał się na piętach. Anna cały czas słuchała uważnie, teraz potrząsnęła głową w takt jego kołysania.

- Tak ma wyglądać ten obraz. Z fantazją, choć bez składu i, co smutniejsze, bez sensu. Gdyby pan nie wyglądał tak rozbijająco naiwnie, skomentowałabym określenie obraz, ale to byłoby zbyt tanie. Dość tanizny. Wysłuchajmy, jak się to kończy. Wszystkie bajki mają zakończenie.

- I większość ma jakiś ceł - spokojnie stwierdził Durell. - Ukryli go państwo w szafie, by zabezpieczyć się przed wykryciem, na wypadek, gdyby ktoś przyszedł. A opuszczając mieszkanie zabrali go państwo ze sobą. Dyrektor był niewielkiego wzrostu, mógł się doskonale zmieścić w bagażniku takiego dużego wozu.

- Wynieśliśmy go na własnych rękach - dramatycznie zadrwiła Anna - ludzie stojący na schodach płakali.

- Raczej nie - uśmiechnął się Durell. - Wynieśli go państwo w worku na brudną bieliznę. Stał tam przecież worek przy drzwiach szafy i nawet gdyby ktoś zobaczył, że go państwo wynoszą... - Urwał i uśmiechnął się, tym razem do architekta. - Pewnie pan go zniósł. Nic, co by mogło zwrócić uwagę.

Przestał się kołysać i natarczywie wpatrywał się w Annę, która zdawała się zupełnie nieporuszona.

- Tak się to odbyło - powiedział łagodnie.

- Nie. Ale pan jednak ma rację co do worka z praniem. Był worek i znieśliśmy go do samochodu. Pan, zdaje się, wie nawet i to, że przedwczoraj szykowałam się do wielkiego prania, zwykle wtedy architekt podrzuca mi to, co trzeba wyprać, z Roslagsgatan. Sądzę, że nie wypada, by robiła to jego żona. Pewnie nas ktoś widział z workiem?

- Nie, nawet nie. Sam to wykalkulowałem. Gdzież jest ten worek?

- W pralni.

- Pusty oczywiście.

Anna znowu dotknęła policzka i niecierpliwie potrząsnęła głową. Na jej twarzy pojawił się wyraz irytacji graniczący z niesmakiem. Wykonała jakiś szybki nieopanowany ruch ręką i podeszła do Durella tak gwałtownie, że straciła jeden z przełożonych przez architekta rulonów. Rulon spadł na podłogę, nawet nie obejrzała się, tylko przystanęła usłyszawszy stuk. Zaczepnęła tchu i wygłosiła monolog nie dający się przerwać.

- Pański barwny obraz nie jest wart komentarza, pozwolę sobie jednak stwierdzić raz na zawsze, że nikogo tam nie było, kiedy przyszliśmy i kiedy wychodziliśmy. Byliśmy sami, słyszy pan? Rozmawialiśmy i kochaliśmy się, piliśmy herbatę, jak zwykle w każdą środę od wielu lat. Mogę to panu powiedzieć prosto w twarz bez żadnego zawstydzenia, bo moje małżeństwo z Wernerem nie było małżeństwem. Przynajmniej nie dla takiej kobiety jak ja. Wyszliśmy z mieszkania, tak jak przyszliśmy, zabierając ze sobą worek z brudną bielizną. Nie widziałam płaszcza ani kapelusza w przedpokoju. Nie widziałam nic, co mogłoby panu pomóc w śledztwie, i każde pana słowo jest prowokacją, jaką, wydaje mi się, nie powinien posługiwać się policjant. Będziemy wdzięczni, jeśli zechce nas pan pozostawić samych. Żegnam pana, panie asystencie.

Durell patrzył na nią szeroko otwartymi oczami, z których znikł łagodny błękit.

- Mąż pani tam był, jestem tego pewien. Przyznaję, że istnieje możliwość - mało prawdopodobna - jednak istnieje, że go państwo nie zobaczyli, bo już wtedy znajdował się w szafie. Wolno spytać: czy zabierając pranie zaglądała pani do szafy?

- Nie przypominam sobie, raczej nie. Wyciągnęłam worek. Cały czas rozmawiając z Ragnarem.

Durell pokiwał głową.

- A jednak on tam był. Wiem, że był. Żywy albo umarły.

Po raz pierwszy chyba Anna uświadomiła sobie powagę sytuacji i jej wyniosła postawa załamała się nieco. Wyciągnęła rękę do Synneusa, który mocno ją uściskał, i powiedziała:

- Jeżeli był tam martwy, kiedy przyszliśmy, pozostał tam martwy, kiedy wychodziliśmy. Jeśli był tam żywy, żył, kiedy wychodziliśmy. Nie wiem, czy sprawdzenie worka z praniem może coś panu dać, chcę jednak, by go pan obejrzał i zbadał, poszukał śladów krwi,

jeśli pan chce. Samochód mamy, jedziemy tam natychmiast. Im prędzej, tym lepiej.

Poszła w stronę przedpokoju, przystanąła czekając na nich Durell przyglądał się jej z na pół otwartymi ustami. Winna czy niewinna - wspaniała kobieta, jak wyjęta z Wagnerowskiej opery.

Duży biały worek z surówki z wyraźnym czerwonym napisem „Do prania”. Stał w rogu pralni, związany sznurem od płaszcza kąpielowego. Wyglądało na to, że nie był otwierany po przywiezieniu. Durell przyjrzał się workowi uważnie, mógł się w nim oczywiście zmieścić mężczyzna mały i szczupły jak Vade. Nie byli w pralni sami. Zastali tam Almę Shonborg, Agdę Ahlgren i jej rudowłosego psa. Zauważył, że w głębi pomieszczenia jeszcze ktoś jest. Przez otwarte drzwi dochodził wesoły dziewczęcy głos, Sylwii Ahlgren, jak mu się wydało, wtórował mu jakiś inny, stłumiony głos, od czasu do czasu przerywany wybuchami śmiechu. Pies okazywał Durellowi dość kłopotliwą życzliwość. Raz po raz podskakiwał i usiłował polizać go w twarz, surowe nawoływania Agdy nie na długo pomagały, nie potrafił trzymać się z daleka.

- Najwyraźniej zakochał się w panu – powiedziała Agda. - A niektórych ludzi wprost nie znosi.

Durell uśmiechnął się. Psia miłość bardzo mu pochlebiała, choć podłoga była mokra i na ubraniu zostawały ślady łap.

Anna wydawała się zaskoczona obecnością siostr w pralni.

- Chciałam skończyć z drobniejszymi kawałkami - wyjaśniła Agda. Jej dobroniuszna twarz promieniała energią. - Ty masz o czym myśleć. Zresztą duże sztuki trzeba wyżąć i rozwiesić, bo gniją w wodzie.

- Tak, ale...

- Żadnego ale. - Wzięła się pod boki. - Woda znowu ledwie cieknie. Jonas właśnie stara się coś poradzić. Może jakaś nieszczelność albo krótkie spięcie, czy coś takiego w pompie do hydrofora... wiesz, że już przedwczoraj nawalało.

Alma Shonborg zdążyła przybrać postawę osoby milczącej, niedostępnej, z jaką Durell zetknął się już poprzednim razem. Gdy tylko go zobaczyła, zeszywniała i trzymała się na uboczu, wyczekująco, z rękami w kieszeń roboczego fartucha.

Anna wskazała worek.

- Stoi - powiedziała. - Jeszcze go nie otworzone w nim prześcieradła, ręczniki, zasłony z okna, narzutę

- Przywieziono go tu około szóstej?

- No nie. Leżał w bagażniku samochodu pana Synneusa, potem dopiero go zabraliśmy. Spieszyłam się, żeby zjeść, i zapomniałam o worku, dopiero wieczorem, znaczy po obiedzie, kiedy tu przyszłyśmy wszystkie i już się zabrałyśmy do roboty, przypomniałam sobie. Wtedy wyprałyśmy wszystkie drobne, delikatne rzeczy i namoczyłyśmy resztę bielizny. Miałyśmy skończyć następnego dnia, to znaczy wczoraj. Żeby wyszło przez święto. Ale zdarzyły się przeszkody.

- O której zabrała pani worek?

- Pan dzwonił do mnie wtedy wieczorem, między innymi po to, żeby zapytać o zastrzeżony numer telefonu do męża, przypomina pan sobie?

- Oczywiście.

- To sam pan może ustalić porę, tuż przed pana telefonem dzwoniłam do architekta, by poprosić o podrzucenie worka, to było chyba przed dziewiątą.

- A on to zrobił, przywiózł, prosto, bez zatrzymywania się koło stajen czy... Wtedy było już zupełnie ciemno.

Anna udała, że nie rozumie insynuacji.

- Tak, było ciemno. Ale nie architekt przywiózł worek tylko Jonas, narzeczony mojej córki. Pojechał do sąsiadów dużym samochodem mojej siostry, przywiózł do domu i już razem pojechaliśmy z nim do pralni.

- Czy pozostałe osoby mogą to potwierdzić?

- Naturalnie. - Anna spojrzała ponagląco na Agdę, która potwierdziła rzecz potokiem słów:

- Tak, tak, Anna poszła do domu, żeby z tym workiem załatwić. Ciekawa nawet byłam, ile tam tego jest, bo tak późno sobie przypomniała, kiedy już wszystko było posegregowane. Wróciła po pół godziny samochodem, z workiem i z Jonaszem. On tu z nami został, pogadał chwilę, potem odjechał.

- A pani? - zwrócił się do Almy.

Nim zdążyła odpowiedzieć, pies, zmylony zwracaniem się nowego przyjaciela w swoją stronę, zerwał się merdając ogonem i w następnej sekundzie Durell poczuł mokry jęzor na ucho i łapy na klapach marynarki. Anna gniewnie spojrzała na Agdę.

- Bądź tak dobra i weź go na smycz, takie karesy są dość uciążliwe.

Agda wzruszyła ramionami.

- Kiedy nie wzięłam smyczy. Nie ma tu jakiegoś sznurka? - Rozejrzała się, poprzestając w końcu na odciągnięciu psa za ogon. Ułożył się obok pani, ale wciąż ruszał ogonem i z wywieszonym językiem wpatrywał się w Durella pełnym oddania wzrokiem.

Asystent, by znów go nie kusić, nie ruszając się zwrócił tylko głowę do Almy.

Nie odezwała się, poprzestała na twierdzącym skinieniu.

Durell poczuł zakradające się zwątpienie. Tak by to pasowało. Transport w worku z brudną bielizną. Więźniowie w takich workach uciekają tuż pod okiem strażników, zbiegowie polityczni bywają przemycani w workach przez granicę, ofiary morderstw bywają wpychane do worka i z obciążającym kamieniem topione w morskiej

głębinie. Dlaczego ten worek nie miałby spełnić podobnej roli. Stoi, gruby, opasły, z napisem „Do prania” na brzuchu, gdyby dotknął go ktoś nie będący mordercą, musiałby poczuć, jaka jest zawartość, więc jeśli stary w nim był, ma do czynienia ze spiskiem kilku osób. Przedtem już brał pod uwagę trójkę: Anna - Jonas - Monika, teraz logiczne rozumowanie wskazywało konieczność włączenia architekta. Cztery osoby. Dużo. Ale właściwie połączenie tłumaczące się znakomicie, zwłaszcza jeśli architekt jest jednak ojcem dziewczyny. A jeśli tak, to wóz Agdy zatrzymał się koło stajen, szybko wydobyto zwłoki, zanie­siono na most i zatopiono. Jednak strażnicy chyba by zauważyli samochód i to, że się zatrzymał, sporo czasu by też trzeba było na przywiązanie ciała. Może poprzestali na ukryciu go w jakimś przejściu między stajniami, żeby później wrócić i dokonać reszty. Durell zatrzymał się przy tej możliwości. Była bardziej prawdopodobna. W pralni przebywali do późna. Ale jednak... cztery osoby. Podkradało się zwątpienie. A gdyby wyłączyć Jonasa i Monikę? Czy jest możliwe, by Jonas przenosząc worek nie zauważył, że jego zawartością są zwłoki? Do przyjęcia, ale tylko przy założeniu, że trup był grubo owinięty bielizną. Ale wtedy worek byłby rażąco wypchany. No cóż, przypuszczeniu, że «bieliznę włożono do worka później, wymieniono zwłoki na brudy, też nic nie stoi na przeszkodzie. Tylko że nie daje te odpowiedzi na pytanie, kiedy to było możliwe. Durell wzdychając przyglądał się swym paznokciom, którym od ostatniego manicure przybyła wąska żałobna obwódka. Potem przyjrzał się Synneusowi, który stał w drzwiach, czujny, jak gdyby gotów do ucieczki w razie niebezpiecznego rozwoju sytuacji. Wreszcie przeniósł wzrok na Anę.

- O której wyszła pani z pralni, wieczorem?
- Kiedy byliśmy już ze wszystkim gotowe - odpowiedziała bez wahania.

- I potem już tu pani nie wróciła, ani sama, ani w czyimś towarzystwie? - Ostatnie słowo wymówił ze znaczącym naciskiem.

- Nie, po cóż miałabym wracać? Zresztą drzwi byłyby zamknięte. Nie wiem, kto miał klucz.

- Aha. A kto go miał?

- Anna spojrzała na siostry pytająco. Po raz pierwszy ozwała się Alma.

- Ja - powiedziała wolno i sepleniąc - ja zamknęłam, gdy wychodziłyśmy. Włożyłam klucz do kieszeni tego ciucha i tam był.

Durella irytowało jej syczące s.

- A gdzie był ten fartuch?

- Na haku pod schodami. Fartuch pożyczyłam od Anny.

Durell się rozjaśnił.

- To znaczy, że każdy miał dostęp do klucza, każdy go mógł z kieszeni wyjąć, nieprawda?

Po raz pierwszy zobaczył uśmiech Almy.

- Każdy. Tylko musiałyby go jednak włożyć z powrotem.

Durell rozważył informację. Możliwość wymienienia ukrytych w worku zwłok na bieliznę do prania istniała. Powinien i narzeczonemu Moniki zadać kilka pytań - chociażby dla porządku.

Sylwia, pochylona nad dużym kwadratowym otworem, wytrzymywała zamykającą go klapę, a Jonas, przykucnięty w głębi otworu, usiłował odkręcić nasadkę pompy, przymocować koniec przewodu. Pompa znajdowała się piwnicy, w małym, wilgotnym, wycementowanym poszczeniu, do którego schodziło się z pokoiku mieszczącego magiel. Od pompy prowadziły rury do hydroforu, maszynowni i do pieca centralnego ogrzewania. Trudno było coś robić w tej dziurze, gdzie jedynym źródłem światła był otwór wentylacyjny w ścianie,

wprawdzie dość spory, ale od strony rzeki, pnie drzew, znajdujących się w odległości kilku kroków, nie dopuszczały światła. Wpadało raczej z góry, przez podniesioną klapę, którą Sylwia przytrzymała, co bardzo było potrzebne, bo Jonas nie miał nawet kieszonkowej latarki.

- Tylko nóg nie przemocz - chichotała Sylwia - strasznie tam mokro.

Jonas podniósł głowę ukazując dość kwaśną minę.

- Nie dokręcone i przecieka. Ale dam sobie radę i wszystko będzie dobrze, możesz być pewna. Byle tylko ruszyć tę śrubę i gotowe.

Sylwia znowu zachichotała, ale urwała nagle.

Jonas zerknął na nią.

- Z czego znów...

Ostrzegawczo podniosła palec do ust.

- Wiesz, kto idzie? - Pochyliła się i dodała szeptem: - Policjant.

W następnej chwili obok Sylwii ukazała się znajoma postać w niebieskim garniturze w paski, z ceglastą czupryną i błękitnymi oczami.

- Chciałbym pana spytać o to i owo, panie Kellen - uprzejmie powiedział asystent.

Jonas chciał wstać, ale Durell go powstrzymał.

- Proszę sobie nie przeszkadzać, niech pan pracuje, a ja będę pytał.

- Tylko byłbym wdzięczny, gdyby pan się trochę odsunął, bo tu tak mało światła.

Durell odsunął się natychmiast w stronę wentylatora.

- Tylko kilka pytanek. Przedwczoraj przywiózł pan worek bielizny do prania od architekta Synneusa. Czy pan niósł go sam, a jeśli tak, to jak daleko?

Jonas podrapał się w głowę.

- Zgadza się. Pojechałem do Synneusów i przeniosłem worek z jego bagażnika do combi Agdy. On wiedział, więc byłem upoważniony do zabrania tego. Dlaczego pan pyta?

- O, nic specjalnego się za tym nie kryje. Co było w worku?
- Brudna bielizna oczywiście.
- Jest pan tego zupełnie pewien? A na ile oceniłby pan ciężar worka?

- Trudno powiedzieć. Jakies może czterdzieści kilogramów. A pan myśli, że tam mogło być coś innego?

Jonas powziął niejasne podejrzenie co do celu tych pytań i postanowił chwycić byka za rogi. Ostatecznie dokręcił śrubę, wstał i wydobyl się na powierzchnię po wąskich stromych schodach. Gdy twarz jego znalazła się na wysokości podłogi, spytał nagie:

- Może pan podejrzewa, że nasz stary tkwił w tym worku?

Durell uśmiechnął się niepewnie.

- Wszystko trzeba brać pod uwagę. Jeśli pan mówi, że czterdzieści kilogramów...

- Na pewno nie więcej. Zresztą może pan sam sprawdzić, worek przecież stoi.

- Pewnie. Nie tyle sam worek mnie interesuje, co jego zawartość.

Jonas odłożył narzędzia, zamknął klapę wjazdu, wytarł ręce, potem zapalił papierosa.

- Ośmielam się jednak stwierdzić, że kiedy ja miałem do czynienia z tym workiem, była w nim bielizna. Gdyby ktoś tam ukrył starego, poznałbym, on był taki chudy, kanciasty. Chętnie jednak podniosę ten worek dla sprawdzenia, jeśli to panu się na coś przyda.

Razem przeszli przez pomieszczenie z magłem i przez małą suszarnię, weszli do pralni. Jonasa zdziwiła ilość osób, jakie zdążyły się tu zgromadzić podczas jego podziemnej misji.

- Możesz puścić wodę - powiedział do Agdy. – Wydaje mi się, że teraz już będzie dobrze.

Podszedł do worka, obiema rękami uchwycił za związany sznurem wierzch i dźwignął, potem spojrzął na Durella.

- Waga chyba taka sama.

Durella nie zdziwiła ta wiadomość, przyjął ją z nieprzeniknioną twarzą, w ogóle zdawał się pogrążony w myślach. Ocknąwszy się nagle, zwrócił się do Anny:

- Zechce pani rozwiązać worek, pani Vade.

Podeszła i zaczęła rozplątywać sznur od szlafroka. Węzeł był mocno zasupłany i nie bez trudu udało jej się rozluźnić pętlę. Rick wstał i węsząc zbliżył się do niej. Anna odpędziła psa.

- Masz - powiedziała - możesz go uwiązać.

Rzuciła sznur Agdzie, która złapała psa za obroź i przywiązała do kaloryfera. Pies dalej węszył z pyskiem zwróconym w stronę Anny, wyczekująco kręcąc ogonem.

Durell zbliżył się i wsunął rękę do worka. Potem wyjął ją trzymając w dwóch palcach ręcznik. Zwykły ręcznik z literą S w wianuszkach dębowych liści. Odwrócił się, a pies zaczął szarpać i podskakiwać.

- Czy to pani włożyła ten ręcznik do worka?

Anna nie wydobyła z siebie żadnego dźwięku, ze zbielełą jak płótno twarzą zaprzeczyła ruchem głowy.

Zwrócił się do drzwi, przy których architekt stał jak skamieniały.

- A pan? Może pan go tam włożył?

- Nie. - I zagadnięty nieświadomie zaczął szukać w kieszeni papierośnicy, a znalazłszy stał dalej nieruchomo z papierośnicą w ręce.

Durell niezmiennie życzliwym, nie zdradzającym nic z jego myśli spojrzeniem przesunął po twarzach wszystkich obecnych.

- Cóż o tym można powiedzieć? - Urwał. - Muszę poprosić o pozwolenie zabrania go ze sobą. Może jakąś torebkę...

Jonas pierwszy się zorientował. Chwycił papierową torbę z proszkiem do prania i pytająco spojrzął na Annę:

- Można?

Na jej przyzwalający gest ułożył kartony z proszkiem na stołku, a torbę, dał Durellowi, który z góry opuścił do jej wnętrza ręcznik z wielkimi, ciemnymi plamami krwi. Wszyscy milczeli, jakby byli uczestnikami uroczystego obrzędu. Wszyscy prócz psa, który uniósł pysk i przenikliwie zaskowyczał.

XII

Do miasta pojechał autobusem, wysiadł przy Vanadislunden ciesząc się myślą o ciepłej kąpieli natychmiast po przybyciu do domu przy Norrtullsgatan. Jeżeli będzie mieć szczęście, okaże się, że ciotka Betty poszła już na Strandvägen, by uczestniczyć w dorocznej paradzie kapeluszy. On wprawdzie obstawał przy tym, że konkurs rozpoczyna się dopiero w niedzielę, ale ciotka wiedziała lepiej. Pierwszego maja, powiedziała. Zawsze pierwszego maja. W pierwszą niedzielę maja, ciociu. Ale zrób, jak chcesz. Jeżeli zrobiła, jak chciała, będzie mógł w spokoju rozkoszować się ciepłą wodą, ciszą w mieszkaniu (po przykryciu klatki z papużkami) i znakomitą akustyką łazienki. Puttego i Leopolda, bernarda i syjamskiego kota, na pewno zabrała ze sobą, by mieć oryginalne pendant do zwariowanego nakrycia głowy. Jakby ją widział, rosłą, pełną, ale dobrze zasnurowaną, rumiane policzki, a na świeżo rozjaśnionych włosach kompozycja z tiulu, żółtego jak nowo narodzone kurczątko, z aplikacjami przypominającymi trufle i z opaską z zeszlórocznych kasztanów. Westchnąwszy wrócił do własnych problemów.

Zwłoki zostały zabrane z miejsca zbrodni i ukryte. Wiele razy miał do czynienia z podobnymi wypadkami, a teraz nagle zdał sobie sprawę, że nigdy dotąd nie rozpatrywał tego wzorca postępowania od

strony założeń psychologicznych i praktycznych. Jaki cel ma uprzątnięcie? Jasne, że stworzenie dystansu między mordercą i ofiarą, przecięcie łączących ogniów. Trzeba na to spojrzeć rzeczowo, ale w sposób pogłębiony. Powiedzmy, że A zamordował B i stoi przed problemem stworzenia dystansu między sobą a swoją ofiarą. Co może się stać w dwojaki sposób. Albo A oddali się od B, albo oddali B od siebie. Co wybierze? Która z tych możliwości wyda mu się w pierwszym, spontanicznym odczuciu słuszniejsza? Jeśli przedtem nie łączyły go z B żadne związki, sprawa jest prosta, sam się oddali, a ciało pozostanie tam, gdzie było. Może spróbuje je chwilowo ukryć, by zyskać trochę na czasie, oddalić się, nim zwłoki zostaną odkryte. Jego związki z ofiarą nikomu nie są znane, im wcześniej się oddali, tym lepiej. Nie można wytropić powiązań między A i B ani w przestrzeni, ani w czasie, ani w żadnych normalnie łączących ich stosunkach. A jeżeli powiązania są, jeśli wiadomo, że przestawał z B, jeśli można go nawet podejrzewać o motyw morderstwa, jak odruchowo postąpi? Od związków uciec nie może. Musi więc stworzyć dystans w przestrzeni przez usunięcie ofiary i dystans w czasie przez ukrycie jej, najlepiej tak, aby nigdy nie została znaleziona. Jeśli się więc znajduje dobrze ukrytą ofiarę zbrodni i stwierdza, że została przetransportowana z miejsca zbrodni na miejsce znalezienia, czy sam ten fakt jest jakąś nicią przewodnią? Tak - morderca wie, że będzie podejrzany. Dlatego musi pozbyć się najpoważniejszego z dowodów, ofiary, corpus delicti.

Wchodząc po schodach, wiodących do zbiornika wody na szczycie wzgórzka Vanadis, Durell zapalił papierosa. Zbiornik wyglądał na wzniesiony nad przepaścią zamek rycerski - ceglane ściany obramowane grubo ciosanym granitem. Rozwazał dalej:

Dokąd prowadzi podobne rozumowanie w wypadku Vadego? Morderca należał do kręgu osób normalnie z nim przestających?

Prawdopodobnie. Tylko kto nim był? Tylu ludzi go otaczało. No, a jeśli spojrzeć na sytuację od strony praktycznej? Musi istnieć logiczny związek między miejscem zbrodni a miejscem znalezienia. Powiedzmy, że Vade został zamordowany w mieszkaniu przy Roslagsgatan, można by ten występek wiązać przede wszystkim z Synneusem i Anną, a jeżeli oni byli winowajcami, zwłoki musiały oczywiście zostać usunięte. Jeśli przyjąć, że Vincenzo i Rita także tam byli i oni popełnili zbrodnię bezpośredniego powiązania między nimi i miejscem zbrodni nie ma, istnieje jednak obawa, że związek ten może zostać wykryty. Jeśli oni są winni, i oni mieli także powód, by usunąć ciało, choć nie tak naglący jak architekt i jego przyjaciółka. Durell sam sobie przytaknął i wydmuchnął dym. Przewieziono go samochodem architekta albo - znowu wydmuchnął kłęb dymu - Anny. Kto wie, czy to, co powiedziała o oddaniu do przeglądu, jest prawdą. Pozostaje furgonetka z gospody, wóz pani Ahlgren i... Potrząsnął głową z niezadowolaniem. Co tam, ktokolwiek to był i jakimkolwiek samochodem się posłużył - dokąd pojechał? Nagle znieruchomiał i stał tak chwilę patrząc wprost przed siebie i nie widząc gołębi, które poderwały się z trawnika, ani wiewiórki, która wskoczyła na niską gałąź przy ścieżce.

- Idiota z ciebie, Durell - powiedział głośno i wyraźnie. Zmusił twarz do grymasu obrzydzenia. - Zupełny idiota. - W pobliżu była budka telefoniczna. Dobrze wyciągając krótkie nogi pospieszył na ulicę, wszedł do szklanej kabinki i wsunął w otwór automatu dwie dziesięcioöörówki. Po chwili odezwał się sygnał, nakręcił domowy numer Sargrena, zaszemrał mu w ucho matowy, zakatarzony głos. Durell od razu przystąpił do rzeczy.

- Jestem idiotą - powiedział z przekonaniem - całkowitym, denym idiotą. Zdajesz sobie z tego sprawę?

- Czasami miewam takie podejrzenia.

- Nie przerywaj. Ty też gwiazdą nie jesteś. Wiesz co, Staffan, on wcale nie został wywieziony z tego mieszkania przy Roslagsgatan. Kto właściwie wymyślił tę teorię?

- Mnie pytasz!

- Tylko się przy tym nie upieraj. Teraz dopiero widzę prawdę, częściowo, rozumiesz? Posłuchaj. - Głos Durella przeszedł niemal w falset. - Powiedzmy, że masz u siebie w szafie zwłoki i chcesz się ich pozbyć. Dlaczego, na litość boską, miałbyś je przewozić w najdziwniejsze w świecie miejsce i uwiązywać pod mostem? Przecież to nie ma sensu. Jak mógłbyś być takim kompletnym idiotą? Do lasu czy do jakiegoś jeziora, czy na stare wysypisko, ale uwiązać pod mostem, tuż obok są wille, a o trzydzieści metrów posterunek straży honorowej. Przecież to zupełne szaleństwo.

Przypomniało mu się, że ma w ręku torbę z zakrwawionym ręcznikiem.

- Staffan, czy ty wciąż rozsiewasz mikroby, czy mogę wpaść do ciebie? Tylko wstąpię do domu, żeby się wykapać.

- Ale jednak szafa - wykrztusił Sargren zupełnie zbity z tropu. - On przecież leżał w szafie.

- Może i leżał. Ale czy tam leżały zwłoki, bardzo wątpię. Zgadzam się, że tam był przez jakiś czas, ale możesz być pewien, że żył.

W godzinę później Durell zszedł do stacji kolei podziemnej przy Odenplan. Wykapany, ogolony. Otaczał go cierpki zapach wody do golenia i wody kolońskiej, której reklama głosiła, że woda łączy zapach ogniska myśliwskiego i odoru lwa. Przebrał się, miał na sobie nienagannie wyprasowany garnitur w czarno-białe paseczki na błękitnym tle, koszulę też w niebieskie, tylko śmielsze paski, a spomiędzy zaokrąglonych rogów kołnierzyka wykwitał wielki jasno-czerwony

węzeł krawata, który oślepił jak latarnia morska na obrazie Marcusa Larssona, a potem wstydliwie zniknął między wąskimi kłapami marynarki. Asystent przecisnął swe korpulentne ciało przez kołowrót i zażądał biletu do Kristineberg. Ruchomymi schodami zjechał na peron. Czekać na pociąg opuścił zasłonę na cały denerwujący go świat. Oderwał się od ludzi, ogłuchł na narastający grzmot w tunelu, nie słyszał zgrzytu na złączach ani pisku hamulca, gdy pociąg zwalniał, nie słyszał tupotu i bieganiny, gdy ludzie rzucili się do drzwi, które otwały się, zamknęły i pociąg znowu ruszył. Durell zatonął w myślach.

Jeżeli Vade nie został zamordowany w mieszkaniu i wywieziony stamtąd, wyłaniały się nowe pytania wymagające odpowiedzi. Durell próbował je uszeregować.

Pierwsze: Jak się stamtąd wydostał? Poszedł sobie albo pojechał autobusem czy taksówką. Na to wskazywałby ten kwit w kieszeni za przejazd na kwotę siedmiu koron. Jak długo to potrwa i czy uda się złapać kierowcę taksówki nr 431? Parę jego słów może mieć znaczenie w tym śledztwie. Kwit w kieszeni? Co do pory tego przejazdu są dwie możliwości, albo bezpośrednio po lunchu z Moniką (jest tam dziura), albo po bytności w mieszkaniu Synneusa. Zdecydował się na drugą możliwość, zapisując jednocześnie punkt na korzyść Włocha i jego lekkomyślnej dziewczyny. Widział jasno zależności: kwit w kieszeni - dlaczego nie w portfelu, tam przecież był ten drugi kwit za przejazd na Roslagsgatan. Dlatego, że tym razem stary nie miał już portfela. A jeśli nie miał, opowieść Vincenza jest prawdziwa. A jeśli jest prawdziwa, stary był w mieszkaniu, kiedy je Rita i Vincenzo opuszczali. Był, tylko bez portfela. Jak więc mógł zapłacić za taksówkę, jeśli go nie miał? Drobnymi. Czy dużo drobnych przy nim znaleziono? - Cztery korony, dwadzieścia trzy öre. Czyli przedtem miał jedenaście, dwadzieścia trzy. Durell ściągnął usta w ryjek. Zrobił to

nieświadomie i nie zauważył, że ludzie mu się przyglądają, tak był zaabsorbowany. Aż jedenaście drobnymi monetami! Nie jest to zupełnie niemożliwe, ale też nie bardzo prawdopodobne. Mógł mieć jakiś banknot luzem w kieszeni, też możliwe i też mało prawdopodobne. Dokumenty, papiery i banknoty dyrektor wkładał do portfela i był chyba człowiekiem bardzo przestrzegającym raz przyjętych zasad. Durell poniechał chwilowo rozmyślań nad tym i przeszedł do pytania numer dwa: Kiedy Vade wyszedł z mieszkania? Możliwości jest dużo. Jeśli przyjmie za podstawę z jednej strony oświadczenie pary Rita-Vincenzo, a z drugiej pary Anna Vade-Ragnar Synneus, rysują się dwie: a) opuścił mieszkanie po wyjściu Rity i Vincenza, a przed przyjściem Anny i architekta. Przez chwilę skierował myśli na pierwszą z możliwości. Stary parę razy porządnie dostał w ucho od zazdrośnego rywala, nos miał obolały. Czuł się pewnie ogłuszony i uderzeniami, i wściekłością, musiał trochę przyjść do siebie. Przejrzał się może w lustrze i doszedł do wniosku, że niezbyt korzystnie wygląda. Wolał się w takim stanie ludziom nie pokazywać, tym można wytłumaczyć, że machnął ręką na ważne zebranie o trzeciej. Dyrektorzy banków dziwiliby się, stawialiby może przykre pytania. Durell uśmiechnął się z zadowoleniem. A dlaczego nie zadzwonił do biura, nie zawiadomił, że nie przyjdzie? Powinien był to zrobić, był tam telefon, za późno też nie było, sporo przed trzecią. Durell wywołał z pamięci obraz mieszkania. Telefon stał w hallu, może go stary nie zauważył, albo - dość śmiało przypuszczenie - nie umiał się nim posłużyć. Przywykł do staroświecczyny, może nigdy przedtem nie widział kobry. Nie wiedział, że tarcza z numerami jest pod spodem, że aparat trzeba odwrócić. Durell wydał gwizd, który trioletami przeszedł od słowiczego sopranu do sowej głębi. Jak było, tak było - stary nie zatelefonował. I co tam robił? Umył się i obmyślał zemstę. Przemawiały za tym ślady krwi w umywalni, miał krwotok z nosa... w

szafie była cała kałuża krwi. Durell wyprostował się, położył ręce na kolanach i bębnił palcami. Oczywiście. Krew w szafie wyklucza przyjęcie możliwości a - że opuścił mieszkanie, nim przyszła tam Anna z architektem. Bo cóż by robił w szafie! Co można robić w szafie? Schować się. Przed kim? Przed kimś, kto nagle wkłada klucz w zamek - jest to oczywiście właściciel mieszkania, najprawdopodobniej właściciel.

Pozostaje możliwość b: nie opuścił mieszkania przed wyjściem Anny i Synneusa. Co robił w czasie ich bytności? Siedział ukryty w szafie? Przez cały czas, czy też ujawnił się? A jeśli został w ukryciu, czego był świadkiem? Ich miłosnego gruchania i to mogło któreś z nich albo oboje skłonić do usunięcia go z drogi później, wieczorem. Ale tylko jeśli dowiedzieli się, że stary był naocznym świadkiem ich stosunku. A jak się dowiedzieli? Możliwość jest tylko jedna - od niego samego. Spotkał się z nimi albo z jednym z tych dwojga, powiedział, że wie, groził represjami. Ale dlaczego w takim razie od razu się nie ujawnił? Dlaczego nie przyłapał ich na gorącym uczynku? Może nie miał odwagi. Może chciał się namyślić, postanowić, jak ma postąpić. A może się jednak ujawnił. Synneus i Anna zapewniali, że nie wiedzieli o jego obecności. Nie - powstrzymał się Durell - teraz błędnie rozumujesz. Oni tylko razem i każde z osobna twierdzili, że wtedy, kiedy tam byli, nie zauważyli jego obecności. Czy się o tym później dowiedzieli, nie mówili. A ponieważ podobne wyznanie potencjalnie by ich obciążało, należy uznać to za naturalne, ludzkie, bardzo ludzkie.

Nowy pociąg w kierunku południowym wydał w tunelu przeraźliwy gwizd i zatrzymał się przy peronie. Durell odwrócił głowę. Z roz-targnieniem spojrzął na ludzi pędzących do drzwi. W ciągu kilku sekund zielone wagony wypływały i połykały tuziny osób. Zastukały kroki zdążających do ruchomych schodów, a pociąg nabrał rozpędu

i wwiercił się znowu w tunel jak żarłoczny wąż ściągający kreta. Obok Durella przesunęła się jakaś zwracająca uwagę kobieta. Zapach jej perfum wpadł mu w nozdrza, by rozwiać się po chwili. Ten dziwnie łaskoczący zapach wzbudził niejasne wspomnienie w jego zaabsorbowanym mózgu. Odwrócił głowę i popatrzył, nagle przypomniał sobie. Panna Nilsson, pomyślał, sekretarka, piękna kobieta o miłym głosie. Była już przy ruchomych schodach, już ją uniosły w górę. Pomachała brunatną kopertą komuś niewidocznemu, kto czekał pewnie na górze. Durell poczuł, że niespokojna ciekawość wbija w niego pazury. Zerwał się, pobiegł tą samą drogą, którą przed paru minutami tu przyszedł. Krótkie nogi drałowały po zakurzonej asfalcie ku ruchomym schodom, magiczne oko mrugnęło, uruchamiając maszynę, ale nie zadowolił się szybkością mechanicznego transportu, sadził po kilka stopni. Przemknął przed bileterką, która ze zdziwieniem rozpoznała go po czerwonym krawacie. Jeszcze jedne schody, wynurzył się na powierzchnię i rozejrzał. Zobaczył sekretarkę z jakimś mężczyzną, właśnie wsiadali do taksówki. Mężczyzną był bez wątpienia adwokat Bengt Ahlgren. Samochód uwożący parę ruszył w kierunku Odenplan, a Durell rzucił się do następnej taksówki i wskoczył do niej zręcznie jak łasica - okrągłutka łasiczka w niebieskim odcieniu z czerwonym czubem. Kierowca spojrział na niego z góry.

- Prędko! - Durell był trochę zdyszany. - Prędko za tym samochodem!

Kierowca odwrócił się władczo.

- A to dlaczego?

- Bo to ważne, bardzo ważne.

- Mam ich zatrzymać czy śledzić?

Durellowi broda opadła. Zatrzymać czy śledzić, oto jest pytanie. Dlaczego właściwie zareagował w ten sposób, jakim prawem jedzie

za tą młodą parą? Dlatego że żywią dla siebie gorętsze uczucia? Co w tym podejrzanego? Poznali się w biurze starego. Oboje tam pracowali, spotykali się w wolnym czasie. Co w tym dziwnego? Durell czuł, że wzbiera w nim niepewność, musiał powziąć jakieś postanowienie. A wszelka decyzja musi mieć powód. Powodem była brunatna koperta. Nie wycofuj się, Durell - jedź za nimi choćby do Skansenu, tylko tobie będzie wstyd, tylko ty na tym stracisz. Może zresztą małe niedźwiadki już wyłażą z legowiska. Albo może przejedziesz się do ogrodów królewskich, gdzie już pewnie ustawili stoliki pod drzewami.

- Zatrzymać czy śledzić? - powtórzył kierowca.

- Chwilowo niech pan za nimi jedzie - rozstrzygnął Durell. Samochód przyspieszył. Widział przed sobą tamten wóz skręcający w Sveavägen na prawo i stwierdził, że to ani w kierunku niedźwiedziej góry, ani królewskich ogrodów. Byli przy skrzyżowaniu, gdy zapaliło się czerwone światło, czego nie zauważył, bo oczy miał utkwione w tylne opony tamtego wozu, a tu jego pojazd zahamował gwałtownie.

- Proszę jechać - ponaglił.

- Czerwone światło. Przykro mi. Tamci pojechali. Mnie zresztą taka jazda zbytnio nie bawi. - Kierowca zrobił zuchwały grymas. - Zawieźć pana gdzieś, czy pan wysiądzie? Należy się dwie korony sześćdziesiąt.

- Wysiądę - niechętnie powiedział Durell. Wygrzebał trzy korony z kieszeni. - Proszę pokwitowanie na trzy korony.

Kierowca wyjął bloczek ze schowka, wypełnił i podał w tył. Durell rzucił okiem dla sprawdzenia i nagle go zatkało, spojrzął na tabliczkę z numerem i uśmiech rozjaśnił mu twarz. Światło się zmieniło, karawana wozów przed ich maską rozplynęła się, a z tyłu dały się słyszeć niecierpliwie sygnały.

- Niechże pan wyskakuje.

- Rozmyśliłem się. Niech pan podjedzie i stanie za rogiem.

Kierowca z rezygnacją spojrział w lusterko, ale ruszył posłusznie, skręcił pod kino „Rialto” i zahamował.

- Jeszcze korona osiemdziesiąt - powiedział i wyciągnął bloczek.

- Pan się nazywa Andersson - przyjaźnie stwierdził Durell.

- Nazwisko na kwicie. - Kierowca ziewnął demonstracyjnie.

- A taksówka ma numer 431.

- Zgadza się.

- Dlaczego pan się nie zgłosił? Przecież tę taksówkę wzywano do skontaktowania się z policją.

Kierowca spojrział niepewnie.

- A kim pan właściwie jest?

- Z wydziału kryminalnego, proszę. - Podsunął mu pod nos służbową legitymację. - Więc dlaczego pan się nie zgłosił?

- Bo to nie była moja wina. A jak ma z tego wyniknąć jakiś kram, niech policja mnie szuka, zresztą miałem trochę wolnego, my też mamy prawo do wypoczynku.

- Co nie było pana winą?

- A to, że wjechałem na słup. Ja w porę zahamowałem, miałem wóz pod kontrolą i w ogóle panowałem nad sytuacją. Tylko ten facet wpadł w panikę.

- Nie wiem, o czym pan mówi. Mnie chodzi o zupełnie inną sprawę, o jeden z pana kursów, którym bardzo się interesujemy.

- Aaa! - Ulga, jaką odczuł kierowca, znalazła wyraz w długim, śpiewnym dźwięku, który Durell ocenił jako nieco za wysokie gis. - Dobrze, jaki kurs?

- W środę, za siedem koron, wydał pan pokwitowanie. Pamięta pan? Mam to pokwitowanie przy sobie.

- Zobaczmy... W środę, przedwczoraj, znaczy. A wie pan, o której mniej więcej godzinie?

- Przypuszczalnie po południu, późnym popołudniem. Pasażer był starym człowiekiem i prawdopodobnie pouczał pana, jak należy prowadzić, trzymać się pasów, uważać na światła i tym podobne, przypomina pan sobie?

Kierowca potrząsnął głową.

- Nie, to nie mogłem być ja. Ja zszedłem ze zmiany o piętnastej i miałem wolne do dziś. Stary dziwak, znaczy. Nie, nie pamiętam.

- Niech się pan zastanowi - żywo namawiał Durell - może to było wcześniej, kwit na siedem koron. Dość daleki kurs, prawda?

- Dość daleki. Zaraz, zaraz. - Zmarszczył czoło. - Miałem kurs tuż przed zejściem ze zmiany, niech mnie diabli, jeżeli nie za siedem koron. W kierunku Hammarby... zaraz, zaraz... nie, chyba Tegjelsvikgatan. Ale numeru nie pamiętam. Tak, przypominam sobie, prosił, żeby zatrzymać koło fabryki, jakaś fabryka maszyn.

- „Maszyny” Sp. Akc.

- O właśnie. „Maszyny” Sp. Akc, bardzo okazały neon na dachu.

- A skąd go pan zabrał?

- Zatrzymał mnie na ulicy, na początku Drottninggatan, mniej więcej na wysokości... no, w pobliżu numeru 75.

- 75 C?

- Nie, trochę dalej. To długi budynek. Raczej 75 A, choć nie jestem pewien.

- O której to było?

- Tuż przed piętnastą. Zgadza się, to był mój ostatni kurs, tylko jeszcze w powrotnej drodze kogoś zabrałem.

- Aha. To trochę wcześniej.

Durell próbował dopasować uzyskaną informację do całości, umieścić w jakiejś przegródce, ale nigdzie nie pasowała. I pora, i oba

adresy. Tylko ten docelowy adres „Maszyny” Sp. Akc; ta nazwa już gdzieś występowała i pamiętał gdzie, w dokumentach, w teczce starego. Usiłował pochwytać końce nici i powiązać w jakąś całość. I nagle coś mu w oddali zaświtało. Bardzo to było mgliste, trudno się było orientować idąc za tym światełkiem. Myślał intensywnie, przerwało mu pytanie kierowcy:

- No i co ma być teraz?

- Proszę tam pojechać - rzekł Durell z roztargnieniem. - To znaczy na Drottninggatan. Dziś widać taki dzień, że kapryśne bogi ze mną igrają. To na przykład, że wpadłem na pana, zabawny zbieg okoliczności. Jedźmy więc na Drottninggatan.

Kierowca wrzucił bieg i wziął kurs na Sveavägen.

- Jedno mnie tylko martwi - powiedział. - Wcale nie jestem pewien, czy to akurat był ten pasażer, o którym pan myśli. Bo po pierwsze mówi pan, że to było później, a po drugie wygląd się nie zgadza, żadnego starego dziwaka przez cały dzień nie wiozłem.

- No, hm - Durell uśmiechnął się pod nosem - żadnego przykrego staruszka. Chyba się nie mylę, to był dość młody człowiek, o pełnej twarzy, wysoki, starannie ubrany. Wie pan, kto to taki?

Szofer wpatrywał się w mówiącego przez lusterko.

- Nie, ale jakoś mi ten opis pasuje.

- To adwokat - powiedział Durell z coraz wyraźniejszym uśmiechem. - Niech pan sobie ten rysopis zapamięta. Może będziemy mieć powód, byście się znowu zobaczyli.

XIII

Brama nie była zamknięta. Durell wjechał windą. Nie odmłodziła od ostatniej tu jego bytności, jęcząc i zgrzytając uniosła go na trzecie piętro. Chwilkę nasłuchiwał pod drzwiami. Biuro wydawało się

opuszczone, panowała tam cisza. Nacisnął klamkę. Imponujące wejście w dębowej okładzinie otwarło się bez szmeru, co świadczyło o dobrze naoliwionych zawiasach, i Durell leciutko stąpając po puszystej macie też wszedł bez szmeru. Drzwi do pokoju sekretarki były otwarte, widział na ukos całe wnętrze pokoju i mógł skontrolować, że także drzwi do najświętszego przybytku, do gabinetu starego, były otwarte. Ktoś tam wewnątrz rozmawiał. Słyszał szelest papieru. Kobięcy głos: - Chcesz skontrolować świder automatyczny, kochanie, wydaje mi się, że trzeba sprawdzić tę umowę. - Męski głos: - Słusznie, teraz jest prawomocna. - Durell podkraść się do drzwi sekretariatu i nastawił uszu. Szelest nie ustawał, ale nikt się nie odzywał. Nagle w przeciwnych drzwiach stanęła panna Nilsson. Nic go nie ostrzegło - to wina miękkich dywanów - nie zdążył nawet przybrać jakiejś odpowiedniej do sytuacji, usprawiedliwiającej go postawy. Panna Nilsson zaczerwieniła się lekko. Przez sekundę stała jak wryta ze skoroszytem pod pachą i nie mogła znaleźć słowa, wreszcie jednak powiedziała:

- Przepraszam, co pan tu robi? - Słowa te wypowiedziała uroczo głębokim, ciemnym altem z akcentem skońskim.

- Co mówisz, kochanie?

- Nie do ciebie, mamy gościa.

Bengt Ahlgren stanął obok niej. On też poczerwieniał na widok Durella, tylko znacznie gwałtowniej.

- Co pan tu, u licha, robi, jak pan wszedł?

Durell obdarzył go niewinnie błękitnym spojrzeniem.

- Przez drzwi. To właściwie bezwstydne, jakie wymagania stawia się teraz ludziom.

- Co pan przez to rozumie? - Adwokat z irytacją spojrzał na pannę Nilsson. - Dlaczego nie zamknęłaś? - I miększym nieco głosem: - Przecież każdy mógłby wejść i coś zabrać, wcale byśmy nie zauważyli. - I dużo ostrzej do Durella: - Co pan rozumie przez bezwstydne?

- Bezwstydne wymagania, jeśli chodzi o pracę. Żeby pracować pierwszego maja, państwo pracują i ja, nigdy wolnego, nigdy... A może... - Głos mu zamarł w niedopowiedzianym pytaniu.

- Tak, było trochę roboty, ale już jesteśmy gotowi, wszystko właściwie załatwione. Jeśli zechce pan chwilę poczekać, możemy razem stąd wyjść. Czy może pan tu w jakiejś specjalnej sprawie? - Uniósł brwi i z góry spojrzął na asystenta.

- Cóż, w specjalnej sprawie - wolno powiedział Durell. - Ciekaw byłem tylko, co państwo tu robia.

- Było trochę zaległej korespondencji, parę godzin już pracujemy, ale załatwione.

- Skąd, nie parę godzin, co najwyżej kwadrans. Co można załatwić w kwadrans? I co jest tak pilne, żeby nie mogło czekać przez świąteczny dzień? - Durell powiedział to nieco oschle, przez zęby.

- A co pani miała w tej kopercie, którą pani wymachiwała na stacji kolei podziemnej przy Odenplan? - Uśmiechnął się.

- Nic panu do tego.

- Przecież tak łatwo się o tym przekonać. Nie chce pani powiedzieć?

- Nie. Dlaczego miałabym to zrobić? To rzecz zupełnie prywatna.

- Ja też mam wrażenie, że zupełnie prywatna. I że ma pani powód, by ją za taką uważać. - Podeszedł do nich wolno i wyminąwszy stojących i biurko panny Nilsson zajrzał do pokoju starego. Na biurku leżał skoroszyt. Obok jakiś papier, dalej otwarta czarna teczka i wreszcie ta brązowa, otwarta koperta.

- Pan już widział te dokumenty - odezwała się panna Nilsson. - Zamierzaliśmy je właśnie włożyć z powrotem do skoroszytu, gdzie

jest ich miejsce. Teraz po tej śmierci musimy liczyć się z rewizją i żadnego dokumentu nie powinno brakować. Pan chyba rozumie.

- Oczywiście, że rozumiem - przyjaźnie zgodził się Durell. - Niech mi pan powie - zwrócił się nagle do Bengta - czy to pan był odpowiedzialny za zakup maszyn?

- Ja sprawdzałem oferty od strony prawnej, nim szef je zatwierdził. Kupnem zajmował się dział zakupu przy fabryce w Skövde. Dlaczego pan pyta?

Durell wykonał obronny gest swą pulchną rączką cherubina.

- Ach, tak sobie. A kto zatwierdzał potem faktury, pan czy może sam Vade?

Bengt zachmurzył się.

- To robił szef zakupów po skontrolowaniu zatwierdzonej oferty. Obawiam się, że pan nie jest zbyt obeznany z tego rodzaju sprawami.

- Może i nie - zgodnie przyznał Durell. Pochylił się nad wielkim biurkiem, w którego wypolerowanym blacie nigdy już nie miała się odbić twarz starego dyrektora, sięgnął po jeden z arkuszy. - To jest właśnie oferta - powiedział. - A wpłaty wychodziły ze Skövde czy stąd?

- Ze Skövde.

- To chyba dobrzy dostawcy, co? - Uśmiech Durella stawał się coraz szerszy. - Ta Spółka Akcyjna przy Tegelviksvagen, prawda? Był pan tam w środę, bardzo się panu spieszyło, zakup jakiejś nowej maszyny?

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Ale ja wiem. Może pojechał pan tam na polecenie dyrektora Vadego, spotkał się pan z nim o dziesiątej tu w biurze, może panu coś zlecił, czy tak?

Bengt nie odpowiedział, z głową wciągniętą w ramiona uporczywie wpatrywał się w Durella. Brodę wysunął, ręce splótł za plecami. Panna Nilsson przysunęła się do niego, sięgała mu tylko do ramienia, choć była wysoką kobietą.

Durell nie czekając na odpowiedź sięgnął po inne papiery, przejrzał je uważnie i udał zdziwienie.

- Ale co za przypadek - zaczął. - Przecież to same oferty, tylko oferty. I wyobraźcie sobie państwo, że jedną z nich już widziałem. Szybko odwrócił się do sekretarki i wypuścił strzałę:

- Tu w biurze, panno Nilsson, przy naszym pierwszym spotkaniu. Był na niej dopisek: „oferta zmieniona 18.IV, przewidywane koszty - dwa tysiące sto siedemnaście koron”. Doskonale sobie ten dopisek przypominam. Na tej nie ma dopisku, tylko suma brutto. Stempel zatwierdzający i podpis Vadego.

Durell ściszył głos do szeptu:

- Pani znakomicie chyba zna podpis dyrektora?

Panna Nilsson odetchnęła gwałtownie i też szepnęła, ale nie było to przedrzeźnianie:

- Nie wiem, panie asystencie.

- Ale ja wiem. To tę właśnie ofertę miała pani w kopercie razem z innymi, nie mającymi dopisków, obliczonymi tylko brutto, pochodzącymi ze Sp. Akc. „Maszyny”, datowanymi w różnych terminach w ciągu ostatniego roku. Nie chciała pani, żeby rewidenci odkryli, że są oferty z klauzulami. Bo to robi przykre wrażenie. Zgadza się, panno Nilsson? Może pani zaprotestować.

Panna Nilsson zagryzła wargi, aż szminka pozostawiła ślad na zębach. Nie odpowiedziała.

- Więc zabrała pani tu dziś ze sobą adwokata – podjął Durell - i wymieniła te sprawiające przykre wrażenie papiery na inne, mniej przykre. Dobrze to pani urządziła. - I ostrzejszym już głosem: - Tylko nie dla pani, panno Nilsson, nie dla pani!

Zapanowała przytłaczająca cisza. Potem Bengt się roześmiał twarzą i nieopanowanie.

- Te spekulacje drogo pana mogą kosztować, panie asystencie. Czy nie widzi pan, że to są oferty zastępcze, całkowicie ważne, na firmowym papierze spółki, podpisane przez szefa przedsiębiorstwa, ostemplowane, zatwierdzone przez Vadego. Niech pan polega na datkach, inni to na pewno zrobią. A poza tym - głos jego zabrzmiał metalicznie - pana to nie powinno obchodzić. Durell skłonił się lekko.

- Wiadomo panu, panie mecenasie, że zajmuję się morderstwem. Słyszał pan: morderstwem. I wszystko może i powinno mnie obchodzić.

Znowu zwrócił się do pięknej sekretarki i wypuścił nową strzałę:

- Czym jest pani ojciec w Spółce Akcyjnej „Maszyny”?

- Kierownikiem sprzedaży.

Tak ją to pytanie zaskoczyło, że nie zdążyła się przed nim uchylić. Odpowiedź sama spłynęła jej z ust. Durell dał wyraz swemu zadowoleniu.

- To wiele wyjaśnia, jak się zdaje. Łatwo wszystko urządzić. Łatwo wypisać podwójne oferty na tej samej firmowej maszynie. Łatwo wymienić kopie. Łatwo uzyskać nowe podpisy. - Spojrzał na Bengta. - Pewnie był pan tam w środę w sprawie podpisów.

Aż sapnął z zadowolenia.

- Jak to wspaniale, kiedy przecucia się sprawdzają! Przelotne spojrzenie na ofertę, bez znaczenia, pocałunek w krzakach w noc Walpurgi, bez znaczenia, brązowa biurowa koperta w ręku sekretarki w dzień wolny od pracy, nieważna, wizyta adwokata w fabryce maszyn, nieważna. I te drobne nieważne klocki zebrane razem nadają przecuciom sens. A jeśli w grę wchodzi morderstwo, z tego sensu wydobyć można motyw. Łapówki, lepiej może powiedzieć: cichcem dawane prowizje, to lepiej brzmi.

Przyjrzał się stojące przed nim parze. W tej sprawie były same pary: wdowa i architekt, pomoc domowa i kelner, adwokat i sekretarka, i inne też, córka i jej narzeczony ta smutna siostra Alma i jej syn. Same pary, wciąż on i ona. tylko w zmieniających się konstelacjach.

Ani Bengt Ahlgren, ani sekretarka nie zamierzali chybi odpowiedzieć. Stali, unikając jego spojrzenia jak przyłapani uczniacy. Durell chrząknął.

- Na tym posiedzeniu o piętnastej pan właściwie powinien być. Dlaczego pan nie przyszedł? Bo już pan wiedział, że pańska obecność jest niepożądana.

Bengt wciąż nie reagował.

- Dowiedział się pan o tym już o dziesiątej rano, prawda, kiedy dyrektor przedstawił panu wiele ofert niezłomnie wskazujących na to, że jest pan łapownikiem, że bezprawnie bierze pan prowizje. Pan dostarczał firmie „Maszyny” zamówień, a ona dawała panu tyle, ile stary nie chciał dawać. W ten sposób dobrze pan zarabiał i dlatego pan tu siedział, choć stary pana dręczył. No i dlatego, że była tu panna Nilsson. - Durell strzelił palcami. - A jej ojca poznał pan pewnie składając wizytę w jej domu. Omawiało się interesy w miłej rodzinnej atmosferze. Jakież metody pracy są obecnie stosowane.

- Zamilknij pan wreszcie! - wybuchnął nagle Bengt Ahlgren i ruszył ku Durellowi z zaciśniętymi pięściami.

- Nie, Bengt! - krzyknęła sekretarka. - Nie rób niczego byś musiał żałować.

- Nie wtrącaj się - syknął. - Niechże pan teraz posłucha, rudzielcze. Wydaje się panu, że niezmiernie chytrze i pan sobie wykalkulował. Ale niech pan wierzy słowu prawnika, te kalkulacje daleko pana nie zaprowadzą, gdy zostaną poddane prawniczej analizie. Tu są dowody, że wszystko odbywało się prawidłowo. Jedyne człowiek, który mógłby wnieść sprzeciw, smaży się w ogniu piekielnym. Na tych dowodach nie ma fałszywych stempli i podpisów nikt nie udowodni,

że sygnatury nie są prawdziwe. Nikt by się nie považył wnieść oskarżenia, bo natychmiast sam by się naraził na zarzut fałszywego oskarżenia.

Durell słuchał niezbyt uważnie. Groźny ton i agresywna postawa działały na niego jak ciepły prysznic, właściwie rozkoszował się wprost wzburzeniem, jakie wywołał.

We wzburzonej wodzie można coś złowić; gdy prąd mocny, nic nie powstrzyma ryby przed wpadnięciem w sieć zastawioną pod prąd. Wspomnienia z pierwszej tu wizyty wyskakiwały teraz z pamięci, w pełni uświadomił sobie ich znaczenie. Stary wiedział. Ze swoim adwokatem rozmawiał wtedy, gdy telefonistka zdążyła podsłuchać coś niecoś. „Sprawa jest jasna, usłyszysz każde słowo na płycie...” No tak, płyta. Z pewnością nie myślał o płycie z przemówieniem jubileuszowym na swoje osiemdziesiąte urodziny. Durell przesunął wzrokiem po pokoju, po staroświeckim telefonie, po teleksie - będącym ustępstwem na rzecz wymagań nowoczesności i efektywności pracy ze strony człowieka, który nowoczesności nienawidził - po tykającym zegarze połączonym z kalendarzem, po terminarzu opartym o zegar, po dyktafonie stojącym na półce za biurkiem.

Wykorzystał chwilę, w której Bengt Ahlgren zamilkł, by sięgnąć po mikrofon dyktafonu i powiedzieć:

- W tej sprawie dyrektor rozmawiał z panem o dziesiątej. Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby zadbał o to, by rozmowa z nim i pana przyznanie się zostały utrwalone dla potomnych. Kto wie, może włączył ten aparat. To by mu oszczędziło trudu, gdyby miał pańską wypowiedź na ten temat. Rozumie pan, co mam na myśli? Może przeagramy tę płytę?

Bengt Ahlgren zbladł.

- Czyżby on to miał na myśli... - Roześmiał się sucho i niewesoło. - Wszystko jedno. Może ma pan rację, może nie. Możemy przegrać płytę, może pan ją sobie zabrać. I tak po mojej stronie wygrana.

Prowizja nie jest czymś zabronionym przez prawo. Oferty ocenia się nie tylko pod kątem wysokości kosztów.

- Można sprawę zatuszować bez szkody dla pana przyszłej kariery - dokończył Durell obojętnie. - A więc miałem rację, jeśli chodzi o poranną rozmowę.

- Może pan myśleć, co się panu podoba.

- I o pana wizycie w Spółce Akcyjnej „Maszyny”.

- Również, proszę bardzo.

Twarz Durella znowu była nieprzenikniona, bez wyrazu.

- Wreszcie dotarliśmy do sedna. W zapale zapomniał pan o konieczności zatarcia śladów. Przecież my zajmujemy się sprawą morderstwa. Czy spotkał się pan z Vadem w dniu morderstwa, jeszcze raz, później?

Bengt spojrział na niego podejrzliwie.

- Nie.

- Na pewno? Niech się pan dobrze zastanowi.

- Powiedziałem: nie.

- To dziwne - głos Durella wznosił się do crescendo. - A jak może pan wyjaśnić fakt, że pokwitowanie za przejazd taksówką do Spółki Akcyjnej „Maszyny” znaleziono w kieszeni pana zamordowanego pracodawcy?

Bengt zachwiał się, sekretarka podbiegła i chwyciwszy go za ramię szepnęła drżącym od strachu głosem:

- Bengt... nie, Bengt...

Uwolnił się niecierpliwie, szybko wrócił do równowagi. Unikając spojrzenia Durella usiadł w fotelu.

- Teraz rozumiem - powiedział. - To prawda, trzeba zacierać ślady. - Znowu roześmiał się smutno. - Nie było właściwie powodu, by przemilczeć to, co wiem. Ale nieczyste sumienie sprawiło, że straciłem rozeznanie.

Omijając korpulentną postać asystenta utkwiał oczy gdzieś za nim.

Durell miał wrażenie, że Bengt myśli gorączkowo, by znowu nie popełnić błędu, nie zostawić nowego śladu.

- Miałem przecież motyw, by pozbyć się starego, co mogło wyjść na jaw przy dokładniejszym badaniu. Byłem mu winien pieniądze za studia i serdecznie go nie cierpiałem.

- Więc czy spotkał się pan z nim? Bengt kiwnął głową.

- Kiedy?

- Wieczorem, kiedy wracałem do Ulriksdal. Jechałem drogą na Uppsalę, a on szedł nią pieszo. Zobaczyłem tę znienawidzoną postać, mały, chudy, bez płaszcza i z gołą głową, nawet od tyłu wyglądał jak skorpion.

- Która była godzina?

- Koło wpół do dziesiątej. Już się ściemniało.

- No i co?

- Mimo wszystko czułem dla niego respekt. Dlatego zatrzymałem się i spytałem, czy chce podjechać. Nie odpowiedział, obszedł samochód i usadowił się obok mnie. Tylko nie myśl, że unikniesz nieprzyjemności, boś mnie podwiózł. Wściekłość mnie ogarnęła, na siebie samego, że się zatrzymałem. Przykro mi, powiedziałem, postępuje się czasem niedorzecznie. Gdybym sięgnął po rozum do głowy, szedłbyś piechotą aż do zderzenia podeszew, aż byś padł. Dlaczego nie pojechałeś autobusem? Aż zapiał z radości z powodu tych zdartych podeszew. Sam zobacz, dlaczego, powiedział i podsunął twarz. Miał siniak pod okiem i nos spuchnięty. A co to takiego, spytałem, ktoś ci może lanie spuścił. Nie gadaj głupstw, upadłem na drzwi... urwał, widać nie miał ochoty opowiadać, jak było. Jednak poznałem, że kłamie. - Bengt zamilkł.

- Zawiózł go pan do Ulriksdal?

- Nie, wysiadł przedtem. Pomyliłem się przy skręcaniu, przez

roztargnienie, i pojechałem aż do starej drogi, wie pan, tam jest trochę bliżej nowa droga do Ulriksdal, tuż przed koszarami, tam powinienem był skręcić.

- I gdzie on wysiadł?

- O kilkaset metrów od pralni. Powiedział, że chce trochę odechnąć. Chętnie się go pozbyłem, już go miałem dość. Chyba pan rozumie.

- Bardzo dobrze rozumiem. Tylko pokwitowanie, ni zapominajmy o kwicie.

- W samochodzie poprosił o chusteczkę. Proszę sobie wyjąć, mam ją w górnej kieszeni marynarki, powiedziałem. Razem z chusteczką wyjął kwit. Zabieram go, powiedział. I to się liczy przy amortyzacji podatkowej. Traktujemy to jako maleńką część spłaty z twojej strony. Ni mogłem powstrzymać się od śmiechu. On był nieprawdopodobnie skąpy.

- A pan pojechał dalej?

- Tak. Moja matka zresztą może być świadkiem. Zabrałem ją po drodze.

- Gdzie ją pan zabrał?

- Przy pralni, właśnie z niej wyszła, gdy tamtędy przejeżdżałem. Chciała wrócić do domu i zmienić pulower żeby go nie niszczyć przy praniu.

- Rozumiem. I od niej dowiedział się pan, że dyrektor nie wrócił do domu?

- Tak.

- A pan ani słowem nie wspomniał, że przyjechał z panem i że znajduje się w odległości kilkuset metrów?

Bengt zacisnął usta.

- Nie wspomniałem. Nie miałem ochoty o nim rozmawiać. Miałem go dość. Poszedłem do swego pokoju i położyłem się.

- Dość to dziwne. Ani słowem o nim i od razu do łóżka. Bez jedzenia nawet?

- Jadłem w mieście.

Durell przyjrzał mu się z powątpiewaniem.

- Dobrze, to by chyba było wszystko na dziś.

I pozostawiając rozmówcę opiece sekretarki wyszedł. Naprzeciw drzwi wisało lustro w wąskiej dębowej ramie. Rzucił w nie okiem i zobaczył, że panna Nilsson rzeczywiście bardzo czule zajęła się swym przyjacielem. Pochyliła się nad nim, on podniósł głowę i usta ich zetknęły się w szybkim pocałunku. Wydało mu się, że i ich oczy spotkały się przy tym i że połączył je porozumiewawczy uśmiech. Zatrzymał się, odwrócił.

- Niech mi pan jeszcze coś powie, panie mecenasie.

- Co mianowicie?

- Chyba nie było tak, że pan wciągnął starego za stajnie i tam go zakatrupił? Bo jeśli już zginął, dobrze było zadbać o to, żeby poszukiwania nie były daremne. Tyle hałasu o nic, to drażni, prawda?

- Pan przypuszcza... Drogi panie, przecież przed powrotem do domu nie miałem pojęcia, że go szukają, że przepadł. Pana spekulacje są rzeczywiście śmiałe.

- Tak pan uważa. Przyszło mi tylko na myśl, że już zabierając go po drodze mógł pan wiedzieć, że się gdzieś zawieruszył. Może za tą uprzejmością kryły się jakieś plany.

- A skąd, na litość boską, mógłbym wiedzieć?

Durell zmarszczył czoło, jakby się nad tym głęboko zastanawiał.

- Czy ja wiem? Może od panny Nilsson. Przecież to ona zgłosiła, że zginął.

Durell odwrócił się na pięcie, co na grubym dywanie było zadaniem niełatwym, i wyszedł lekkim krokiem. Był dość zadowolony z rozwoju wydarzeń i z siebie samego raczej też.

Sargren leżał w łóżku, troskliwie opatulony, co było dziełem żony.

Szyję miał owiazaną szalikiem w szkocką kratę, nos opuchnięty, czerwony i błyszczący, bo wysmarowany miętową maścią, której zapach unosił się w pokoju. Na nocnym stoliku stała szklanka czerwonego wina, flakon antyseptycznego płynu z rozpylaczem. Durellowi wskazano miejsce dość daleko, pod oknem, na niewygodnym wyplatany krzeselku. Siedział jak Budda, wyprostowany, z rękami na kolanach. Marynarke miał przemoczoną, zwłaszcza na ramionach, bo pierwszomajowy deszcz zaskoczył go w drodze od stacji kolejki podziemnej do willi komisarza, a rozpadało się na dobre. Do mieszkania wciskało się bębnienie deszczu o trotuar, szum wody szorującej z rynny i chlupot kałuż rozpryskiwanych przez przejeżdżające samochody. Durell wiele miał do opowiedzenia, wydawało mu się, że o niczym nie zapomniał, szef wydawał się zadowolony z tego, co usłyszał. Patrząc na Durella zmętniałymi oczami powiedział:

- A więc żył jeszcze, kiedy ciemność już zapadła. Ostatnim, który go widział, jest adwokat. Nieźle, mój przyjacielu, tylko...

- Ostatnim, który go widział, jest morderca - przerwał Durell. - Powracamy do Ulriksdal. Mieszkanie w mieście i to, co się tam stało, już nie jest tak ważne. W każdym razie skreślamy je jako miejsce zbrodni.

- Tylko daj mi inne.

- Właśnie. Odwróćmy moje rozumowanie w sprawie transportu, wyjdźmy od miejsca znalezienia. Trzeba stwierdzić, że wówczas mieszkanie wydaje się mało prawdopodobnym miejscem zbrodni. Należy postawić pytanie: Czy w ogóle jest miejsce zbrodni, które byłoby prawdopodobne w stosunku do miejsca znalezienia zwłok.

- Zróbmy to metodycznie - powiedział Sargren. - Miejsce znalezienia i miejsce zbrodni jest jedno.

- Wykluczone. Strażnicy by zauważyli. I nie ma tam żadnych śladów. Prawie żadnych.

- Stajnie i teren między stajniami a rzeką.

- Możliwe. Ale w dalszym ciągu nieprawdopodobne. I tam nie ma śladów, nic nie wskazuje na walkę, wleczenie ciała. Z drugiej strony nie jest to daleko, zwłoki można było zanieść. - Durell westchnął. - Morderca musiałby być silnym mężczyzną i zręcznym akrobatą. Bo trzeba ogromnego wyczucia równowagi, żeby przenieść ciało po tak wąskiej desce, w dodatku po ciemku.

Wstał z niewygodnego krzesła i stanąwszy przy oknie patrzył na deszcz.

- Jedź dalej.

- Gdzieś po drodze, między stajniami i pralnią czy w pobliżu pralni.

- Możliwe. Ale im dalej idziesz, tym bardziej prawdopodobne się staje, że morderca wybrałby inne miejsce dla ukrycia ofiary. Powiedzmy, że został zabity na drodze czy w pobliżu drogi. Najprościej byłoby ukryć go gdzieś prowizorycznie, a potem przewieźć samochodem na jakieś stare wysypisko czy do morza.

Oczy Durella śledziły wodę spływającą z rynny w rynsztok. Odgłosy deszczu, samochodów, wszystkiego, co poruszało się w zamkniętym świecie za szybą, stanowiły jakby monotony podkład muzyczny ich rozmowy. Pudełko od zapalek tańczyło w rynsztoku, nagle stanęło sztorcem i zostało wessane przez kratkę studzienki, jakaś pani pod parasolem przebiegła nie dbając o buciki i ochlapując sobie pończochy.

- A jeśli wyjdziemy od drugiej strony- powiedział Sargren. - Tylko to nie zmienia twego argumentu. Albo przyjmujemy, że on jednak mimo wszystko zaniósł zabitego do parku. Mógł mieć szczęście. Jeśli mu szczęście dopisało, nie musiał wpaść prosto w ramiona strażników...

Durell nie słuchał. Wpatrywał się w studzienkę pochłaniającą strumienie spływającej wody i jego oczy widziały tylko ten wycinek

świata. W jego głowie zaczynał układać się obraz. Jak archeolog z ziemi wydobywał z zakamarko mózgu skorupy, przykładał jedną do drugiej, dopasowywał. Z zebranych przez ostatnie dni ułamków mozolnie wybierał te, które okazywały się przydatne. Widział, słyszał, wietrzył. Samochody, fotografie, worki z bielizną zakrwawione ręczniki w papierowych torbach, skomleń i podskakiwanie psów, wesołe wdowy i zazdrośni Włosi nawalające silniki i patrole w obchodzie, muliste wody i kamieniste dna, spatynowani Maurowie - wszystko zaczęło ustawiać się w szeregu, wysuwać o krok naprzód albo o krok cofać, meldować się jako ważne albo nieważne. W zagmatwanym przebiegu wydarzeń zarysowała mu się czerwona nić przewodnia. Ten czy inny szczegół był jeszcze ciemny, lecz fragmenty najistotniejsze już pojaśniały w jego mózgu, rysowały się coraz wyraźniej, w miarę jak mózg pracował gorączkowo nad zestawieniem zebranej materiału. Jak z wielkiej oddali słyszał, że dzwoni telefon że Sargren coś mówi, wydaje okrzyk zdziwienia, odkład słuchawkę, ale to było poza obrębem jego świadomości. Nic do niego nie docierało teraz, kiedy był na drodze do całkowitego zrozumienia.

Odwrócił się nagle do komisarza. Oczy promieniały m najczystszym błękitem, klasnął w ręce.

- Mam, Staffan - powiedział. - Wiem, jak było. Wiem jak to się stało, kto to zrobił. I jak odbył się transport. Nawet idiota by to mógł obmyślić.

Komisarz usiłował mu przerwać niecierpliwym gestem. Chciał coś powiedzieć, ale przeszkodził mu w tym atak kaszlu, co dało Durellovi szansę.

- Przypominasz sobie te obrażenia pośmiertne, pamiętasz, w jakich były miejscach?

Sargren wreszcie złapał oddech i powiedział zakatarzonym głosem:

- Na kolanach i na rękach. Od ocierania się o dno tan pod mostem.

- A przypominasz sobie, jak był przywiązany? Za lewe ramię i lewą nogę. I zatopiony z prądem.

- Wszystko jedno. Wiesz, kto dzwonił?

Durell go powstrzymał.

- Wiesz, jak leżał w wodzie, pomyśl, Staffan.

- Gdybyś zechciał posłuchać...

- Przecież by się odwrócił i leżał plecami do dna. Więc jak by mógł mieć obtarcia na kolanach i rękach.

- Słuchaj, Bertil...

- A wiesz, kiedy powstały? Przy transportowaniu. Kiedy go usunięto z miejsca zbrodni jedynym możliwym środkiem transportu, jedynym, jaki trzeba brać pod uwagę, wodą. Zepchnięto go do rzeki, żeby popłynął z prądem. Morderca stał przy moście, a kiedy zwłoki nadpłynęły, zakotwiczył je do liny między Maurami. A ponieważ stwierdzono, że obrażenia są pośmiertne, co można ustalić tylko wtedy, gdy między śmiercią o powstaniem obrażeń upłynął pewien czas, był już przedtem martwy. Nie żył już od dobrej chwili, kiedy go zepchnięto do wody, żeby popłynął z prądem. Kapujesz?

Sargren się skrzywił.

- Wybacz, ale wątpię, czy można wyłowić zwłoki sunące po dnie i to na dodatek w środku nocy. Gdybyś zechciał przez chwilę słuchać, miałbym ci do zakomunikowania, że dostałem właśnie ostateczny wynik obdukcji. Wiesz, od czego umarł Vade?

- Od wgniecenia kości czołowej.

Sargren uśmiechnął się z wyższością.

- Dość długo był martwy, powiadasz, nim się znalazł w wodzie.

Durell przytaknął. Sargren wygodniej wyciągnął się w łóżku.

- Utonął, Bertil. Uszkodzenie na czole byłoby rzeczywiście

śmiertelne, gdyby nie to, że już i tak nie żył. No więc może lepiej wypuść swojego mordercę i poszukaj innego, wymyśl także inny przebieg wydarzeń i skoncentruj się na nowym miejscu zbrodni. A co do sposobu przetransportowania, o jakim była mowa, to też nie wydaje się on zupełnie wodoszczelny.

Sargren uśmiechnął się, Durell też.

- Żartownisiu. Wydaje mi się, że poprzestanę na tym, co mam. A więc utonął. Został utopiony, chciałeś powiedzieć. Co mi wcale nie przeszkadza, wyobraź sobie. Czyś ty kiedy łowił ryby, Staffan? To wiesz chyba, co to za przyjemność, kiedy ryba bierze i spławik się wynurza. Tylko pociągnąć do góry i jest ryba. Jeśli chcesz, zadryndaj do prokuratora, zaproś go na obiad. Ja zamierzam postawić danie główne: świeżo złowioną rybę, tłustą, delikatną, chyba przyjmie zaproszenie. I może byś zadzwonił po samochód dla mnie. Mój garnitur źle znosi taki deszcz...

XIV

- Hamak źle znosi taki deszcz - powiedziała Monika.

Agda wstała i podeszła do okna.

- A nie mamy jakiejś plastikowej płachty, żeby go przykryć. Potrzebny jest ten deszcz. Pomyśl, jak wszystko zacznie rosnąć. Krzaki wypuszczą pąki, drzewa się zazielenia, bzy zakwitną i czeremchy przy drodze, już widzę, jak tu będzie zielono. Gęstwina, nic nie będzie widać, tylko zieleń. Pewnie, tulipany i narcyzy też są ładne, ale nie to co zieleń. A zapachy czeremchy i bzów.

Zwróciła się do Anny rozlewającej herbatę do dużych filiżanek w niebieskie kwiatki.

- Chętnie zjadłabym dziś obiad w gospodzie. Jak myślisz, będzie stolik?

- Można się dowiedzieć.

- Wczoraj młodzież tam była - ciągnęła Agda – dziś uważam, że na nas kolej. Przecież właściwie stół był na dziś zarezerwowany.

Anna skinęła głową.

- Mówili nawet w telewizji.

- Szkoda, że nie w gazetach - dodała Sylwia. - Przegapili. Ale by były tytuły: „Morderstwo w Ulriksdal”, „Milioner złowiony przez stare posągi”. - Zauważyła spojrzenie Agdy. - Wczoraj w wieczornych gazetach nie zdążyli, a dziś gazety nie wyszły. Zecerzy i drukarze świętują. Tylko policja nigdy nie ma spokoju, nawet w święto.

- A my będziemy świętować - szepnął Jonas dotykając ramienia Moniki. Odpowiedziała przytuleniem nosa do jego policzka. Pies wlaź w kąt za kanapą i położywszy łeb na łapach wpatrzył się w Agdę.

- Nie zostaniemy na pogrzebie - powiedziała Alma. - Jutro wyjeżdżamy.

Anna spojrzała na nią posępnie, a Agda się roześmiała.

- My też nie zostaniemy. Choć można się spodziewać, że nie będzie to uroczystość zbyt przykra.

Sylwia prychnęła i odstawiła filiżankę.

- Właściwie należałoby zostać. Byłaby przynajmniej jakaś rekompensata za niedoszłe przyjęcie urodzinowe, za cierpienie i smutek. Wypraszałabym tylko sobie sąsiedztwo Borysa przy stole.

Borys pochylił twarz nad filiżanką, Jonas zauważył, jak mięśnie poruszyły mu się pod skórą i przemknęło mu przez głowę wspomnienie Borysa budzącego go rano, Borysa deklamującego po rosyjsku.

- A ty, Borys, nie chcesz być świadkiem uroczystości, zstąpienia do czyśćca czy może prosto w ogień piekielny?

Anna dość gwałtownie postawiła filiżankę, rozlewając herbatę na spodek.

- Jonas - powiedziała śpiewnie, zabrzmiało to jak w kościele - istnieje coś, co się nazywa przyzwoitość.

- Pewnie - powiedział Jonas. Nie podobało mu się, że Anna to mówi. Krew mu napłynęła do twarzy. Ścisnął rękę Moniki, czując, że wzbiera w nim coś i choćby chciał, nie potrafił się powstrzymać. - Pewnie, że istnieje coś, co się nazywa przyzwoitość, dziwi mnie tylko, że właśnie tobie to na myśl przyszło. W twoich ustach to jakoś nie pasuje.

Anna zmarszczyła czoło, ale Jonas ciągnął dalej:

- A jeśli o przyzwoitość chodzi, to w całym tym domu nie ma jej ani uncji. Ty powinnaś chociaż udawać, udawać smutek. Jeżeli nie smutek, to chociaż żal. A jeżeli już nie, udawać chociaż, że trochę cię obchodzi to, co się stało. Wiem, że nikt go zbyt nie kochał, i co się stało, to się stało, koniec końców Bogu dzięki i pięknie, że jest, jak jest. Ale jeżeli to przechodzi w przesadny humor i powoduje śmiech, to jednak za wiele. Więc nie mów o przyzwoitości.

- Jonas, cicho. Nie wiesz, co mówisz.

- Wiem. Zapewniam, że wiem.

Wstał, bo poczuł nagle, że blednie i że ręce mu zwilgotniały.

- Życzyłaś mu śmierci, Anno. Może i zasłużył na to. Ale nikt nie zasługuje na taką niehumanitarną obojętność, jaką ty go otoczyłaś. Może go zabiłaś, Anno? Odważ się odpowiedzieć, Bóg ci może wybaczy, jeżeli postąpiłaś tak, bo musiałaś. Ale nie siedź jak sfinks, nie udawaj niewinnej, nie czekaj spokojnie na kochanka, jakby się nic nie stało. I nie mów o przyzwoitości.

- Nie wiesz, co mówisz.

- I nie tylko ty. Spójrz na niego - wyciągnął rękę, wskazując Borysa. - Nie widziałas go dziś w nocy, jak gonił szczura. To był dla niego symbol. To stary drzał pod jego obcasem i krzyczał, krzyczał, bo nie mógł już uciec. Ta nienawiść w oczach, ta twarz, ta czarna muszka rozpięta na białym tle, zupełnie jak śmierć. To było o tyle przyzwoite, że to była naga, obnażona nienawiść, a nienawiść ma swoje prawa i swoje konsekwencje.

Alma wstała, wyrosła obok Borysa jak tarcza ochronna.

- Chcesz powiedzieć, że to Borys go zabił?

- Tego nie twierdzą. Mówię tylko, że on też się cieszy, bo starego już nie ma. Borys też ma powody, żeby go nie opłakiwać. Albumu nie odebrał, ale został pomszczony. Co tu zresztą mówić o opłakiwaniu, chodzi o przyzwoitość.

Borys też postawił filiżankę i chciał wstać, ale Alma go powstrzymała.

- Przez całe lata tłumił to w sobie - powiedziała metalicznym głosem, splatając ręce kurczowo. - Nie wiesz, o czym mówiliśmy z Borysem, dziś w nocy, kiedy wy wyszliście. On pragnął jego śmierci i zabiłby go może, gdyby był inny. Ale on jest chwiejny jak łoża. Zatelefonował do niego, chciał go przestraszyć, chciał usłyszeć, że on się boi, chciał go doprowadzić do drżenia. I to wszystko, zapewniam cię. Borys jest za miękki. Stary go wyśmiał. Poznał jego głos i powiedział, że go nauczy moresu, że go wyrzuci ze swego domu. Borys zadzwonił i powiedział, że jest śmiercią. Rozumiesz, co czułam na myśl o tym i o tym, że starego wyłowiono z wody. Prorok przemawiał do Vadego, a Vade nie rozumiał, Vade zamierzał proroka wyrzucić ze swego domu. I kiedy Borys stał z podniesioną nogą, żeby zabić szczura, nie miał odwagi go zabić. Istnieje świat myśli i pragnień, ale między tym światem a rzeczywistością wznosi się szklana ściana, widzi się przez taką ścianę, tylko się nie dosięga. Wszystko jest po tamtej stronie, po której, nie wiem, czy zrozumiesz, on też się znajduje, z której otrzymuje nakazy przez głosy i symbole, ale one nigdy nie docierają do rzeczywistości. Zostaw go, Jonas, w spokoju. Nie mów o zemście, realnej zemście, kiedy nawet groźby są tylko grą podświadomości, czego ty nigdy nie zrozumiesz.

Alma była jeszcze bledsza niż zwykle. Mówiła do Jonasa, ale nie do niego się zwracała i do nikogo innego, tylko wprost przed siebie.

Głęboko zaczerpnąwszy tchu usiadła i wzięła Borysa za rękę. Matka, która dla swego dziecku gotowa jest na wszystko, pomyślał Jonas, ale jej wyznanie wcale go nie powstrzymało.

- A ty sama - powiedział wciąż zacietrzewiony, po raz pierwszy zwracając się do niej przez ty. - Ty, czy nie spełniałaś każdego jego pragnienia? Ty nie tkwisz za szklaną ścianą. Każdego z jego otoczenia, kto by mu chciał w najmniejszej mierze zaszkodzić, kto by go zranił albo tylko zlekceważył, uśmierciłabyś przy nadarzającej się okazji. Dla ciebie tylko Borys ma znaczenie. Nie jestem taki ślepy, żeby tego nie widzieć. Dlaczego ten nagły wyjazd? Myślisz, że policja ci na to pozwoli? Myślisz, że się nie zainteresuje, nie zechce dowiedzieć się czegoś więcej o tej rozmowie telefonicznej? Nie zapomnij, że on za dużo paplał, ten twój Borys, wczoraj wieczorem, po pijanemu. Podsunąłem staremu pięść pod nos, powiedział. A kiedy? Może tuż przed uderzeniem. To i owo trzeba będzie wyjaśnić.

Alma, wciąż trzymając Borysa za rękę, poruszyła się, zakołysała jakby i powiedziała cicho, mocno sepleniąc:

- Uderzył tylko w wyobraźni. W wyobraźni spełniają się wszystkie jego pragnienia. Ale gdy próbuje je urzeczywistnić, zawsze kończy się to niepowodzeniem, gorzkim zawodem. I czas najwyższy, żebyśmy wyjechali.

Anna sięgnęła po papierosa i powiedziała:

- Najwyższy też czas, Jonas, żebyś usiadł.

Ale Jonas nie usiadł. Odurzony własną agresywnością, w pełni świadom biernej wrogości, jaka go otoczyła, stracił panowanie nad sobą. Przesunął spojrzenie po twarzach - Anna, piękna i obojętna, Alma, tylko oczy udręczone, poważne żyły w tej woskowej twarzy, Sylwia wciąż gotowa do bezmyślnego chichotu, Borys, w tej chwili wierne odbicie matki, Agda, u której spod okrągłej maski o dobrodusznym wyrazie nic nie można było dojrzeć, tylko jedną Monikę

znał naprawdę, tylko o niej jednej wiedział, co kryje się pod powierzchnią. Znów zaczął, krzycząc prawie:

- Każdy z was chętnie by to zrobił. Wy, co tu jesteście, i ci, których brakuje, też. Anna ze względu na siebie samą, Alma ze względu na Borysa, Borys z nienawiści, Agda ze względu na Bengta, Bengt ze względu na swoją przyszłość, Ragnar dla Anny, Rita dla pieniędzy, Włoch przez zemstę, Sylwia, żeby móc wreszcie użyć, a ja... ja ze względu na Monikę. Wszyscy patrzyli na niego, jak patrzy się na robaka, mówiło się: stary skorpion, pająk trzymający nas w sieci, a wszystko dlatego, że nie umieliśmy się z tej sieci wyplątać. Są inne drogi do uwolnienia się, niekoniecznie trzeba zabijać. Ktoś go jednak zabił, a wszyscy inni odetchnęli radośnie i używają wolności. Tylko usiąść przy stole i podzielić urodzinowy tort, jednemu album z markami, drugiemu pieniądze, trzeciemu parę kamienic, czwartemu karierę, dla piątego może być erotyka, śpiew, tańce i szampan, krzyż na jego grobie będzie prawdziwym znakiem zwycięstwa. Do diabła, niedobrze się robi, że nikt z was nawet nie udaje wstrętu do sposobu, w jaki go sprzątnięto, zupełnie jakby ktoś rozdeptał robaka.

Rozejrzył się, poczuł, że brak mu powietrza, że nie ma czym oddychać. Szybko podszedł do drzwi balkonowych i szeroko je otworzył. Natychmiast struga deszczu wpadła do pokoju i rozprysnęła się na podłodze. Kaplica, gospoda, teatr i zamek ledwie były widoczne, tonęły w szarych zamokłych kulisach drzew nagich, choć okrytych pąkami, gotowymi rozchylić się lada chwila. Odetchnął głęboko i zamknął oczy. Po chwili odwrócił się.

- W ogrodzie będzie robota - powiedział zmęczonym głosem. - Pójdę do siebie. Dziękuję za herbatę.

Ruszył ku drzwiom, Monika zsunęła się z kanapki i podążyła za nim. Anna podeszła do fortepianu i zatrzymała się tam niezdeterminowanie. Jonas, choć odwrócony, czuł, że na niego patrzy. Byli w hallu, kiedy ktoś głośno zapukał i wszedł nie czekając na odpowiedź. Gwałtowny pęd powietrza wdarł się na schody, obrus na stole zatrzepotał,

drzwi balkonu zatrasnęły się z hukiem, aż szyby zadzwoniły, a jedna wypadła i rozbiła się w drobne kawałki.

Anna zimno spojrzała na wchodzącego do hallu. Był to wysoki, atletycznie zbudowany mężczyzna, w czarnej, błyszczącej od deszczu pelerynie, z której kapało. Z czapki też, twarz miał mokrą, zmarzniętą i obojętną.

- Pani Vade - powiedział odszukawszy ją wzrokiem. - Przykro mi, że ta szyba, to przeciąg.

- Skąd pan wie, kim jestem?

- Z fotografii. Zechce pani pojechać ze mną do wydziału kryminalnego, samochód czeka.

Anna opuściła oczy.

- Wszystko, co wiem, już powiedziałam.

- Mam rozkaz przywiezienia pani. Rozejrzał się.

- Pani Ahlgren.

Agda drgnęła.

- To ja.

- Pani również. Zechce pani wziąć jakieś okrycie. Mieszka pani na dole, może pani zejść po płaszcz.

Rozglądał się dalej.

- Panna Shonborg.

Alma wstała wolno.

- Ja też?

- Pani też. Zechce pani zejść na dół.

Trzy siostry wyminęły Jonasa i Monikę. Bez słowa wyszły za policjantem, drzwi się za nimi zamknęły. Kroki na schodach zamilkły, wessane przez plusk deszczu. Monika spojrzała na Jonasa z wyrazem trwogi i niepewności.

- Czuję, że któraś z nich nie wróci - powiedział. - Która z nich...

Położyła mu rękę na ustach, potem oparła głowę o jego ramię i wybuchnęła płaczem.

Trzy siostry siedziały przed Durellem w jego pokoju służbowym w Kristineberg. Wszystkie siedziały wyprostowane, z rękami złożonymi na kolanach. Jedna okrągła i wesoła, choć teraz i w jej oczach nie było rozbawienia. Druga chuda, blada, ponura. Trzecia piękna i dumna, z lalą ciemnych włosów okrywających głowę jak welon. Deszcz wciąż bębnił w szyby, choć chmury zaczynały się przerzedzać. Szum niewidzialnego magnetofonu był tak dyskretny, że nie zwracał niczyjej uwagi. Durell spojrzał na Agdę.

- Około wpół do dziewiątej - powiedział - pojechała pani z synem do willi. Dlaczego?

- Chciałam zmienić pulower. Ten, który miałam na sobie, był za elegancki do prania.

- Jak długo zabawiła pani w domu?

- Tylko się przebrałam i zaraz wróciłam. W drodze spotkałam Almę. Chciała też pojechać z nami samochodem, ale wyszła późno, machała, nie zauważyliśmy.

Durell zwrócił się do Anny.

- To znaczy, że około wpół do dziewiątej została pani w pralni sama, na jak długo?

- Z pewnością nie dłużej niż dziesięć minut. - Anna nie patrząc na niego przesunęła ręką po włosach. - Potem przypomniałam sobie o tym worku z bielizną z Roslagsgatan i poszłam, żeby to załatwić. Wysłałam, kiedy Agda wróciła.

Niebieskie oczy otoczone wianuszkami piegów skierowały się na Agdę.

- To znaczy, że pani była sama w pralni od za kwadrans dziewiąta mniej więcej.

- Tak.

- Jak długo?

- Odpowiem jak Anna, z pewnością nie więcej niż dziesięć minut. Potem wróciła Alma.

- A co było później, po wyładowaniu worka z pani samochodu? Agda przymknęła oczy.
 - Ja odjechałam swoim wozem do willi, Anna razem ze mną, bo zapomniała zabrać papierosy.
 - A pan Kellen?
 - On też pojechał, ale tylko do gospody, tam czekała m niego Monika, dlatego ja prowadziłam.
- Durell zwrócił się do Almy:
- To znaczy, że pani też była w pralni sama?
 - Tak.
 - Jak długo?
 - Tak samo jak one, jakieś dziesięć minut. Potem wróciły.
 - I zajmowały się panie praniem aż do wpół do jedenastej?

Wszystkie trzy jednocześnie kiwnęły głową. Wszystkie siedziały ze splecionymi rękami i patrzyły w podłogę. Durell wpatrując się w Annę powiedział wyraźnie akcentując każde słowo:

- Mąż pani został zamordowany w pralni. Mniej więcej o tej porze, przez kogoś, kto znalazł się z nim w pralni sam na sam, wystarczająco długo, by popełnić ten czyn. Jedna z trzech sióstr go zamordowała, choć łączyła je wspólna do niego nienawiść. Zacznijmy od pani, pani Vade. Nowy obraz - przypomina pani sobie? Pani mąż wybiera się dość późnym wieczorem do Ulriksdal. Zabiera go po drodze mecenas Ahlgren, ale mąż wysiada o kilkaset metrów od pralni. Jak pani sądzi, dlaczego? By spotkać się z panią i pociągnąć do odpowiedzialności za to, czego świadkiem był tego dnia. A wie, że pani jest w pralni. Właśnie jest tam pani zupełnie sama, kiedy on się zjawia i ma w rękę fotografię, dowód, już wie o pani podwójnym życiu. Nie miał

odwagi wystąpić od razu, kiedy architekt był z panią. Ale teraz jesteście tylko wy dwoje, teraz ma odwagę. Co zrobił? Czy uderzył panią? Czy groził? Może zrobiła to pani w obronie własnej?

Anna z przerażeniem spoglądała na Durella. Nie mogła zdobyć się na odpowiedź, zaprzeczyła tylko ruchem głowy. A Durell nagle oskarżycielsko wycelował palcem w Agdę.

- A może to pani, pani Ahlgren? Chciał spotkać się z żoną, a zastał panią. Tylko panią. Ostatecznie fotografia leżała w wewnętrznej kieszeni, kiedy go znaleźliśmy. Więc może rzucił pani w twarz oskarżenie: twój syn, mecenas, ja go zrobiłem adwokatem, a on bierze łapówki. Czy tak powiedział? A pani już o tym wie, już słyszała od syna. Może o tym rozmawiała z nim pani w samochodzie jadąc zmienić pulower. Powiedział, że koniec z jego karierą, Vade grozi oskarżeniem go, Vade już się postara, żeby go zniszczyć;

Durell urwał i wpatrzył się w nią bystro. Zaciskała ręce, aż palce zbieleły, ale i ona nie odpowiedziała.

- A może to była pani, panno Shonborg? W ciągu tej krytycznej godziny i pani była przez chwilę sama w pralni. Może wynurzył się nagle zza pani pleców i groził, że pani syn gorzko pożałuje oskarżenia o kradzież albumu ze znaczkami. A pani gotowa była na wszystko dla syna. Ma pani tylko jego.

Alma zamknęła oczy, usta jej poruszały się nie formułując dźwięków. Ręce leżały bezwładnie jak sparaliżowane.

Durell przechylił się w tył, przez kilka sekund przyglądał się zwiśniętej z sufitu pajęczynie, potem znów zaczął mówić cicho, szybko, monotonicznie, bezosobowo.

- Tam stoi morderczyni, czyli jedna z was, sama, z nim tylko, prowokowana do działania. Twarde, nienawistne słowa z obu stron krzyżują się w powietrzu, w końcu na mózg spada oślepiająca zasłona nienawiści, tłumi wszelki rozsądek. Morderczyni zaciska palce na gardle starca. Pcha go tyłem w kierunku kadzi, w której moczy się

bielizna, krok za krokiem napadnięty próbuje się uwolnić, ale nie ma sił, osiemdziesiąt lat, a jej sił dodaje wściekłość. Wciska tę znenawidzoną głowę do wody i trzyma, póki ciało nie zwiśnie jej w rękach. Stoi trzymając martwego już i wraca do opamiętania. Teraz działa na zimno. Lada chwila może ktoś wejść, któraś z siostr może ją tu zastać z ciałem. Przychodzi jej na myśl pompa. Przenosi ciało przez magiel, podnosi klapę w podłodze i zrzuca głową w dół. Upadek z wysokości dwóch metrów powoduje zmiążdżenie czoła Vadego.

Urwał, by przesunąć spojrzeniem po twarzach trzech kobiet, i dalej ciągnął już prawie łagodnie:

- Ale ta piwniczna dziura nie była pewnym schowkiem. Pompa nie działała prawidłowo, była mowa o tym, że młody Kellen zamierza następnego dnia zająć się jej naprawą. Więc tegoż wieczoru, podczas dalszej pracy w pralni, sprawczyni ułożyła plan. Trzeba było usunąć zwłoki i wiedziała jak. Tylko szczegóły wymagały przygotowania. Byłem w pralni tego dnia, tylko wcześniej, żeby się czegoś dowiedzieć o powodach zniknięcia Vadego. Dziś znowu tam byłem, żeby obejrzeć worek, w którym znalazłem zakrwawiony ręcznik. Już wtedy zacząłem się domyślać, że ręcznik nie ma w tej sprawie tak wielkiego znaczenia, jak sobie z początku wyobrażałem. Vade krwawił w chwili, gdy schował się do szafy na Roslagsgatan. Pewnie krwotok z nosa zmaltretowanego przez Włocha. Zupełnie naturalne, że usiłował zatamować krew ręcznikiem. Również naturalne, że potem wrzucił go do worka, gdy krwawienie ustało. No tak, więc byłem w pralni dwa razy. I zapamiętałem dwa obrazy tego wnętrza. Nie zgadzają się one ze sobą. Uświadomiły mi to dwa wydarzenia w czasie drugiej bytności. Przypomina pani sobie, pani Ahlgren, że chciała pani uwiązać psa, ale nie było czym, póki nie dostała pani tego sznura od szlafroka, którym był przewiązany biały worek. A pozostałe worki z juty? Gdzie

się podziały sznury od nich? Przecież sam widziałem, podczas pierwszej bytności w pralni, jak panna Vade zwijała je i kładła na oknie. Drugie wydarzenie: dano mi do zapakowania ręcznika torbę, w której były proszki do prania, brązową, papierową torbę. A w czasie pierwszej bytności proszki były w dużej plastikowej torbie w czerwone wzory. Więc gdzie się podziały sznurki i plastikowa torba? I skąd się wzięła brązowa torba?

Rozłożył ręce, jakby te pytania wciąż go jeszcze gnębiły, i spojrzął na siedzące przed nim, jakby rzeczywiście oczekiwał odpowiedzi.

- Plan morderczyni był jasny - ciągnął dalej. - Późnym wieczorem wyjęła klucz z kieszeni fartucha wiszącego w sieni, tak że każdy miał dostęp, i zabrawszy papierową torbę ukradkiem poszła do pralni. Zeszła do zagłębienia, gdzie stała pompa, i wypchnęła swą ofiarę przez otwór wentylatora w ścianie. Potem wróciła do pralni, przełożyła proszki z plastikowej torby do papierowej, a plastikową torbę i sznurki zabrała i wymknęła się, starannie zamykając drzwi. Obeszła pralnię dokoła, żeby dostać się do ofiary, może już wtedy przywiązała sznurki do ręki i nogi. To nie ma znaczenia. Potem nadmuchała plastikową torbę i przywiązała mu do krawata. Bo sznurków więcej nie miała. Zniosła ciało do rzeki, zanurzyła w wodzie, puściła, żeby popłynęło z prądem. Nadmuchana torba służyła za spławik i kierunkowskaz. Sama poszła drogą do stajen. Przeszła po kładce na most, ukryła się koło Maurów. Noc była piękna, księżycowa, długo może czekała, ale w końcu zobaczyła kolorowy balonik na wodzie. Chwyliła ten balonik, potem końce sznurków, zakotwiczyła swoją ofiarę pod mostem. A sama zniknęła cicho, jak przyszła. Westchnął. - Nie miała szczęścia. Tylko przez przypadek ciało zostało tak prędko odkryte. Kto wie, trzeba było tylko kilku dni, a może sprawa stałaby się tajemniczą zagadką nie do rozwiązania. Sprytnie to było wykalkulowane,

sprytnie. Prawda, pani Vade? Anna spojrzała na niego z udręką.

- Pan wie, kto to był - powiedziała cicho.

Durell przytaknął z powagą.

- Tak. Wiem. Wszystkie trzy miałyście sposobność popełnić mord, wszystkie trzy miałyście sposobność usunąć i ukryć ciało. Sznurki i torbę mogła wziąć każda. Wszystkie trzy wiedziałyście, że pompownia jest dobrą kryjówką, ale i to, że ciało nie może tam długo leżeć.

Alma wstała, blada, z zaciśniętymi na piersi rękami.

- Dlaczego pan nas tak dręczy, dlaczego nie mówi pan kto? Czy to była Anna?

Potrząsnął głową.

- Chce pan powiedzieć, że to byłem ja?

Durell znów potrząsnął głową, Alma opadła na krzesło z ciężkim, urywanym oddechem. A Durell powiedział:

- Już niewiele zostało do wyboru. Czy tak było, pani Ahlgren?

Agda spojrzała na niego martwym wzrokiem i z jej zeszczywniałych warg padło pytanie:

- Pan wie, że to ja?

- Tak.

- Może pan udowodnić?

- Mogę.

Długą chwilę siedziała z opuszczoną głową, potem powiedziała:

- Tylko z papierową torbą było niezupełnie tak. Nie pomyślałam o tym i w nocy zrobiłam jak Jonas, ułożyłam proszki na stolku. A papierową torbę zaniosiłam wczoraj, kiedy wyszłam z Rickiem. Poza tym wszystko się zgadza. Myślałam, że się uda. Byle pewien czas minął, wyjadę stąd, podejrzanych będzie wielu, wiele do wykrycia, dużo ciemnych punktów do wyjaśnienia. Kiedy przyszedł, wszystko odbyło się

tak, jak pan to opisał. Bengt w samochodzie opowiedział mi o tych ofertach. Jeżeli się wyda, będzie zniszczone. I kiedy Werner stanął za mną niespodziewanie i powiedział to samo, zupełnie jakby zasłona spadła na mózg, tak jak pan to określił. Pan powinien zostać poetą. Nie chcę myśleć, że go zamordowałam. Rzuciłam się na niego w zamroczeniu, nie byłam wtedy sobą, nie wiedziałam, co robię. Czułam tylko, że to się musi stać. I w tym, że przyszedł, by rozmówić się z Anną, też miał pan rację. A że jej nie było, wylał jad na mnie.

Słaby błysk zaciekawienia przemknął po jej twarzy. Pochyliła się do asystenta.

- Wiem, że pan wie, ale jak pan to może udowodnić?

- Pies świadczy przeciw pani - powiedział Durell. - We wszystkich niejasnych punktach pies oskarża. Chciała pani wejść z nim do parku we wtorek, na dzień przed morderstwem, ale wartownicy nie pozwolili. A gdy się pani upierała, pokazali instrukcję, a pani ją uważnie przeczytała. Wiedziała więc pani, że jest mało prawdopodobne, żeby ktoś panią zauważył na moście w nocy. Bo według instrukcji obaj strażnicy mieli co godzinę obchód parku, to ułatwiło ustalenie pory makabrycznego transportu.

- Tak, wiedziałam, że najlepiej o północy. Raz przeszli tak blisko, że ich widziałam, schowałam się za jednym z Maurów. Nie mogli mnie dostrzec. Mówi pan, we wszystkich punktach.

- Tak. Rano pies przebiegł po kładce i wskoczył na wyspę. Pamięta pani?

- Pamiętam. A pan wie dlaczego?

- Bo zwietrzył, nie zwłoki ukryte w wodzie, poczuł, że tam była jego pani.

- Na pewno. On ma nieprawdopodobny węch. Kiedy poszłam przełożyć proszek do papierowej torby, on pobiegł za pralnię i znalazł ślad. Poszedł za nim pod stajnię i na wyspę. Nie zorientowałam się, że trzeba go było wziąć na smycz. Czy coś jeszcze?

- Tak. Pies wył tej nocy. Można to nazwać ostrzeżeniem, ale prawdziwy powód był taki, że jego pani wyszła. Bardzo przywiązany do swojej pani...

Agda z westchnieniem odsunęła z czoła siwiejące włosy.

- Biedny Rick - powiedziała. - To ty mnie zdradziłeś. Trzeba cię było zabrać. Razem byśmy to zrobili, ale nie miałam odwagi. Biedny Rick, co się z tobą stanie? A co z twoją panią... - Zakryła oczy rękami.

Durell pozostał sam. Właściwie ta najokraglejsza z trzech sióstr najbardziej mu się podobała. Spełnił jednak swą powinność ku zadowoleniu Sargrena, kużytkowi społecznemu i jednak mimo wszystko ku własnej satysfakcji. Wstał właśnie, gdy zadzwonił telefon. Ciotka Betty.

- Jeszcze tam tkwisz, Bertil - powiedziała - w święto. Wyobraź sobie, że deszcz mi zniszczył kapelusz. Z tiulu zrobił się naleśnik.

- Wielka szkoda, ciociu.

- Szkoda. I dziś wcale nie było parady kapeluszy. Dopiero w niedzielę. Wiesz, co teraz zrobimy?

- Nie, ciociu.

- Zjemy sobie dobry obiadek.

- Chętnie, ciociu. Gdzie się spotkamy?

- Ależ nie ty. Pani Linspong i ja. Doszedłeś do czegoś z tym morderstwem?

- Tak. Wyjaśnione. Wie ciocia, kto to zrobił?

- Jasne, ta gruba, wesola. Tylko mi nie mów, że ktoś inny, bo ja cały czas wiedziałam. Odgrzej sobie zraziki, są w lodówce. I nie zapomnij, że rybki trzeba nakarmić. Wrócę późno. Do widzenia.

- Do widzenia, ciociu.

Oboje odłożyli słuchawki. Niebieskie oczy Durella pojaśniały, wyglądały jak błękitne guziczki poruszające się wśród drobnych kropek

piegów. Przeciągnął grzebieniem po rudych włosach. „Urowadzenie z seraju”, myślał, Maurowie, „Wesoła wdówka”. Jeśli ciotka późno wraca, wymknę się do opery, zobaczę „Aidę”, czy aby dziś grają „Aidę”? Wszystko jedno, w każdym razie operę. Wysunął wargi i krystalicznie czysto zagwizdał marsza triumfalnego.

